

**D. Patrick Miller**

**PEŁNA HISTORIA**

**KURSU CUDOW**

„Wspaniała relacja na temat znanego i ważnego zjawiska”

# Pełna historia Kursu Cudów

Historia, ludzie i kontrowersje kryjące się za Kursem Cudów

**D.Patrick Miller**

Autor

A Little Book of Forgiveness

Doskonale recenzje Pełnej historii Kursu Cudów

Nareszcie mam książkę, którą mogę z pełnym przekonaniem polecać przyjaciołom i znajomym, kiedy pytają mnie o Kurs Cudów. W przystępny, a zarazem dokładny sposób przedstawia wszystkie ważniejsze sprawy i kontrowersje otaczające Kurs. Patrick Miller z dziennikarskim nerwem i naukową dociekliwością konstruuje historię, od której nie sposób się oderwać.

- Lee Jampolsky, Ph.D. autor[ka] Healing the Addictive Mind oraz The Art of Trust, współautor[ka] (z Jerrym Jampolskim, M.D.) Listen to Me.

Bardzo potrzebna, bezstronna i subtelna ocena pewnego zagadkowego, poważnego i wywierającego zdumiewający wpływ na życie duchowe dwudziestego wieku zjawiska.

- Jacob Needleman, Ph.D., autor A Little Book on Love oraz Money and the Meaning of Life.

Miller nie tylko napisał fascynującą historię o jednym z bardziej znaczących zjawisk duchowych naszych czasów, ale zrobił to w stylu, jakiego rozpaczliwie potrzebujemy w tych pozbawionych ducha czasach. Całkowita Historia jest przykładem nowego rodzaju dziennikarstwa dochodzeniowego, które pokazuje uczciwie i obiektywnie duchową stronę ludzi i ruchów a nie znudzonego cynizmu, które większość dziennikarzy narzuca nam jako „obiektywizm”.

- Charles T. Tart, Ph.D., autor Waking Up oraz Living the Mindful Life.

Bez względu na to, czy jest się gorącym zwolennikiem czy zażartym przeciwnikiem Kursu Cudów, coraz trudniej jest go ignorować. Kurs, jako zjawisko na wskroś amerykańskie, jest głęboko duchowy ale nie religijny, i raczej demokratyczny niż dogmatyczny. Książka Millera jest wspaniałą lekturą, zajmującym i wyjątkowo rzetelnym opisem dziwniejszej od fikcji historii Kursu.

- Lucia Capacchione, Ph.D., autorka Recovery of Your Inner Child oraz The Creative Journal.

Inne książki autorstwa D.Patricka Millera

The Book of Practical Faith (Henry Holt & Co., Inc.)

A Little Book of Forgiveness (Viking)

Z Tomem Ruskiem, M.D.

The Power of Ethical Persuasion (Viking, Penguin)

Instead of Therapy (Hay House)

## **Spis treści**

Słowo wstępne Dana Wakefielda

Wstęp

Część I

Geneza i historia

Rozdział 1

Jak powstał Kurs

Rozdział 2

Kim byli Helen Schucman i William Thetford?

Rozdział 3

Jak rozprzestrzeniła się nauka Kursu

Rozdział 4

Dalsza droga przesłania.

Rozmowa z Jerry'm Jampolsky'm i Marianne Williamson

CZĘŚĆ II

Zrozumieć Kurs

Rozdział 5

Wyższe studia:

Rozmowy z Kennethem i Glorią Wapnickami

Rozdział 6

Gdzie psychologia styka się z filozofią wieczystą:

Rozmowy z Rogerem Walshem i Frances Vaughan.

Rozdział 7

Dlaczego Kurs nie jest chrześcijański - czy może jest?

Rozdział 8

Krytycy Kursu

Część III

Życie z Kursem

Rozdział 9

Głosy studentów

Rozdział 10

Obecność Kursu

Dodatek

Wybrane informacje

Przypisy

Indeks

Podziękowania

## Słowo wstępne

W trakcie pisania książki o współczesnych cudach, natknąłem się na artykuł w jasny sposób przedstawiający kontrowersyjny temat, który otaczały do tej pory pogłoski, frazesy, nieporozumienia, złośliwe ataki i pochwalne świadectwa. Kiedy przeczytałem opis osobistych doświadczeń D. Patricka Millera z Kursu Cudów oraz jego relację dziennikarską na ten temat, po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że mam do czynienia z rzetelną oceną tego zjawiska i wreszcie rozumiem, dlaczego jest ono tak silnie pociągające dla wielu ludzi, a odpychające dla niemniejszej liczby. Teraz Miller napisał książkę, w której daje z dziennikarską werwą i zacięciem przedstawia to znane i ważne zjawisko. Miller jest osobą, która ma odpowiednie, jedyne w swoim rodzaju kwalifikacje do napisania takiej książki. W pierwszych latach pracy zawodowej praktykował jako reporter dochodzeniowy, współredagując alternatywny dziennik w swoim rodzinnym mieście Charlotte w Północnej Karolinie, a następnie pisał reportaże na temat polityki ekologicznej do *San Francisco Bay Guardian*. Ale tropienie korupcji i machlojek w stylu, który Tom Woolfe nazywał „dziennikarstwem totemicznym”, przestało mu sprawiać satysfakcję. Zadawszy sobie, na skutek kryzysu wywołanego fizyczną chorobą, który nazwał „pouczającą katastrofą”, parę istotnych pytań na temat celów życiowych, Miller zaczął się parać tym, co tak niezwykle trafnie nazwał „dziennikarstwem świadomości”. W swym przejrzystym i mocno intelektualnie osadzonym dziele *The Book of Practical Faith*, tak wyjaśnia zmianę kierunku swojej kariery zawodowej: „Nie będąc już zainteresowanym dokumentowaniem ludzkich przywar i słabości, poczułem natchnienie, by zamiast tego pisać o psychologicznych i duchowych kluczach do transformacji duchowej”.

W trakcie pracy nad tym nowym rodzajem reportaży, doszedł do wniosku, że rzekomy obiektywizm dziennikarstwa totemicznego, w którym dziennikarz jest pionkiem nie mającym jakoby żadnych opinii ani uczuć, nie pasuje do badania królestwa świadomości i przemiany ludzkiej. Dziennikarzom, którzy nie mają żadnych doświadczeń ani wiedzy na temat programów czy praktyk transformacyjnych, trudno lub wręcz niemożliwością jest pisać o nich rzetelnie. Prasa głównego nurtu przez swą wrogość do tych sfer, opisuje je tendencyjnie, wręcz je zniekształca, co może prowadzić do zwyczajnej nieprawdy. Miller słusznie zauważa, że „niezbyt subtelne ośmieszanie ludzi interesujących się własnym duchowym rozwojem i przemianą tak powszechne w dominującym nurcie prasy, odzwierciedla w gruncie rzeczy niezdolność większości dziennikarzy do sprawiedliwej oceny wartości procesów introspektywnych i duchowych”.

Własne doświadczenia Millera ze studiowaniem Kursu Cudów nie dyskwalifikują go wcale jako „obiektywnego obserwatora”, ale raczej dają możliwość opowiedzenia o tym zjawisku z większym zrozumieniem i wiedzą. Fakt, że odniósł korzyści z Kursu, nie powstrzymuje go przed postawieniem najbardziej zasadniczych pytań na jego temat i przedstawieniem najpoważniejszych zastrzeżeń, wysuwanych przez jego krytyków. Jego zamiarem nie jest sprzedaż czytelnikom Kursu Cudów, ale podzielenie się z nimi swoją wiedzą wynikającą zarówno z osobistych doświadczeń jak i z dociekań reportera, takiego, który używa narzędzi dziennikarskich w sposób uczciwy i umiętny.

Ja sam nie studiowałem Kursu Cudów ani nie jestem osobiście zainteresowany tym, jak jest on przyjmowany. Moja ciekawość jest ciekawością przeciętnego czytelnika, który chce poznać całą prawdę o Kursie, jaką może przedstawić uczciwy i zdolny reporter. I ta książka to właśnie gwarantuje.

- Dan Wakefield

Dan Wakefield jest powieściopisarzem, dziennikarzem i autorem scenariuszy. Jest autorem między innymi takich książek jak *Expect a Miracle*, *Creating from the Spirit* oraz *Returning: A Spiritual Journey*. Był stypendystą Neimana w dziedzinie dziennikarstwa w

Uniwersytecie Harwardzkim i pisał do *The Nation*, *The Atlantic* i *GQ*. Obecnie pracuje dla *Yoga Journal*.

## Wstęp

W ciągu dwudziestu lat od pierwszego wydania drukiem Kurs Cudów stał się jednym z bardziej znanych i zarazem kłopotliwych zjawisk we współczesnej duchowości. W oryginalnej postaci ponad milion egzemplarzy Kursu w języku angielskim i tłumaczenia na hiszpański, niemiecki, portugalski i hebrajski dotarł do milionów ludzi. Na dalsze miliony wywarł wpływ poprzez swoje niektóre zasady, omawiane w wielu bestsellerach z dziedziny psychologii i duchowości. Na całym świecie istnieje ponad dwa tysiące grup studiujących Kurs, a także niezliczona ilość eklektycznych ugrupowań religijnych, akademii i placówek świadczących pokrewne usługi. Co najmniej siedem forów dyskusyjnych on-line i dziewięć stron WWW poświęconych Kursowi daje możliwość elektronicznego komunikowania się adeptom ze Stanów Zjednoczonych, Europy, Australii, Południowej Afryki i nawet z Dalekiego Wschodu.

Kurs pozostał przy tym głównie zjawiskiem popularnym, nie stał się jeszcze tematem poważnych dyskusji teologów akademickich ani kościelnych. A kiedy dochodziło do takich debat, jego rozmaici krytycy mówili o nim z wyraźnym brakiem konsekwencji.

Na przykład James Hillman, znany psycholog i autor, stwierdził publicznie, że Kurs jest „staromodnym, oszukującym samego siebie chrześcijaństwem”.<sup>(1)</sup> A przecież krytycy ewangelicy odzegnują się od Kursu i przestrzegają przed nim swych wiernych jako przed szatańskim przesłaniem kryjącym się pod płaszczykiem chrześcijańskiego języka. Chociaż powszechnie uznaje się, że Kurs jest chlubą tak zwanej duchowości Nowej Ery (New Age), jeden z jego głównych interpretatorów twierdzi, że jest to przykład mylnej identyfikacji.

„Widoczne jest pewne mylenie Kursu z powierzchownym pozytywizmem New Age” zauważa Kenneth Wapnick, Ph.D., który brał udział w redakcji oryginalnego rękopisu Kursu i obecnie jest szefem głównego ośrodka studiów. „Ale naprawdę Kurs uczy nas, jak uświadamiać sobie wszystkie nasze *negatywne* myśli po to, żebyśmy mogli stanąć twarzą w twarz ze wszystkim, co przeszkadza nam w zyskaniu świadomości obecności miłości w naszych umysłach”.

Ponieważ według Kursu źródłem tych wszystkich przeszkód jest ego - nasza świadomość swojego ja - jego niezmienny przepis na ich pokonanie sprawia, że jest przez to niezwykle trudną i wymagającą dyscypliną. Wapnick dodaje: „Uważam, że najlepiej, najprawdziej rozumieją Kurs ci, którzy się z nim zmagają, lub ci, których życie stało się bardziej skomplikowane, od kiedy zaczęli go studiować. Za każdym razem, kiedy początkujący mówią, że już stali się szczęśliwsi dzięki Kursowi, odnoszę wrażenie, że jeszcze nie wiedzą, o co w nim chodzi”.

A przy tym nawet Wapnick wyraża sprzeczne opinie co do Kursu, zwłaszcza gdy mówi o jego potencjalnym znaczeniu. O ile często podkreśla, że według niego nauka ta „nie jest przeznaczona dla szerokich mas”, kiedyś powiedział, że w przyszłym stuleciu Kurs osiągnie status „podobny do tego, jakim cieszy się Biblia”.<sup>(2)</sup>

Zdanem innego wybitnego ucznia Kursu, prezesa Instytutu Noetyki (Institute of Noetic Sciences) i byłego członka władz Uniwersytetu Kalifornijskiego, Willisa Harmana, Ph.D., „Kurs jest chyba najważniejszym dziełem napisanym w języku angielskim, jakie ukazało się od czasów Biblii”.<sup>(3)</sup> A Wielebny Jon Mundy, wyświęcony duchowny metodystyczny i profesor religioznawstwa, który założył jedną z pierwszych grup studiowania Kursu utrzymuje, że „Kurs Cudów jest jeszcze w stanie dokonać kopernikańskiego przewrotu w chrześcijaństwie”.<sup>(4)</sup>

Również znaczna i stale rosnąca popularność Kursu dowodzi, że jest on w spirytualizmie czymś znacznie więcej niż przelotną nowinką. Chociaż można przedstawić skrótowo podstawowe fakty odnośnie charakteru i genezy Kursu, to jednak nie dają one pełnej

odpowiedzi na pytanie, czym jest Kurs Cudów. Ponieważ Kurs Cudów można interpretować na wielu płaszczyznach i ponieważ niektórzy jego najstarsi adepci nie twierdzą, że rozumieją go w pełni, może okazać się, że odpowiedź na pytanie „Czym jest Kurs?” jest w ogóle niemożliwa.

Niniejsza książka prezentując udokumentowane i wyważone spojrzenie na Kurs Cudów, obejmujące jego historię, podstawowe zasady przesłania, sylwetki głównych nauczycieli i interpretatorów oraz przegląd różnorodnych zastosowań, a także krytyczne reakcje i kontrowersje, jakie wzbudzają jego nauki ma na celu uzielenie bardziej wyczerpującej odpowiedzi niż te, które można było do tej pory znaleźć w różnych publikacjach, poza samym Kursem.

### **Co to jest Kurs Cudów ?**

Kurs Cudów jest programem samodzielnych studiów, który kieruje studentów ku życiu duchowemu poprzez odnowienie ich kontaktu z czymś, co nazywa Duchem Świętym lub „wewnętrznym nauczycielem”. Kurs wykorzystuje podejście zarówno intelektualne jak i doświadczenia. Składa się z Tekstu liczącego sześćset pięćdziesiąt stron, Zeszytu Ćwiczeń zawierającego na pięćdziesiąt stronach trzysta sześćdziesiąt pięć medytacji na każdy dzień roku oraz dziewięćdziesięciostronicowego Podręcznika dla Nauczycieli. Kurs, opublikowany w 1976 r. przez nienastawioną na zysk Foundation for Inner Peace (Fundację Wewnętrznego Spokoju), został spisany stenograficznie w okresie siedmiu lat przez dr Helen Schucman - zatrudnioną jako badacz -psycholog w Uniwersytecie Columbia - i przepisany na maszynie przez jej opiekuna naukowego dr. Williama Thetforda, dyrektora wydziału psychologii w Columbia-Presbyterian Medical Centre (Prezbiteriańskim Centrum Medycznym Columbia).

Dr Schucman mówiła, że pisała pod „wewnętrzne dyktando” „Głosu, który słyszała i nigdy nie przypisywała sobie autorstwa tego materiału, mając zresztą aż do śmierci w 1981 roku niejednoznaczny stosunek do jego przesłania. Wokół Kursu nie powstała żadna zorganizowana jedna religia ani organizacje członkowskie, nie ma też żadnego „guru”, który byłby powszechnie uznawany za wcielenie tych nauk.

Jako dyscyplina psychologiczna Kurs nakłania człowieka do przemiany wewnętrznej poprzez nieustanne ćwiczenie się w przebaczeniu. Jako trening duchowy, nalega na konieczność odwrotnego postrzegania, to znaczy podkreśla, że za jedyną rzeczywistość należy uważać ducha, natomiast świat fizyczny za masową iluzję (są to poglądy zbliżone do buddyjskich i hinduistycznych pojęć *samsara* i *maya*, które to terminy służą do określania naszego codziennego, widzianego przez nas świata, jako rodzaju snu).

Mimo że Kurs operuje językiem chrześcijańskim, jego metafizyka jest bardziej zbliżona do wschodniego mistycyzmu niż tradycyjnych religii zachodnich. W rzeczywistości, Kurs Cudów kwestionuje wręcz istotne elementy współczesnego chrześcijaństwa, zwłaszcza doktrynę grzechu i ukrzyżowania. Twierdzi na przykład, że zmartwychwstanie nie oznacza, że Jezu Chrystus umarł, by odpokutować za grzechy ludzkości, ale raczej, że jako wyższa istota w pełni świadoma iluzorycznej natury świata fizycznego, ani nie cierpiał, ani nie zmarł na krzyżu. Kurs mówi dalej, że każdy ma w sobie potencjał, by osiągnąć tak oświecony sposób percepcji.

Teologiczne wyzwanie, stawiane przez Kurs, potęguje dodatkowo fakt, że „Głos” będący jego autorem wyraźnie przedstawia się jako Jezus Chrystus wnoszący poprawki do tradycyjnego chrześcijaństwa językiem nowoczesnej psychologii. Ten ton pobrzmiewa wyraźnie w takich fragmentach, jak podany niżej:

„Gdyby Apostołowie nie mieli poczucia winy, nigdy nie zacytowałiby moich słów: ‘Przyszedłem nie po to, żeby nieść pokój, ale miecz’. Słowa te są jawnie sprzeczne ze wszystkim, czego nauczałem. Tak samo nie opisaliby, tak jak to zrobili, mojej reakcji na zachowanie Judasza, gdyby naprawdę mnie rozumieli. Mógłbym powiedzieć ‘Czy

zdradzisz Syna Ludzkiego pocałunkiem?’, gdybym wierzył w zdradę. Całe przesłanie ukrzyżowania jest takie, że ja po prostu w nią nie wierzę. Kiedy czytacie nauki Apostołów, pamiętajcie, że sam im powiedziałem, że wiele rzeczy pojmą dopiero później, ponieważ w owym czasie nie byli jeszcze w pełni gotowi, żeby mnie zrozumieć.” (5)

Chociaż w Kursie nie ma mowy o tym, że pod względem filozoficznym przewyższa on pozostałe nauki, a wręcz znajduje się w nim stwierdzenie, że jest tylko jedną z wersji „Uniwersalnego programu studiów”, sugeruje jednak, że osoby poważnie traktujące studia, przy jego pomocy zrobią szybsze postępy, niż gdyby korzystały z jakiegokolwiek innej metody duchowej. Rzekome autorstwo Kursu i jego kwestionowanie tradycyjnej religii zachodniej sprawiły, że jest on jednocześnie tak bardzo popularny wśród osób szukających alternatywnego przewodnictwa duchowego, jak i kłopotliwy dla krytyków.

### **Punkt widzenia zaprezentowany w książce**

Mimo że studiuje Kurs od dziesięciu lat i uważam go za kamień probierczy mojego spojrzenia na sprawy duchowe, celem tej książki nie jest ani propagowanie Kursu, ani nauczanie. (Zob. Wybrane ośrodki w Dodatku, gdzie znajdują się informacje o najbardziej znanych nauczycielach Kursu Cudów.) Chciałbym przybliżyć Kurs i przedstawić jego wierniejszy obraz szerokiej publiczności, a także skorygować pewne fałszywe informacje na jego temat, rozpowszechniane w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Mam głęboką nadzieję, że ta książka będzie służyć jako merytoryczna pomoc nie tylko obecnym i przyszłym adeptom Kursu, ale także dziennikarzom, historykom, teologom i wszystkim, którzy chcą zrozumieć to zataczające coraz szersze kręgi zjawisko społeczne, któremu dał początek Kurs Cudów.

Niektórzy czytelnicy mogą mieć wątpliwości, czy uda mi się przedstawić w bezstronny sposób Kurs Cudów, skoro akceptuję jego nauki. Nie mogę dać zdecydowanej odpowiedzi na to pytanie, mogę tylko zasugerować, żeby czytelnicy wnikliwie zanalizowali rozmaite opinie i głosy przytoczone przeze mnie w tej książce i doszli do własnych wniosków. Jestem jednak zdania, że niemożliwością jest pisać w sposób zrozumiały o Kursie, o ile się go nie studiowało przez dłuższy czas i nie poddało jego dyscyplinie.

Zacząłem pisać o Kursie wkrótce po tym, jak podjąłem jego naukę (byłem ostatnim reporterem, który przeprowadził wywiad z Billem Thetfordem przed jego śmiercią) i w publikowanych artykułach (poza niektórymi osobistymi esejami napisanymi z inspiracji zasadami Kursu) zawsze uwzględniałem współczesne głosy krytyczne na jego temat. Nieprzychylnie opinie odnośnie Kursu są rozsiane po całej książce, ale osobno poświęciłem im dwa rozdziały: „Dlaczego Kurs nie jest chrześcijański - a może jest?” oraz „Krytycy Kursu”. W tym drugim umieściłem też swoje uwagi krytyczne na temat Kursu.

W końcowym rozdziale „Obecność Kursu” mówię o swoich osobistych doświadczeniach z Kurs Cudów i przedstawiam swoje uwagi na temat poszukiwań ścieżek duchowych w ogóle. O ile na podstawie własnych doświadczeń mogę powiedzieć, że Kurs jest niezwykle dyscypliną, która w sposób radykalny korzystnie odmieniła jakość mego życia i to w najgłębszym możliwie sensie, cały czas uważam go nie za nową religię, ale za to, co on sam o sobie mówi, to znaczy za „środek dydaktyczny”. To wyjątkowe stanowisko pozwala mi wysoko cenić Kurs Cudów, a jednocześnie nie czuć się zmuszonym do występowania w roli „obrońcy wiary”.

Kiedy rękopis tej książki był już niemal na ukończeniu, w historii Kursu Cudów nastąpił punkt zwrotny. Po raz pierwszy wydawca Kursu, czyli Foundation for Inner Peace, dała licencję na druk i publikację Kursu i związanych z nim materiałów wielkiej oficynie wydawniczej Viking Penguin, która wiosną 1996 r. wypuściła na rynek wydanie w twardej oprawie. (Wydawnictwo Arkana, będące filią Vikinga, wydało wcześniej Kurs w Wielkiej Brytanii). Ponieważ Kurs stał się bestsellerem naszej ery bez żadnej akcji reklamowej

prowadzonej przez Fundację, trudno przewidzieć, jakie końcowe skutki dla jego szerokiej dystrybucji i popularności będą miały te nowe okoliczności.

Już teraz można jednak zaryzykować twierdzenie, że w niedalekiej przyszłości Kurs Cudów dotrze do milionów ludzi. Jego powszechna i rosnąca popularność na pewno sprawiłaby w osłupienie powściągliwych kopistów tego materiału - może nawet nie mniejsze niż to, którego doświadczali, gdy okazało się, że spisują niezwykle dziwne i przykuwające uwagę nauki znane obecnie tak wielu ludziom po prostu jako „Kurs”.

## **Część I**

### **Geneza i historia**

#### **Rozdział 1**

##### **Jak powstał Kurs**

W 1965 roku Uniwersytet Columbia nie był raczej miejscem, w którym można było oczekiwać początków ruchu duchowej odnowy. W college'u medycyny i chirurgii profesorowie psychologii toczyli zaciętą walkę o uznanie ich dyscypliny za szacowną gałąź nauk medycznych, a zmaganiom tym towarzyszyła zwykła przy takiej okazji dawka zawodowej zazdrości, zacieklej rywalizacji i bezpardonowego obgadywania.

Pośrodku tego chaotycznego marszu postępu naukowego, małomówny i uczony dyrektor Wydziału Psychologii w Columbia-Presbyterian Medical Centre, dr William N. Thetford pewnego dnia postanowił, że ma już dość akademickich sparringów. „Musi być jeszcze jakiś inny sposób i jestem zdecydowany go znaleźć” - to niezwykle jak na niego stanowcze oświadczenie wygłosił do swej najbliższej koleżanki, czternaście lat starszej, słynącej z ostrego języka dr Helen Schucman, zatrudnionej jako psycholog badacz. Dr Schucman, na której ta chęć zmiany stylu postępowania zaanonsowana przez Thetforda wywarła duże wrażenie, przyrzekła mu swoją pomoc w wejściu w nową erę współpracy z kolegami, co im się w znacznym stopniu powiodło.

Na przestrzeni lat, to nowe podejście okazało się mocno nieskuteczne w ich własnych, bardzo konfliktowych stosunkach. Ale chwilowa wzajemna życzliwość dwojga naukowców stała się u dr Schucman katalizatorem wybuchu zdecydowanie mistycznej energii, wyjaśnienia którego to zjawiska domagała się jej racjonalna strona badaczki. Nieoczekiwanie zaczęła miewać takie same powtarzające się symboliczne wizje, jakie zdarzały się jej w młodości, a jakie przestały się jej ukazywać, kiedy będąc już młodą dorosłą, z goryczą zaprzestała poszukiwań Boga.

A teraz mając pięćdziesiąt sześć lat znowu znalazła się w dramatycznym wirze snów na jawie i wizji, w których coś popychało ją do spełnienia tajemniczego obowiązku, z którego, jak czuła „w jakiś sposób, gdzieś zgodziła się wywiązać”. W tych widzeniach czasami przemawiał do niej wewnętrzny „niemy głos”, który objaśniał jej znaczenie różnych zdarzeń. W ciągu następnych lat, ten głos stał się autorytatywną obecnością, o której mówiła jako o „Głosie” lub „Starszym Sierżancie”. Nie można powiedzieć, żeby nie była świadoma tożsamości, jaką Starszy Sierżant sam deklarował, ale uchylała się od jej uznania.

Pod koniec lata 1965 roku dr Schucman miała wizję, w której weszła do jaskini na nieosłoniętym brzegu morza i znalazła w niej duży, bardzo stary zwój pergaminu. Rozwijając z trudnością stary rulon, zobaczyła na jego środkowej części napisane proste słowa: „Bóg jest”. Otwierając szerzej, zauważyła jeszcze jakieś napisy po prawej i po lewej stronie. Znajomy Głos powiedział, że jeśli chce, z lewej strony może odczytać przeszłość, a z prawej przyszłość, wyraźnie zaofiarował jej dar jasnowidzenia. Ale dr Schucman wskazała na słowa napisane po środku i odpowiedziała „Tylko tego chcę”.

„Tym razem wybrałaś dobrze” odparł Głos. „Dziękuję ci”.



Po tej wizji niepokój dr Schucman zmniejszył się trochę i pomyślała z ulgą, że może zamęt w niej ustanie już na zawsze. Zgodnie z sugestią Thetforda zaczęła rejestrować swoje wewnętrzne doświadczenia i 21 października szykowała się, żeby zapisać je, kiedy usłyszała w głowie przemawiający do niej Głos: „To jest Kurs Cudów” powiedział autorytatywnie. „Proszę, zacznij notować”.

To zdarzenie znowy wytrąciło ją z i tak chwiejnej równowagi emocjonalnej. Szybko zatelefonowała do Thetforda, powiedziała mu, o co poprosił ją Głos i zapytała w panice „Co mam robić?”

Thetford zareagował ze spokojnym zaciekawieniem: „Dlaczego nie zaczniesz notować? Rano przyjrzymy się temu, co napisałaś, żeby zobaczyć, czy to ma w ogóle sens, a jeśli okaże się, że nie, wyrzucimy twoje zapiski. Nikt nie musi o nich wiedzieć”.

W ten sposób Helen Schucman podjęła się trudnej trwającej siedem lat dodatkowej pracy, polegającej na wiernym, chociaż często wbrew własnej woli, spisywaniu materiału, który zaistniał jako Kurs Cudów. Swoje stenograficzne zapiski czytała głośno Thetfordowi, który zaofiarował się, że je przepisze na maszynie. Przedłużający się głęboki konflikt wewnętrzny, którego doświadczała w trakcie pełnienia tego niezwyklego zadania, jest wyraźnie widoczny w tym urywku jej niepublikowanej autobiografii: (1)

„Jeśli chodzi o mnie, nie mogłam ani wytłumaczyć, ani pogodzić moich niekonsekwentnych stanowisk. Z jednej strony, cały czas uważałam się oficjalnie za agnostyczkę, miałam wrogi stosunek do materiału, który spisywałam, bardzo chciałam go atakować i dowieść, że nie ma racji. Z drugiej strony, poświęcałam dużo czasu na notowanie, a potem dyktowanie Billowi, więc wyraźnie traktowałam ten tekst całkiem poważnie. Doszło do tego, że chociaż nie byłam przekonana co do jego autentyczności, mówiłam o nim, jako o dziele życia i bardzo mnie to wszystko bulwersowało. Jak zauważył Bill, muszę wierzyć w ten tekst, na co wskazywałoby choćby tylko to, że tak zawzięcie z nim polemizowałam. Bill miał rację, ale nie było mi przez to lżej. Znalazłam się w nieprawdopodobnej sytuacji - nie wierzyłam w dzieło swojego życia. Było to nie tylko groteskowe, ale i bolesne.” (2)

Rzeczywiście we wczesnym okresie pracy Schucman klóciła się z Głosem o cel całego przedsięwzięcia i swoją w nim rolę:

„Wkrótce stwierdziłam, że nie mam zbyt wielkiego wyboru. Dano mi jednak coś w rodzaju mentalnego ‘wyjaśnienia’ w postaci powiązanych myśli, które szybko po kolei przelatywały mi przez głowę i razem ułożyły się w dość spójną całość. Według tych ‘informacji’ sytuacja świata zastraszająco szybko stawała się katastrofalnie zła. Z wezwaniem o pomoc zwrócono się do ludzi z całego świata, którzy działali indywidualnie w ramach całościowego, ułożonego z góry planu. Ja wyraźnie zgodziłam się na zapisanie Kursu cudów w takiej formie, w jakiej miał mi zostać przedstawiony. W tej umowie Głos spełniał swoją rolę, a ja miałam spełniać moją. Miałam wykorzystać zdolności, które rozwinęłam w sobie bardzo dawno temu, a których naprawdę nie byłam jeszcze w stanie używać. Jednak z powodu wielkiej pilności sprawy, zwykły, powolny ewolucyjny proces miał zostać pominięty dzięki czemuś, co można by nazwać ‘niebiańskim przyspieszeniem’. Bez względu na to, co myślałam o treści tego ‘wyjaśnienia’, wyczuwałam kryjący się za nim pośpiech. Przekazane mi zostało poczucie, że mamy coraz mniej czasu.

Nie byłam przekonana. Zakładając nawet nieprawdopodobną ewentualność, że to ‘wyjaśnienie’ jest prawdziwe, nie widziałam siebie jako dobrej kandydatki do roli ‘skryby’. Spokojnie, ale zdecydowanie wyraziłam swój sprzeciw.

‘Dlaczego ja?’ zapytałam. ‘Nie jestem nawet religijna. Nie rozumiem tego, co się ze mną dzieje i wcale mi się to nie podoba. Staję się tylko bardziej nerwowa. Nie można chyba było wybrać nikogo gorszego’.

‘Wręcz przeciwnie’ zapewniono mnie. ‘Jesteś doskonałą kandydatką i to z bardzo prostej przyczyny. Ty to zrobisz’.

Nie miałam na to odpowiedzi i zrezygnowałam pokonana. Głos miał rację. Wiedziałam, że to zrobię. I tak zaczęło się spisywanie 'Kursu'." (3)

I tak poza pracą naukową w pełnym wymiarze w Columbia-Presbyterian, dr Schucman wzięła na siebie niemal codzienny obowiązek pisania pod dyktando najbardziej niekonwencjonalnego mistrza.

„Prawie codziennie, a czasem nawet parę razy dziennie, czułam, że mam pisać. Pory [dyktowania] nigdy nie kłóciły się z moją pracą ani obowiązkami towarzyskimi, zaczynały się zwykle wtedy, kiedy byłam na tyle wolna, żeby pisać bez przeszkód. Pisałam w zeszytcie do stenografii, który szybko na wszelki wypadek zaczęłam nosić przy sobie. Mogłam odmawiać współpracy, i przynajmniej na początku, bardzo często to robiłam. Ale niebawem przekonałam się, że nie będę miała spokoju, dopóki nie napiszę. Ale i tak przez cały ten okres zachowałam sobie 'prawo do odmowy'. Czasami ponad miesiąc nie zgadzałam się na pisanie, i przez ten czas stawałam się coraz bardziej przygnębiona.

Pisanie zawsze wymagało mojej w pełni świadomej współpracy.

Ulubioną porą 'dyktand' stały się wieczory, zwłaszcza gdy chodziło o dodatkowe „zadania”. Sprzeciwiałam się temu zawzięcie i często szłam zbuntowana do łóżka nie napisawszy ani linijki, ale nie mogłam zasnąć. W końcu z pewnym niesmakiem wstawałam i pisałam, jak mi kazano...

Pisanie toczyło się nieprzerwanie. W pracy mogłam odłożyć zeszyt, żeby odebrać telefon, porozmawiać z pacjentem, nadzorować młodszy personel lub zająć się jakimś z naszych częstych 'pożarów' i kontynuowałam pisanie nie patrząc nawet, na czym skończyłam. W domu mogłam rozmawiać z mężem, gawędzić z przyjaciółką lub zdrzemnąć się i wrócić potem do zeszytu bez najmniejszego zakłócenia toku słów... To było tak, jak gdyby Głos spokojnie czekał, aż wrócę i zacznę na nowo. Pisało mi się tak samo łatwo w domu, w pracy, na ławce w parku, w taksówce, autobusie czy w metrze. Obecność innych ludzi nie przeszkadzała mi wcale. Kiedy nadchodziła pora pisania, zewnętrzne okoliczności stawały się nieważne." (4)

Wszyscy, którzy znali dr Schucman, byli zgodni co do tego, że w sprawach Kursu przejawiała dramatyczne rozszczepienie osobowości. Bill Thetford zawsze był zdania, że to pęknięcie miało wręcz zasadnicze znaczenie w jej pracy „skryby”.

„Zwyczaj targał nią jakiś konflikt” powiedział mi Thetford podczas naszego krótkiego spotkania mniej więcej rok przed swoją śmiercią w 1988 r. „Aby móc wykonywać tę pracę, Helen musiała być w raczej oderwanym od rzeczywistości stanie umysłu. Musiała przedstawiać się na odpowiednią falę, żeby zapisywać treść Kursu i podchodziła do tego z wielką precyzją i sumiennością, zupełnie tak, jakby przestrajala się na kanał FM. Często powtarzała w rozmowie: 'Nie chcę wiedzieć, o czym to jest. Interesuje mnie tylko gramatyka i składnia. Jeżeli zacznie popełniać błędy składniowe, odmówię dalszej pracy'. Bez większych trudności notowała cały materiał, ponieważ słyszała go całkiem wyraźnie. Ale kiedy przestawała pisać, przestawała się znowu na zwykły stan świadomości ego. Te oba stany niekoniecznie wiązały się ze sobą. Helen doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że to, co Kurs ma do powiedzenia nie zgadzało się z jej doświadczeniem świata.”

„Ta sytuacja była z pewnością bardzo niezwykła” dodał Thetford, „ale, jeśli się weźmie pod uwagę osobowość Helen, być może tylko w ten sposób mogło dojść do czegokolwiek. Ona naprawdę trzymała się z boku i z pewnością nie usiłowała odgrywać roli najwyższej kapłanki. Nie chciała nią być.”

Kiedy zapytałem Thetforda, czy ta niechęć nie wynikała częściowo z tego, że w latach zapisywania Kursu oboje musieli dbać o swoje profesjonalne oblicza, roześmiał się gorzko: „Oczywiście, Kurs był naszą wstydliwą tajemnicą!” przyznał. „Jak się było profesorem w Columbia, po prostu nie robiło się takich rzeczy, zwłaszcza jak się było profesorem na wydziale psychiatrii. Niech pan sobie tylko wyobrazi - słyszenie głosów, zapisywanie tego rodzaju tekstu...”

Thetford często mówił, że w rzeczywistości dr Schucman tak bardzo stresowała się tym tekstem, że kiedy czytała mu na głos to, co zapisała, musiał jedną ręką gładzić ją uspokajająco, a drugą pisał na maszynie. Dr Schucman przyznawała, że od czasu do czasu jej opór wobec treści przekazu malał:

„Pisanie trwało całymi latami i chociaż z czasem mój paniczny strach zmniejszył się, nigdy tak naprawdę nie przyzwyczaiałam się. A jednocześnie poza okresami otwartego buntu, nigdy poważnie nie pomyślałam, żeby zrezygnować, pomimo że wszystko to wydawało mi się grubą i często obelżywą ingerencją. Parę razy w trakcie pisania zdarzyło się, że czułam się dziwnie podniecona. Przy tych rzadkich okazjach zdawało mi się, że słowa niemal śpiewają i miałam wtedy poczucie głębokiej ufności i wręcz uprzywilejowania. Później zauważyłam, że te partie materiału były najbardziej poetyckie. Ale okresy wytchnienia były krótkie. Większą część czasu byłam okropnie podejrzliwa, przerażona i nie wierząca. Chociaż samo pisanie sprawiało mi tyle przykrości, jeszcze gorsze było czytanie później tego Billowi. Uzgodniliśmy, że pod koniec każdego dnia będę czytała mu to, co zapisałam, a on to napisze na maszynie. Nienawidziłam słuchać tego, co zapisałam. Byłam pewna, że to będzie niekoherentne, idiotyczne i niezrozumiałe. Z drugiej strony, zdarzało się, że coś mnie niespodziewanie głęboko poruszyło i nagle wybuchałam płaczem”. (5)

Chociaż w swoim pamiętniku dr Schucman nie mówiła konkretnie, kto kryje się za Głosem, to otwarte historyczne odniesienia w samym tekście nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Omawiając znaczenie ukrzyżowania, Głos stwierdził:

„Postanowiłem, przez wzgląd na was i siebie samego, wykazać, że najbardziej przerażający atak, jak go osądza ego, się nie liczy. Według tego, jak osądza świat, ale nie zgodnie z wiedzą Boga, byłem zdradzony, opuszczony, biczowany, udręczony i w końcu zabity. Było jasne, że stało się tak tylko z powodu projekcji innych na mnie, ponieważ ja nie wyrządziłem nikomu krzywdy, a uzdrowiłem wielu.

...Lekcja, której muszę nauczyć, tak jak ja się jej nauczyłem jest taka, że nie można usprawiedliwiać żadnej percepcji, która nie jest zgodna z Duchem Świętym. Podjąłem się udowodnienia prawdy tego na ekstremalnym przykładzie tylko dlatego, żeby była to dobra pomoc dydaktyczna dla tych, dla których pokusa, by poddać się gniewowi i atakować nie będzie tak ekstremalna. Wyjednam u Boga, żeby żaden z Jego Synów nie cierpiał.” (6)

Na zakończenie jednej z wersji swej autobiografii dr Schucman podaje wielemówiącą ocenę tego mistycznego autorytetu, który tak dramatycznie wtargnął w jej poplątane życie.

„Skąd pochodziło to pisanie? Wyraźnie odwoływało się do mojego wykształcenia, zainteresowań i doświadczenia, ale raczej w warstwie stylu, a nie treści. Na pewno sam temat był ostatnią rzeczą, o której bym się spodziewała pisać...

Później odkryłam, że wiele idei a nawet niektóre z użytych terminów, funkcjonują zarówno w myśli mistycznej Wschodu i Zachodu, ale w tamtym czasie nic o tym nie wiedziałam.

Tak samo nie rozumiałam spokojnego ale wywierającego silne wrażenie autorytetu, z jakim Głos dyktował. I głównie z powodu dziwnego niedopuszczającego sprzeciwu charakteru jego autorytetu, mówiłam i pisałam o Głosie przez wielkie „G”. Nie rozumiem, kto jest naprawdę autorem tego tekstu, ale to szczególne połączenie pewności, mądrości, łagodności, jasności i cierpliwości tak charakterystyczne dla Głosu, sprawiało, że taki sposób odnoszenia się do niego wydawał mi się absolutnie właściwy.

W wielu miejscach tekstu, Głos sam mówi bez ogródek o tym, kim jest Autor. Najpierw te informacje dosłownie ścinały mnie z nóg, potem moje reakcje stawały się mniej gwałtowne i teraz właściwie ustabilizowały się na poziomie zwykłego niezdecydowania. Nie rozumiem wydarzeń, które doprowadziły do pisania. Nie rozumiem tego procesu i z całą pewnością nie rozumiem, kto jest autorem. Moje próby wyjaśnienia mijałyby się z celem.”

(7)

Kenneth Wapnick, autor szczegółowej historii spisywania Kursu zatytułowanej *Absence from Felicity*, dementuje to oświadczenie dr Schucman. Wapnick, zauważając, że zaczęła

ona pisać swą autobiografię za namową Thetforda - uznał on, że byłby to dobry wstęp do Kursu - ma wrażenie, że pisała w ten sposób po to, by podeprzeć swój wizerunek, jako „nie kierującego się sentymentami naukowca, który pewnego dnia obudził się i zaczął pisać słowa dyktowane przez tajemniczy głos”. W rzeczywistości, twierdzi Wapnick, dr Schucman słyszała Głos już jakiś czas przed 21 października 1965 roku i dobrze wiedziała, do kogo on należy.

„Zwróciłem się do Helen kwestionując ten jej obraz siebie, jaki chciała tam uwiecznić” wspomina Wapnick „Powiedziałem jej: ‘Taką spuściznę zostawisz ludziom, a wiesz, że to nieprawda. Dlaczego nie napiszesz, jak było naprawdę?’ Zgodziła się i zaczęła od nowa, ale wywołało to w niej taki lęk, że nowa wersja była jeszcze gorsza! Powiedziałem więc, że nigdy nie będę o tym wspominał. W ten sposób jej autobiografia jest taka, jaka jest”. (W wersji autobiografii, którą mam u siebie, dr Schucman nigdy wyraźnie nie identyfikuje autora Kursu Cudów.)

### **Lekcja stosunków międzyludzkich**

Kiedy Helen Schucman i Bill Thetford zmagali się ze swym tajemnym zadaniem, wtajemniczając w ciągu siedmiu lat pisania zaledwie parę najbliższych osób, nie byli pewni, jaki przyświeca mu ostateczny cel; myśleli, że jest to do nich tylko skierowany, przydługi wywód na temat poprawy ich wzajemnych stosunków i z kolegami z pracy - co mogło być nieoczekiwana odpowiedzią na zobowiązanie wyrażone przez Thetforda, że będzie szukał „innego sposobu”. A nikt kto ich znał, nie mógłby zaprzeczyć, że ich szczególne wzajemne stosunki, które nawiązali siedem lat przed rozpoczęciem Kursu, bardzo potrzebowały naprawy.

Wapnick opowiada o „bezgranicznej wrogości”, jaka istniała pomiędzy asertywną, ostrą Helen a jej pasywno-agresywnym szefem. „Przez cały dzień kłócili się, a wieczorem spędzali jeszcze co najmniej godzinę przy telefonie powtarzając sobie wzajemne pretensje, każde rozpaczliwie przekonane o słuszności swego stanowiska. Zdawało się, że ich dyskusje, w których nieustannie napadali na siebie, nie mają końca”. (8)

W dwugodzinnym filmie dokumentalnym o Kursie zrealizowanym przez Foundation for Inner Peace w 1987 roku Bill Thetford pozwolił sobie na aluzję, że Helen Schucman „miała większe oczekiwania w stosunku do naszego związku, niż ja czułem, że jestem w stanie dać” (9), prawdopodobnie było to zakamuflowane nawiązanie do romantycznego pociągu, jaki czuła dr Schucman do Thetforda, który był homoseksualistą. Ale relacje między tą parą były o wiele bardziej skomplikowane niż mogłoby to tłumaczyć nieodwzajemnione uczucie, zwłaszcza jeśli uwzględni się fakt, że jedyną rzeczą, o którą podobno nigdy się nie spierali, był Kurs.

Wapnick, który poznał ich oboje, kiedy wspólnie pisali rozdział do mającej się ukazać książki *Comprehensive Textbook of Psychiatry*, mówi, że przy tej pracy toczyli „totalną wojnę”, natomiast cała ich gorycz i rywalizacja zniknęły, kiedy rozmowa kierowała się na Kurs. „Różnica była szokująca” wspomina Wapnick.

Z *Absence from Felicity* wiadomo, że pierwsze pięć rozdziałów Tekstu Kurs Cudów zostały, zgodnie z wyraźnymi dyrektywami Głosu, poważnie przeredagowane: usunięto wcześniejsze osobiste wskazania dla dr Schucman, z których wiele dotyczyło tego, jak powinny wyglądać jej stosunki z Thetfordem i objaśniało ich wzajemnie wspierające się role. Ale dr Schucman w sposób bardzo zdecydowany opierała się tym zmianom i nie wahała się sprzeciwić wewnętrznemu głosowi, który słyszała. Książka Wapnicka przytacza następujący dialog wewnętrzny zanotowany przez nią, ale nie umieszczony w Kursie: „[Jezus]: Każdy człowiek doświadcza strachu i nikt tego nie lubi. A przecież wystarczyłoby trochę dobrze pomyśle, żeby zrozumieć, dlaczego się pojawia. Ani ty, ani Bill nie poświęcaliście [sic] temu uwagi.

[Helen]: Protestuję przeciw użyciu orzeczenia w liczbie mnogiej, kiedy podmiot jest w liczbie pojedynczej; pamiętam, że ostatnim razem w bardzo podobnym zdaniu [Głos] powiedział to poprawnie, co zanotowałam z prawdziwą przyjemnością. Ten poważny błąd gramatyczny budzi moje podejrzenia co do autentyczności tych zapisków.

[Jezus]: To tylko dowodzi, że nie jesteś zbyt otwarta. Powodem, dlaczego to tak wyszło, jest to, że dokonujesz projekcji ... swojego własnego gniewu, a to nie ma nic wspólnego z tym, co notujesz. Popełniłaś ten błąd, ponieważ nie czujesz miłości, chcesz zatem, by to co mówię, brzmiało głupio, żebyś nie musiała na to zwracać uwagi...

Ty i Bill boicie się Boga, Mnie, samych siebie i praktycznie wszystkich ludzi, których znacie lub znaliście swego czasu.” (10)

Chociaż te osobiste wskazania zostały wycięte z samego Kursu, ich istnienie wyjaśnia niektóre dziwne fragmenty, w których autor wydaje się bezpośrednio besztać czytelnika:

„Możesz się upierać, że Duch Święty nie odpowiada [na twoje pytania], ale może byłoby słuszniej zastanowić się nad tym, jakim pytającym jesteś”. (11)

Jednak bez względu na to, ile osobistych instrukcji jeszcze otrzyma wewnątrz, dr Schucman końca życia będzie stawiać znaczny opór wobec stosowania przesłania Kursu. Wydaje się, że w późniejszym okresie życia Bill Thetford lepiej potrafił włączyć te nauki w swoją postawę i zachowanie. O ile dr Schucman umiała intelektualnie objaśniać Kurs i rzucała się w jego obronę, gdy tylko czuła, że jest kwestionowany lub zniekształcany, ani ona, ani Thetford nie umieli przelać jego nauk w swój związek, któremu, jak się na początku wydawało, Kurs był głównie poświęcony.

Wapnick pisze ”Kiedy poznałem ich późną jesienią 1972 r. tuż zaraz po ukończeniu Kursu, ich stosunki były tak złe, jak nigdy przedtem, a potem stawały się coraz gorsze. Wyglądało, jakby Helen za wszelką cenę chciała udowodnić, że Kurs w najlepszym razie jest nieskuteczny, a w najgorszym, szkodliwy, przez co mogła lepiej usprawiedliwić swoje pretensje do życia.” (12)

Mimo wszystko, ten nieprawdopodobny zespół dokończył swoją pracę. Obszerny Tekst został zakończony w październiku 1968 roku, prawie dokładnie trzy lata po zaczęciu. Głos zapowiedział wcześniej dr Schucman, że dzieło będzie zamknięte, kiedy usłyszysz słowo „Amen”. Ostatni paragraf Tekstu brzmi następująco:

„I teraz mówimy ‘Amen’. Ponieważ Chrystus przyszedł zamieszkać w siedzibie, którą ustanowiliście dla Niego, zanim nastał czas w spokojnej wieczności. Podróż dobiega kresu, kończy się w tym samym miejscu, w którym się zaczęła. Nie zostaje po niej żaden ślad. Żadnej iluzji nie daje się wiary, i nie pozostała żadna plama ciemności, która skrywałaby oblicze Chrystusa przed kimkolwiek. Twoja wola się stała, w pełni i doskonale, i wszelkie stworzenie uznaje Ciebie i wie, że jesteś jego jedynym Źródłem. Na Twoje podobieństwo jasność i Światło świeci ze wszystkiego, co żyje i porusza się w Tobie. Bowiem dotarliśmy tam, gdzie wszyscy jesteśmy jednym i jesteśmy u siebie tu, gdzie Ty zechciałeś, abyśmy byli.” (13)

Mimo całego oporu i sceptycyzmu dr Schucman była niezwykle silnie zaangażowana w oryginalny rękopis Tekstu. Sama przepisała go dwukrotnie na maszynie, potem razem z Thetfordem pracowała nad tytułami rozdziałów i śródtytułami, żeby podzielić długi, nieprzerwany wywód. Ile razy kusilo ją, żeby inaczej sformułować myśli, w sposób, który by lepiej pasował do jej własnych upodobań, zawsze w końcu się rozmyślała. „Wszelkie zmiany, które wprowadzałam, zawsze okazywały się na dłuższą metę złe i musiałam się z nich wycofywać” przyznała. Materiał ten „wiedział w jakiś sposób, co robi, i był znacznie lepszy, kiedy się go zostawiało dokładnie takim, jaki był”. (14)

Przez mniej więcej tydzień po ostatecznym zredagowaniu i przepisaniu Tekstu, dr Schucman czuła się odprężona i uwolniona od swojego zadania. Ale wkrótce zaczęła doświadczać poczucia bezcelowości. „Miałam dużo pracy, ale jakoś nie wypełniała ona próżni w moim życiu, która stawała się coraz większa i przygnębiająca”. (15) Po sześciu

miesiącach wpadła nie tylko w depresję, ale też zachorowała fizycznie, przemknęła jej wtedy przez głowę myśl, że może czeka ją jeszcze więcej pisania pod dyktando. Wspomniała o tym Thetfordowi, ale to Louis, jej mąż, który na ogół poświęcał mało uwagi pełnionemu przez nią zadaniu, umocnił ją w przekonaniu, że może pisanie nie było jeszcze zakończone. Dr Schucman zareagowała z łatwością do przewidzenia złością, ale sześć tygodni później, zaczęła zapisywać Zeszyt Ćwiczeń (Workbook).

„Ćwiczenia nie były już tak trudne jak pisanie Tekstu. Po pierwsze, podobała mi się generalnie ich forma, mimo, że pierwszych parę ‘lekcji; wydało mi się dość banalnych. Uważałam jednak, że dość szybko nabrały dobrego stylu i przybrały bardzo przyjemną formę białego wiersza, a uświadomienie sobie tych rzeczy bardzo mi pomogło. Również sam proces pisania nie był mi już tak bardzo obcy. I wreszcie, doceniłam precyzję układu Zeszytu ćwiczeń. Na samym początku [Głos] powiedział mi dokładnie, co ma zamiar zrobić i potem przystąpił do realizacji tych planów. Nawet koniec był z góry wiadomy. Od razu było jasne, że na każdy dzień roku przypadnie jedna lekcja i dokładnie tak to wyszło.” (16)

Wzmianka o białym wierszu odnosi się do faktu, że znaczne partie Kursu wyraźnie stosują się do szekspirowskiego metrum jambicznego pentametru. Według Kena Wapnicka dotyczy to całych dwóch ostatnich rozdziałów Tekstu, a także do wszystkiego, co następuje po Lekcji 99 w Ćwiczeniach.

Clive Matson, znany nauczyciel pisarstwa w północnej Kalifornii, który uzyskał stopień magistra poezji w Uniwersytecie Columbia, przejrzał na moją prośbę parę stron ostatniego rozdziału Tekstu Kursu. Jego zdaniem, proza, którą poddał analizie, charakteryzuje się konsekwentnym rytmem jambicznym, ale technicznie nie jest pentametrem, ponieważ ma formę paragrafów prozą a nie linii wiersza o dziesięciu akcentach. Jednak, kiedy na chybił trafił wybrał następujący paragraf:

„Tylko ci którzy oskarżają samych siebie, potępiają. Kiedy przygotowujesz się do dokonania wyboru, który przyniesie inne rezultaty, musisz koniecznie nauczyć się jednego. Musi stać się twoim zwyczajem reagować typowo we wszystkim co robisz, żeby to była już zawsze twoja pierwsza reakcja na wszystkie pokusy i każdą zaistniałą sytuację. Naucz się tego i naucz dobrze, ponieważ w ten sposób opóźnienie nadejścia szczęścia skraca się o okres czasu, którego nie jesteś świadomy. Nigdy nie nienawidzisz swojego brata za jego grzechy, lecz wyłącznie za swoje własne. Jakąkolwiek formę przyjmują jego grzechy, tylko zaciemnia to fakt, że wierzysz, że są to twoje grzechy i z tego powodu zasługują na „sprawiedliwy” atak.” (17)

i przekształcił go w wersy o dziesięciu akcentach, stwierdził, że paragraf ten dzieli się idealnie na szesnaście linijek jambicznego pentametru - „o sylabę ani za dużo, ani za mało” - mówi - „Byłem zaskoczony”. Inny wybrany przypadkowo paragraf pasował tak samo idealnie.

W 1976 roku w jednym ze swych rzadkich publicznych wystąpień w dyskusji panelowej, Helen Schucman przyznała, że to literacki styl Kursu sprawił, że spisywanie Kursu było dla niej do przyjęcia. „... to jest całkiem niezła literatura, która wymaga pewnego odczytania... Podoba mi się ten tekst z artystycznego punktu widzenia. Jestem w tym wypadku snobem, ale kto nie jest. Nie powinniśmy być odcięci od zbawienia tylko dlatego, że jesteśmy snobami.” (18)

Zapisywanie Ćwiczeń nie opóźniane ani nie kontestowane przez dr Schucman trwało od maja 1969 roku do lutego 1971 roku, następnie w kwietniu 1972 zaczęła się praca nad Podręcznikiem dla Nauczycieli zakończona po około pięciu miesiącach. Od 1972 do końca 1978 roku dr Schucman zapisała jeszcze pod dyktando wiele religijnych wierzy i dwie broszury: „Psychotherapy: Purpose, Process and Practice” (Psychoterapia: cel, proces i praktyka) oraz „The Song of Prayer” (Pieśń pochwalna). Odebrała także w 1972 roku informacje zebrane pod tytułem „Notes on Sound” (Uwagi na temat dźwięku).

„Uwagi” będące niekompletną rozprawą techniczną opisującą konstrukcję urządzenia przekształcającego fale świetlne w fale dźwiękowe, co ma umożliwić pomiar fizycznego uzdrowienia, przekazywał zupełnie inny głos niż ten, który dyktował Kurs. Bill Thetford wysunął teorię, że autorem „Uwag” mógł być niezjący ojciec Helen, wybitny metaloznawca, od którego Helen dorastając się odsunęła. Okazało się, że na podstawie niepełnych notatek nie można zbudować tego przyrządu, i Helen udało się wybronić przed ich dalszym dyktowaniem.

### **Jak Kurs stał się znany szerszej publiczności**

W ciągu paru pierwszych miesięcy po ukończeniu Kursu Bill Thetford pokazał go czterem osobom: dwóm przyjaciółom, księdzu katolickiemu i Hugh Lynnowi Cayce’owi, synowi słynnego medium i „channela” Edgara Cayce’a. Robert Skutch w krótkiej historii Kursu *Journey Without Distance* (Podróż bez odległości) twierdzi, że Cayce wypowiedział się, iż praca ta jest „niezwykle ważna” i może wywrzeć wpływ na „miliony istnień ludzkich”. (19) Thetford zaczął czytać dzieła Cayce’a już dużo wcześniej, w okresie kiedy Helen Schucman doświadczała nasilenia się wizji tuż przed pierwszym dyktowaniem Kursu. Kiedy Thetford nalegał wówczas na nią, żeby przeczytała dzieła Cayce’a, w pierwszej chwili odrzuciła wszystkie jako „straszne”, ale z upływem czasu zrewidowała tę opinię i coraz przychylniej się do nich odnosiła. W rzeczywistości Hugh Lynn Cayce zaprzyjaźnił się z Thetfordem i dr Schucman na tyle, że jedna z wcześniejszych wersji rękopisu zostanie nazwana później „wersją Hugh Lynna”. (Cayce nie brał jednak udziału w redagowaniu Kursu).

To właśnie ten egzemplarz trafił do rąk Kennetha Wapnicka, Ph.D., który zrezygnuje z zakonnego życia, po to żeby móc współpracować z dr Schucman nad kolejnymi redakcjami Kursu (zob. Rozdział 5) aż do końca stycznia 1975 roku. Był to moment, kiedy Thetford, dr Schucman i Wapnick bez wątpienia odczuli satysfakcję, że zakończyli tę niezwykłą pracę. Ale gdyby to zależało tylko od tej trójki, z której każde było na swój sposób introwertykiem - Kurs mógłby nigdy nie stać się niczym więcej jak opasłym sfotokopiowanym maszynopisem pokazywanym w zaufaniu paru znajomym. Żeby Kurs mógł dotrzeć do szerszego audytorium - a nikt z tych trojga głównych aktorów nie był pewien, czy rzeczywiście powinien - w tym niewielkim gronie musiał pojawić się ktoś z innym rodzajem osobowości.

Osobowość taka pojawiła się w postaci Judith Skutch i można powiedzieć, że wraz z nią Kurs zyskał „trzecią siłę”. Jego pierwszą siłą była *akademicka psychologia i psychoterapia*, pochodząca z naukowego nastawienia i zawodowego zaplecza dr Schucman i Thetforda; jej dowodem jest i dzisiaj wyraźna obecność profesjonalnych terapeutów i doradców wśród popleczników Kursu. Drugą siłę - *mistyczną duchowość* - dawał sam Głos, umocnił ją wpływ Kena Wapnicka, a odzwierciedla ją dzisiaj popularność Kursu Cudów w środowiskach kapłanów i nauczycieli różnych wyznań. Judy Skutch ułatwi zespolenie tych sił z liczącym sobie kilkadziesiąt lat ruchem społecznym, błędnie definiowanym, pod adresem którego padało wiele oszczerstw, nazywanym New Age (Nową Erą).

Mimo że te trzy siły zająbiają się na wiele sposobów - nie tylko wśród ludzi związanych z Kursem, ale i w szeroko pojmowanej kulturze - są one w swej istocie na tyle niepodobne, że wprowadziły mnóstwo niejasności wokół prawdziwego charakteru Kursu Cudów. Ich zbiegnięcie się w tym jednym zjawisku sprawiło, że Kurs jest odbierany na bardzo różne sposoby przez swoich uczniów, krytyków i szerszą publiczność.

Związki Judith Skutch z kulturą Nowej Ery obejmowały jej długoletnie zaangażowanie w parapsychologię. Judith, urodzona w Brooklynie jako córka Samuela Rothsteina - wybitnej osobistości w światowej organizacji żydostwa - była wychowana w domu, gdzie zawsze coś się działo, było pełno ludzi biorących udział w różnych zebraniach, omawiających

intrygujące idee lub zakładających organizacje. Ten styl Judy wyraźnie powieliała przez całe swoje dorosłe życie. (Kiedy bywałem w oficynie wydawniczej Foundation of Inner Peace mającej siedzibę w domu Judy i jej trzeciego męża Williama Whitsona (20), rzadkością było jeśli nie odbywały się tam co najmniej dwa spotkania jednocześnie.) Przed zetknięciem się z Kursem, Judy i jej drugi mąż Bob Skutch prowadzili w swoim wielkim apartamencie na Central Park West coś w rodzaju stałego „salonu świadomości”, a także organizację noszącą nazwę Foundation for ParaSensory Investigation (Fundację Badań ParaSensorycznych). Judy prowadziła zajęcia dokształcające dla dorosłych w Nowojorskim Uniwersytecie. W ich domu gośćmi byli między innymi Uri Geller - artysta estradowy obdarzony zdolnościami parapsychicznymi, guru Baba Muktananda, alternatywny onkolog dr Carl Simonton i wiele innych wybitnych i tajemniczych osobistości.

Przez kilka tygodni poprzedzających jej pierwszy kontakt z Kursem, Judy Skutch targały sprzeczne emocje, czuła się jak złapana w pułapkę bez wyjścia. „Wydawało się, że prowadzimy wspaniałe, ciekawe życie” wspomina. „Mieliśmy dom w Connecticut i duże mieszkanie w Nowym Jorku, gdzie było tyle miejsca, że mogło odbywać się tam jednocześnie wiele różnych spotkań. To były satysfakcjonujące i ekscytujące czasy. Ale gdzieś głęboko czułam, że popadam w prawdziwą otchłań rozpacz. W jakiś sposób wiedziałam, że nie jestem naprawdę spełniona, ale nawet nie zdawałam sobie sprawy, co to znaczy. Cały czas rozprawiałam o uzdrawianiu, a mnie samej nic nie pomagało. Którejś nocy zamknęłam się w łazience i zaczęłam walić głową w ścianę, pytając przez łzy: ‘Czy ktoś tam na górze mógłby mi pomóc?’ Teraz wiem, że doświadczałam duchowej pustki, ale wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy”.

Wkrótce po tym zdarzeniu Judy udała się na konsultacje do numerologa, od którego dowiedziała się, że wkrótce pozna dużo starszą kobietę, która stanie się najważniejszą nauczycielką w jej życiu i że zaangażuje się w wydanie pewnego bardzo istotnego dokumentu duchowego. Judy mając bardzo niewielkie doświadczenie z pracą wydawniczą, sceptycznie odniosła się do tej przepowiedni. Dziewięć dni później w barze kawowym Prezbiteriańskiego Centrum Medycznego Columbia poznała Billa Thetforda i Helen Schucman. Została im przedstawiona przez wspólnego znajomego, który sądził, że para psychologów może być zainteresowana jej studiami nad holistycznym uzdrawianiem. Judy Skutch tak opisuje ich spotkanie:

„Po tradycyjnej wymianie uprzejmości, poruszyłam temat, o którym chciałam porozmawiać, ale żadne z nich nie okazało najmniejszego zainteresowania uzdrawianiem holistycznym. Bill i Helen dyskutowali o badaniach naukowych w ogóle i im dłużej to trwało, tym bardziej zastanawiałam się, co ja tam robię. Potem zaczęłam odnosić wrażenie, że Helen jest czymś bardzo pochłonięta, czego nam jednak nie zdradza, ale za nic w świecie nie zgadłabym, co by to mogło być. Wiedziałam tylko, że to nie ma nic wspólnego z projektami badań, o których dyskutowała. I wtedy, przy deserze, usłyszałam, jak wypowiadam słowa, w które sama nie mogłam uwierzyć. Zwróciłam się do Helen i z moich ust wyszło: ‘Pani słyszy wewnętrzny głos, prawda?’.

Helen zbladła, jej twarz przybrała nienaturalny wyraz i zapytała bardzo słabym głosem: ‘Co pani powiedziała?’

Bill wstał od stołu i odsunął krzesło mówiąc: ‘Może przejdziemy do gabinetu. Myślę, że tam będzie nam znacznie wygodniej’.”

W ich gabinecie Judy poznała Kena Wapnicka i w ciągu dwóch następnych godzin słuchała historii spisywania Kursu. Wyszła stamtąd upychając niezgrabnie rękopis do torby na zakupy, mając już przecucie, że Kurs może stać się dziełem jej życia. Wieczorem zaczęła czytać rękopis i przeczytała go jednym tchem zapominając o śnie.

W taki to sposób Judy Skutch dołączyła do niewielkiego grona osób bliskich Kursowi, dla których był on celem życia. Spotykając się w swoim apartamencie trzy lub cztery razy



tygodniowo z Helen Schucman, Thetfordem i Wapnickiem, Judy poprosiła ich o przerobienie razem z nią ćwiczeń rocznych. (Dla Thetforda i dr Schucman miał to być trzeci raz, a dla Wapnicka drugi). Skutki, jakie Kurs wywarł na rodzinie Skutchów, a także niektóre niezamierzone korzyści, widoczne są we fragmentach dziennika, pisanego przez szesnastoletnią wówczas Tamarę Cohen, córkę Judy Skutch z pierwszego małżeństwa: „Uważam, że Kurs jest bardzo ciekawy, ale muszę przyznać, że zaczynam już być nim zmęczona. Mama ciągle mówi o zmianie percepcji, byciu bez winy i patrzeniu na wszystko przez pryzmat miłości...

Prawdziwym cudem jest, to że Mama już prawie od roku czyta Kurs i przerabia z niego ćwiczenia. Muszę przyznać, że się naprawdę bardzo zmieniła... W pierwszym okresie studiów Kursu, zawsze wiedziałam, jak sprowokować ją do kłótni. Chodziłam za nią po całym domu jęcząc i marudząc. A kiedy zaczynała się na mnie wściekać, mówiłam: ‘No, no, no, pamiętaj, co mówi Kurs! To tylko iluzja. Nie ćwiczysz się w miłości!’ O rany, jak ją to wkurzało!...

Teraz pracuje już z tym tekstem od roku i kiedy przychodzę, żeby się z nią pokłócić, nie udaje mi się... Mimo że Kurs Cudów pozbawił mnie tych przyjemności, dzięki niemu zyskałam większą niezależność... Kiedy wychodzę gdzieś wieczorem, zawsze się staram, żeby powiedzieć o tym Mamie, kiedy jest w towarzystwie innych osób. Kiedy mówi o swoich obawach, odpowiadam jej słowami prosto z Kursu Cudów: ‘W mej bezbronności moje bezpieczeństwo leży’.” (22)

(Tamara Cohen wyrosła w końcu z młodzieżowego manipulowania naukami Kursu i ostatnio zaczęła pracować dla Fundacji Wewnętrznego Spokoju, przeprowadzając archiwalne wywiady ze współczesnymi Helen Schucman i Billa Thetforda.)

O ile Helen Schucman, Thetfordowi i Wapnickowi brakowało zmysłu public relations, Judy Skutch wyraźnie nadrabiała za wszystkich. Thetford zażartował kiedyś, że Judy zabiera ich niewielką grupkę na zebranie New Age, żeby poznali pięć tysięcy jej bliskich przyjaciół. Faktycznie jej entuzjazm dla rozgłaszania Kursu nakłonił dr Schucman, Thetforda i Wapnicka do podjęcia w krótkim okresie podróży i kursów na temat Kursu, od Kalifornii (gdzie poznali Jerry’ego Jampolsky’ego, zob. Rozdział 4) po Londyn. Jednak ten etap nie trwał długo, ponieważ Helen nie lubiła wokół siebie rozgłosu, i ani ona, ani Thetford nie chcieli brać na swoje barki ciężaru „życia publicznego” Kursu Cudów. Była to ewidentnie domena Judith Skutch. Rozsyłając kilkaset skróconych wersji Kursu pod auspicjami Fundacji Badań ParaSensorycznych, Judy Skutch zobaczyła, że zainteresowanie Kursem „gwałtownie” wzrasta. Złożono jej parę ofert profesjonalnego opublikowania tego materiału w skróconej formie, ale wszystkie zostały odrzucone, ponieważ, jak pisała: „[Kurs] nie został zredagowany w wersji uproszczonej, a wydawało nam się, że nie powinno się go wydawać dla zysku; wiedzieliśmy również, że nie trafiliśmy jeszcze na właściwą metodę jego druku i upowszechniania”. (23)

W końcu w 1976 roku w Walentynki wtajemniczone czteroosobowe grono związane z Kursem Cudów spotkało się, żeby porozmawiać o konieczności szybkiego wydania Kursu. Decydując się na skonsultowanie się z Głosem jako grupa, w ciszy poprosili o wskazania i, jak wiadomo z relacji Judy, każde z nich otrzymało inną dyrektywę:

„Helen usłyszała, że pracę tę powinni wykonać ludzie, którzy całkowicie poświęcą temu zadaniu swoje życie. Ja - że powinna to być organizacja nie nastawiona na zysk, żeby osoby, których nie stać na kupno egzemplarza, mogły go dostać w ramach stypendium jako ‘dar miłości’. Bill dodał, że opublikowany Kurs nie powinien w żaden sposób odbiegać od oryginału, a wskazówka dla Kena brzmiała, że wszyscy w ten czy inny sposób, musimy się w to dzieło włączyć”. (24)

Krótko mówiąc, zorientowali się, że są jedyną grupą, która spełnia te wszystkie kryteria, co musi oznaczać, że zostali wybrani do opublikowania Kursu. Kiedy zadali dalsze pytanie, skąd miały się wziąć na to pieniądze, ani Thetford, ani Wapnick nie usłyszeli

żadnej odpowiedzi. Dr Schucman poczuła, że „Judy dowie się, co ma zrobić” i rzeczywiście Judy Skutch otrzymała niejasne przesłanie „Najpierw złóż zobowiązanie”. Judy mimo iż zdała sobie sprawę, że w grę może wchodzić przeznaczenie całego jej majątku na publikację Kursu, zgodziła się.

Następnego dnia rano, odebrała telefon od Reeda Ericksona, bogatego przemysłowca z Mazatlan w Meksyku, który czytał Kurs w fotokopii. Nalegał na Judy Skutch, by czym prędzej opublikowała Kurs w twardej oprawie. Odpowiedziała, że podjęli już taką decyzję, tylko nie wiedzą skąd wziąć na to pieniądze. Erickson wyjawiał wtedy, że zadzwonił po to, żeby zaoferować dochód ze sprzedaży nieruchomości na pokrycie kosztów druku pięciu tysięcy egzemplarzy Kursu Cudów. Następnie wysłał czek opiewający na dwadzieścia tysięcy dolarów (co stanowiło jedną trzecią wszystkich kosztów) bezpośrednio do Saula Steinberga, wydawcy z Long Island, który w rekordowo krótkim czasie doprowadził do wydania książki, pilotując jej skład, druk i oprawę. Całość została ukończona 22 lipca 1976 roku - jest to data oficjalnego wydania Kursu Cudów.

W tym okresie Fundacja Badań ParaSensorycznych Boba i Judy Skutchów, zgodnie ze wskazaniami, jakie otrzymała Helen Schucman, zmieniła nazwę na Fundację Wewnętrzny Spokoju. Przynajmniej tym razem dr Schucman nie protestowała przeciw otrzymywanym wskazówkom. W końcu, jak wspomina Ken Wapnick, uważała, że osoby obdarzone zdolnościami parapsychoicznymi, media i im podobne są „zabawne”.

[podpis pod zdjęciem]

William Thetford i Helen Schucman w Nowym Jorku, 1975 r. (zdjęcie opublikowane dzięki uprzejmości Fundacji Wewnętrzny Spokoju)

## Rozdział 2

### Kim byli Helen Schucman i William Thetford?

Przynajmniej piętnaście procent ogółu ludności wcześniej czy później „słyszy” wewnętrzny głos oferujący jakieś informacje lub wskazania, twierdzi Artur Hastings, psycholog, autor studium nad channelingiem zatytułowanego *With the Tongues of Men and Angels* (Językami Ludzi i Aniołów). „Bez względu na to, czy słuszne są twierdzenia o ich nadnaturalnym pochodzeniu tych zjawisk, pozostaje faktem, że doświadczają ich osobnicy zdrowi na umyśle” pisze. „Co więcej, wiele tych przekazów zawiera znaczące informacje i przejawia wiedzę i talenty, których channeler jest absolutnie nieświadomy”. (1)

Idea channelingu musi budzić kontrowersje: albo się w nią wierzy, albo nie. O ile prawie każdy wybitny channel utrzymuje, że był zaskoczony erupcją swego egzotycznego talentu, Helen Schucman jest absolutnie wyjątkowa w swym trwałym oporze i niechęci wobec niezwyklego zadania, które jednak spełniła - nie wspominając już o jej niechęci do stania się rzeczniczką przesłania, które zapisała.

Jeżeli uzna się za wiarygodne, że historyczny Jezus Chrystus wybrał kogoś, kto zapisał rozwlekły wywód skierowany do współczesnych, warto przyjrzeć się charakterom Helen Schucman i Billa Thetforda, żeby spróbować znaleźć odpowiedź na pytanie, które sobie zadawała Helen Schucman: Dlaczego oni? Jeżeli zaś uzna się za wiarygodne tylko to, że ta para wyrafinowanych psychologów pracowała siedem lat na rzecz świadomego projektu lub podświadomych idei dr Schucman, źródło Kursu z pewnością wyda się mniej nadnaturalne - ale tym bardziej tajemnicze.

### Helen Schucman, zagniewana mistyczka

Pierwsza poważniejsza krytyczna rozprawa na temat Kursu Cudów ukazała się w czasopiśmie *Psychology Today* z września 1980 roku w artykule napisanym przez byłego autora magazynu *Time* Johna Koffenda, zatytułowanym „The Gospel According to Helen” (Ewangelia według Helen). Charakteryzując Kurs jako najnowszy produkt w „prawdziwym

supermarkecie kultów, religii i ruchów psycho-mistycznych” , jaki powstał w Ameryce, artykuł poddawał w wątpliwość prawdziwość historii genezy Kursu i kwestionował niechęć dr Schucman i Thetforda do przypisywania sobie autorstwa ich dzieła. (2) W tym okresie dr Schucman jeszcze żyła, ale nie zgodziła się na udzielenie wywiadu. „Jeżeli Chrystus tak bardzo chciał się dać rozpoznać zwykłej śmiertelniczce imieniem Helen” atakował Koffend, „dlaczego ona i Bill Thetford tak niechętnie przyznają się do swego współdziałania w dziele Pana?” (3)

Te słowa krytyki, napisane w okresie zanim dwoje umiejących zadbać o reklamę channelerzy J.Z Knight (Ramtha) i Kevin Ryerson zyskało wielki rozgłos, brzmia dzisiaj niemal jak pochwała. Ale znaczne zamieszanie wywoływał paradoksalny charakter Helen Schucman, przez który rozsiewano na temat jej osobowości i religijnego wychowania wiele niezgodnych z prawdą informacji. W sceptycznej analizie channelingu, która ukazała się w *The Fringes of Reason* (Na obrzeżach rozumu), specjalnym wydaniu Whole Earth Catalog z 1989 roku, redaktor Ted Schultz zasugerował, że Kurs może być olbrzymim artefaktem „kryptomnezji”, to jest ukrytej pamięci. Podpierając się cytatami pochodzącymi z książki Jona Klimo *Channeling* (St. Martin's Press), Schultz cytuje dwa znane źródła z kontrkultury psychologii:

„... Michael Murphy, współzałożyciel Instytutu Esalen, mówi: '[Schucman] została wychowana na tego rodzaju [spirytualistycznej] literaturze. Jej ojciec był właścicielem sklepu z metafizycznymi książkami'. Natomiast psycholog transpersonalny Ken Wilber twierdzi: 'W Kursie jest znacznie więcej z Helen niż mi się najpierw zdawało. Była wychowana w duchu mistycyzmu. W wieku czterech lat wychodziła na balkon i mówiła, że Bóg da jej cudami znak, żeby powiedzieć o swym istnieniu. Wiele idei z Kursu pochodziło z nowej myśli lub metafizycznych szkół, pod których wpływem się znajdowała...' (4) Ani Murphy, ani Wilber nie mieli racji. Z autobiografii Helen Schucman wiadomo, że jej ojciec, Sigmund Cohn, ceniony chemik i metalurg, z rodziny żydowsko-luterańskiej, nie przejawiał sam żadnych duchowych skłonności. W jednej z najdłuższych rozmów z nim, które zapamiętała, odpowiadał na jej dziecinne pytanie o Boga z wystudiowaną obojętnością. Jej matka co prawda w różnych okresach parała się teozofią i scjentyzmem, ale mała Helen nie była uczuciowo związana z rodzicami. Największy religijny wpływ we wczesnym dzieciństwie wywarła na nią niania wyznania rzymsko-katolickiego i czarna służąca baptystka. Jako nastolatka Helen została ochrzczona w kościele baptystów tejże służącej, ale była rozczarowana, że nie czuła w związku z tym w sobie żadnych zmian. Jako dorosłą zafascynują ją rytuały kościoła katolickiego i ta fascynacja pozostanie w niej na całe życie, ale nigdy nie będzie brała pod uwagę możliwości przejścia na tę wiarę. Właścicielem księgarni z rzadkimi książkami i amerykańkami był jej mąż, Leon Schucman. Według Helen „od czasu do czasu przetrząsał literaturę o mistycyzmie, uważając temat za ciekawy, ale nie warty naukowych badań”. (5) Nie ma zatem wiele dowodów na to, by szkoły „nowej myśli” czy mistycyzmu, wywarły na Helen poważny wpływ, zanim zaczęła zapisywać Kurs, o czym jest mowa w Rozdziale 1.

Bill Thetford zaczął interesować się dziełami ezoterycznymi już na parę miesięcy przed zapisywaniem Kursu, po tym, jak Helen zaczęła dzielić się z nim swoimi mistycznymi doświadczeniami. Pod koniec lata 1965, przed spisaniem pierwszych słów Kursu, namówił Helen, by towarzyszyła mu w podróży do siedziby fundacji Edgara Cayce'a - Association for Research and Enlightenment (Stowarzyszenie Badań i Oświecenia) w Virginia Beach. Jak już mówiłem, na początku Helen Schucman niepokoiło wszystko, co miało związek z Cayce'm i nie zgodziła się na czytanie tych tekstów. Gdy zaczęło się zapisywanie Kursu, Thetford cały czas zajmował się badaniami porównawczymi religii i mistycyzmu, ale dr Schucman z rzadka i tylko za jego namową czytała coś z tej dziedziny. Dwunastoletnia Helen rzeczywiście stanęła któregoś wieczoru na balkonie i poprosiła Boga, by ukazał jej się cudowny znak - spadająca gwiazda, którą ku swemu zdumieniu po

chwili zobaczyła. Było to podczas podróży z całą rodziną do Lourdes. Ale wewnętrzny konflikt pomiędzy wiarą religijną a naukową racjonalnością, który będzie tak charakterystyczny dla niej w wieku dorosłym, był już wyraźny nawet wtedy, ponieważ dziewczynka szybko zdemaskowała swoje mistyczne przeżycie:

„Stałam bez ruchu, dopóki gwiazdy nie zniknęły i niebo nie pociemniało znowu. I wtedy sobie przypomniałam. Przewodnik powiedział, że w tej części świata jest to pora deszczu meteorów i że wkrótce to zjawisko będzie całkiem częste. To nie był żaden cud... A może, pomyślałam sobie, święcona woda, uzdrowienia, kule inwalidzkie są jak deszcz meteorów. Ludziom się tylko zdaje, że są to cuda. To mogło tak właśnie być. Tak łatwo można dać się omamić.” (6)

Kiedy Helen wstąpiła do college’u, jej młodzieńcza religijność zaczęła zanikać, gdyż „radośnie zanurzyłam się w systemy myśli, prawa rozumowania a zwłaszcza logikę”. Miała także pewną ukrytą ambicję, której, jak stwierdziła, nie była w stanie zrealizować. O ile, ku zadowoleniu matki, oświadczyła, że tak jak ona planuje zostać nauczycielką angielskiego, naprawdę „nie miałam wątpliwości, że kiedyś zostanę wielką pisarką, światowej sławy powieściopisarką. Będę żyła samotnie i pisała. Nie będę taka jak inni ludzie, ale będę od nich wyraźnie lepsza. W świetle mojego tajnego celu, olbrzymie trudności, które sprawiało mi napisanie czegokolwiek, były dla mnie szczególnie uciążliwe”. (7)

Równie ciężką próbą okazała się dla niej zagrażająca życiu choroba, na którą zapadła niedługo po ukończeniu college’u. To wtedy zaczęła się złościć na Boga i ten gniew nigdy całkowicie miał nie ustąpić. Za gruba, niepewna siebie i bardzo samotna jako dziecko - miała tylko starszego o czternaście lat brata - Helen w wieku nastu lat zapadła na poważne zaburzenia odżywiania się, których skutkiem była ciężka choroba woreczka żółciowego około dwudziestki. Odkładając miesiącami nieuchronną operację i żyjąc z coraz większym bólem, Schucman postanowiła wypróbować Boga - noc przed operacją:

„Przypuszczałam, że jest jakaś szansa, że [Bóg] jednak istnieje. Fakt, że nie wierzę w niego, na pewno nie miał tak czy inaczej nic wspólnego z jego egzystencją. W każdym razie, próba zawarcia rozsądnego kompromisu nie mogła zaszkodzić. N wypadek, gdyby istniał, złożę w jego ręce swoją operację, i jeśli wszystko potoczy się dobrze, może potrafię znowu w niego uwierzyć. Nic nie traciłam próbując. Zmówiłam pacierz, oddałam operację w ręce Boga i następnego dnia poszłam do szpitala z medalikiem z Matką Boską na szyi”. (8)

Ale Helen o mało co nie umarła i musiała pozostać w szpitalu cztery miesiące. Kiedy odzyskała wreszcie świadomość po operacji, obudziła się i zobaczyła, że opiekuje się nią głęboko religijna pielęgniarka, która uznała, że jej przeżycie jest „cudem” i za ten cud zamówiła już mszę dziękczynną.

„Ja to traktowałam zupełnie inaczej” wspomina Helen. „Pomyślałam, że jeżeli Bóg tak sobie wyobraża doprowadzanie wszystkiego do ładu, to musi mieć bardzo paskudne poczucie humoru... Powiedziałam pielęgniarce, że oczywiście nie mogę zabronić jej modlitwy, ale dodałam, że byłabym wdzięczna, gdyby nie prosiła Boga o kolejny cud, dopóki nie wzmocnię się na tyle, żeby sobie z nim poradzić”. (9)

W późniejszych latach, kiedy podjęła podyplomowe studia psychologiczne, przeszła „od agnostycyzmu do zacieklego ateizmu”, uzbrajając się w „naukową broń, i stając ochoczo do walki z ideami, w których wystarczało, by tylko pobrzmiwała daleka nutka religii.... Mocno wierzyłam, że nareszcie pokonałam przesady i patrzę na świat realistycznie”. (10) Jak sama twierdzi, w takim właśnie anty-religijnym i zdecydowanie zgorzkniałym stanie umysłu zaczęła pracować z Billem Thetfordem.

Ale Ken Wapnick, który niemal stale towarzyszył Helen w późniejszych latach, nigdy nie wierzył, że wzięła taki całkowity rozwód z Bogiem. „Ateizm Helen to brzmi dobrze”, sugeruje, „ale to nie jest cała prawda. Nie można tak usilnie zwalczać czegoś, w co się na

jakimś poziomie nie wierzy. Helen miewała w swoim życiu takie okresy, kiedy codziennie chodziła na mszę; pociągało ją to mimo, że nie wierzyła. Miała dwa woreczki pełne katolickich różańców i medalików, które zebrała przed Kursem. Dogłębnie знаła Biblię. Przybierała taką pozę, ponieważ była psychologiem, a psycholog musiał być ateistą”. Była także naturalną, urodzoną wizjonerką; od czasu do czasu nachodziły ją przeżycia mistyczne, które zatykały jej dech w piersiach. W 1933 roku w wieku dwudziestu trzech lat Helen poślubiła Leona Schucmana i ten spolegliwy choć nieco beznamiętny związek z tym mołem książkowym trochę ją ustabilizował. To jednak nie znaczy, że nigdy się jej nie zdarzało gwałtownie oburzać na niego. Kiedyś zimą Leon uparł się, żeby na jakieś przyjęcie pojechali metrem a nie taksówką; w metrze siedziała zła i naburmuszona, a on spokojnie czytał gazetę.

„Nabierałam coraz większej pewności, że złapię zapalenie płuc, i to z pewnością obustronne. Na dodatek wszyscy wokół nas kaszleli i kichali i niemal widziałam fruujące w powietrzu zarazki. Nabrałam przekonania, że bezmyślność mojego męża przyniesie fatalne skutki. To, że z zadowoleniem był pochłonięty gazetą, jeszcze pogarszało sprawę. Wszystko to było nie tylko groźne, ale też absolutnie odrażające. W wagonie śmierdziało czosnkiem i fistaszkami, ludzie mieli na sobie wyświechtane ubrania i byli brudni. Po drugiej stronie przejścia dziecko zabrudzonymi czekoladą rączkami klepało matkę po twarzy, zostawiając jej na policzkach odciski brudnych palców. Obok inna kobieta wycierała płaszcz, na który zwymiotowało jej niemowlę. Dziecko parę siedzeń dalej podniosło z podłogi gumę do żucia i włożyło ją do buzi. Przy drzwiach grupa starszych spoconych mężczyzn kłóciła się zawzięcie. Zamknęłam z obrzydzeniem oczy, czując, że robi mi się niedobrze.

I wtedy stało się coś zdumiewającego. Jakieś oślepiające światło rozblęsnęło mi w głowie i wypełniło cały mój umysł. Nie otwierając oczu, zobaczyłam samą siebie, jak zmierzam prosto ku światłu. Wydawało się, że moja postać dobrze wie, co robi i że ta sytuacja jest jej doskonale znana. Zatrzymała się na moment i uklękła dotykając do ziemi łokciami, dłońmi i czołem w geście przypominającym wschodni sposób oddawania najgłębszej czci. Potem wstała, odeszła na bok i przyklękła znowu, tym razem pochylając głowę tak, jakby opierała ją o czyjeś olbrzymie kolano. Otoczył ją zarys wielkiego ramienia i postać zniknęła. Światło stało się jeszcze jaśniejsze i poczułam, jak spływa z niego na mnie nieopisywalnie intensywna miłość. Było to tak potężne uczucie, że dosłownie zaparło mi dech w piersi i otworzyłam oczy.

Jeszcze przez chwilę widziałam światło i w tej chwili z tą samą niewiarygodną intensywnością kochałam każdego człowieka w metrze. Potem światło zgasło i wrócił dawny obraz brudu i brzydoty. Kontrast był naprawdę szokujący. Ładnych parę minut dochodziłam do równowagi. Potem niepewnie ujęłam rękę męża.” (11)

Helen usiłowała opowiedzieć Louisowi o swoim zdumiewającym przeżyciu i poczuciu wszechogarniającej miłości. Mąż pogłaskał ją po ręce i zapewniając, że to wyglądało na „zwyczajne przeżycie mistyczne” poradził, żeby się nad tym nie zastanawiała - odpowiedź, która w następnych latach będzie cały czas charakteryzowała jego stosunek do wszelkich spraw duchowych, w tym także do Kursu.

### **Spotkanie z „Tym, któremu mam pomóc”**

Do niemal czterdziestego roku życia Helen nie mogła się zdecydować na żadne stałe zajęcie. Próbowwała nie raz pracować z Louisem w księgarni, ale zbyt często się kłócili. Nawet jak już postanowiła, że będzie studiować psychologię na studiach podyplomowych, była pełna wątpliwości i wahała się przed realizacją tej decyzji. W końcu w 1952 roku wróciła na Nowojorski Uniwersytet, gdzie skończyła studia magisterskie i w 1957 roku zdobyła stopień doktorski (Ph.D) z psychologii klinicznej. Fakt, że skończyła te studia z prawie najlepszymi wynikami na roku, jest dość niezwykły, jeśli weźmie się pod uwagę jej

chorobliwy lęk przed pisaniem i przemawianiem publicznym. Wiele lat później Ken Wapnick będzie jej dokuczał, że jest prawie „funkcjonalną analfaberką”.

Pomimo to jej prace semestralne zyskiwały gorące pochwały profesorów i wkrótce po uzyskaniu dyplomu napisała propozycję grantu opartego na jej rozprawie doktorskiej dotyczącego zdolności uczenia się ciężko upośledzonych umysłowo dzieci. Wyglądało na to, że oferta pracy dydaktycznej w uniwersytecie ostatecznie załatwi sprawę odwołanej przez nią decyzji co do kariery zawodowej. Helen Schucman widząc już siebie w roli szefa dużego wydziału badawczego złożyła jeszcze parę innych projektów badawczych, które na pewno byłyby dobrym początkiem jej kariery.

W dniu rozpatrywania grantów Helen była bardzo niespokojna; zawędrowała do kościoła katolickiego, zapaliła świeczkę i przedstawiła Bogu „propozycję nie do odrzucenia”, żeby przyjęto jej projekty..Ale wyszła z kościoła zła, przeczuwając, że życie nie potoczy się zgodnie z jej życzeniami. Istotnie, wieczorem dowiedziała się, że jej wystąpienia o granty zostały odrzucone; parę następnych tygodni była rozgoryczona i przybita, nie zgadzała się też skorzystania z jakichkolwiek zawodowych znajomości, dzięki którym mogłaby bez trudu znaleźć pracę.

W końcu jednak zmobilizowała się i zadzwoniła do jednego kolegi, który natychmiast podał jej listę obiecujących kontaktów. Ale ten sam znajomy zaraz potem odebrał telefon od Williama Thetforda, pracującego od niedawna Prezbiteriańskim Centrum Medycznym Columbia, z zapytaniem, czy nie może mu polecić jakiegoś dobrego psychologa badacza do prac, którymi Thetford ma kierować. Natychmiast zadzwonił do Helen, kazał jej wyrzucić listę, którą właśnie od niego dostała i szybko zatelefonować do Thetforda. Helen Schucman tak wspominała ich pierwsze spotkanie:

„Kiedy weszłam parę dni później do jego biura, powiedziałam do siebie w myśli pierwszą z serii uwag, których sama nie rozumiałam, a na które w tym czasie nie zwracałam szczególnej uwagi.

‘To on’ powiedziałam do siebie. ‘To ten, któremu mam pomóc’.

Podobna myśl przysłała mi do głowy kilka dni później, gdy Bill i ja już trochę lepiej się poznaliśmy. Była to kolejna z tych dziwnych, niezwiązanych z niczym rzeczy, które jakoś zaczęły wdzierać się do mej świadomości w oderwaniu od mojego bieżącego życia. Krótką chwilę zdawało mi się, że jestem gdzie indziej, mówiąc jakby w odpowiedzi na bezgłośnie, ale pilne wezwanie: ‘Oczywiście, że pójdę, Ojcie. On ugrzązł i potrzebuje pomocy. Poza tym, to nie potrwa przecież długo!’ Sytuacja ta była podobna do jakby na pół zapomnianego wspomnienia i byłam świadoma tylko tego, że jestem w miejscu pełnym szczęścia. Nie miałam pojęcia, z kim rozmawiam, ale jakoś wiedziałam, że podejmuję stanowcze zobowiązanie, którego na pewno nie złamię.” (12)

Nowy szef Helen, tak samo jak ona trafił do Centrum w nieoczekiwany sposób. Przedtem pracował w Centrum Medycznym Uniwersytetu Cornell i za namową przyjaciela zaczął ubiegać się o stanowiska szefa wydziału psychologii w Szpitalu Prezbiteriańskim.

Thetford, mając ambiwalentny stosunek do tej możliwości, postąpił w charakterystyczny dla siebie pokrętny sposób: zażądał stanowiska profesora, przypuszczając, że tak wygórowane wymaganie sprawi, iż stanie się niepożądanym kandydatem. Ale jego żądanie zostało spełnione i w lutym 1958 roku Thetford podjął pracę w Columbia.

Helen Schucman poznała go parę miesięcy później; zrobił na niej wrażenie człowieka zabiedzonego, któremu przydałoby się przyjacielskie wsparcie. Ale jednocześnie stwierdziła, że jej nowa posada jest „okropna”. Oboje bardzo źle się czuli pracując w ostro rywalizującym akademickim i medycznym środowisku. W ciągu następnych siedmiu lat, Helen miała wrażenie, że jest coraz gorzej a nie lepiej. Ich niełatwą sytuację opisała w sposób następujący:

„Kiedy Bill uznawał sytuację za zbyt trudną czy stawiającą go pod ścianą, miał tendencję do wycofywania się i często to robił.... Kiedy był zły czy rozdrażniony, co mu się często

zdarzało, rzadko atakował otwarcie, ale raczej stawał się coraz bardziej wyalienowany i obojętny, a następnie otwarcie zły. Ja, z kolei, miałam skłonności do nadmiernego angażowania się, poczem czułam, że nie mam wyjścia i byłam pełna uraz... Nasze wzajemne stosunki stały się pułapką, której nie cierpieliśmy, ale nie potrafiliśmy się z niej wydostać”. (13)

Z perspektywy czasu, ta niewiarygodna para dojdzie do wniosku, że nie mogli uciec od tego związku, ponieważ służył on innemu celowi niż ich doczesna praca zawodowa. Kiedy w lipcu 1965 roku Thetford wygłosił wreszcie do dr Schucman swą słynną mowę „Musi być inny sposób” - przyznając zresztą później, że każde jej słowo brzmiało oklepanie i sentymentalnie - nieoczekiwanie stwierdziła, że jest przekonana, iż on ma rację i że z całego serca chce razem z nim spróbować w nowym świetle spojrzeć na ich osobiste i zawodowe trudności i przedłożyć współpracę nad rywalizację.

W ostatecznym rozrachunku, ten lepszy sposób, do którego oboje się zobowiązali, okazał się korzystniejszy dla ich stosunków z kolegami, a nie ich wzajemnych. Ale niemal natychmiast Helen zaczęła doświadczać częstych napadów czegoś, co Thetford nazwał później „wzmogoną wyobraźnią wizualną”. (14) Helen już w dzieciństwie, gdy tylko zamykała oczy, widziała wyraźne obrazy mentalne jak białe-czarne fotografie. „To mógł być obraz czegokolwiek: kobiety z psem, drzew w deszczu, wystawy sklepu z obuwiami, tortu urodzinowego z zapalonymi świeczkami, schodów prowadzących w dół po zboczu”. (15)

Między lipcem a wrześniem 1965 roku te mentalne wizje nabrały jednak nowej jakości: doszedł do nich kolor, ruch, a czasem fabuła. Były to właściwie marzenia sennie, z tą różnicą, że występowały w stanie czuwania. Niektóre wizje miały miejsce podczas pierwszych prób medytacji, o której to praktyce czytał w owym czasie Bill. Helen zirytowana jego entuzjazmem, napisała: „nie uważałam, że nasza umowa, by spróbować w nowy sposób podejść do naszych problemów, usprawiedliwiała wkraczanie na ‘świrowate’ tereny.” (16) Mimo to zgodziła się na to, żeby codziennie medytować krótko razem z Thetfordem i na samodzielne medytacje rano i przed snem.

„Sny”, które nawiedzały Helen Schucman w tych i innych okresach wytchnienia progresywnie ujawniały jej wewnętrzne metaforyczne i duchowe życie, życie w którym często występowała jako kapłanka z pradawnych czasów a także jako inne postaci z różnych epok historycznych. Niekiedy w tych snach pojawiał się także Thetford. (17) W widzeniu, które chyba jest najlepiej znane aficjonadom Kursu, Helen płynie niewielką łódką z prądem rzeki i postanawia, że za pomocą bosaka wydobędzie z dna coś, o czym wie, że jest „ukrytym skarbem”. Wyciąga dużą skrzynię, która ku jej rozczarowaniu nie zawiera ani drogich kamieni, ani złotych monet, tylko duży czarny segregator z napisem „Aesculapius” (Eskulap - grecki bóg sztuki lekarskiej) na grzbiecie. Dopiero dużo później, jak zaczęli spisywać Kurs, Helen i Bill zorientowali się, że księga z jej snu przypominała segregatory, w które wkładali kartki z tekstem podyktowanym Helen przez Głos. Helen Schucman oprócz tych wizji miała także parę doświadczeń parapsychicznych. Któregoś dnia poczuła pewność, że jeden z ich przyjaciół mieszkający w innym mieście rozważa popełnienie samobójstwa. Mentalnie starała się przekazać mu przesłanie, że „odpowiedzią jest życie, nie śmierć”. Wieczorem Thetford zatelefonował do tego mężczyzny i dowiedział się, że rzeczywiście był on popołudniu w takiej depresji, że wziął rewolwer i chciał się zabić. Na zmianę jego decyzji wpłynęło jakieś uczucie, którego nie był w stanie opisać.

Innym razem Helen i Bill wybrali się razem do Kliniki Mayo w Rochester w stanie Minnesota, gdzie Helen nabrała przeświadczenia, że zobaczą tam kościół, który widziała ze wszystkimi szczegółami oczyma duszy. Ale w pobliżu kliniki, gdzie sądziła, że powinien się znajdować kościół nie było. Odnalezienie jego stało się dla niej tak „potwornie ważne”, że razem z Thetfordem wytropili dwadzieścia cztery kościoły, zanim

zrezygnowali. Kiedy wyjeżdżali, na lotnisku Thetford wziął do ręki przewodnik opowiadający o historii miasta. Znaleźli w nim rysunek kościoła, który widziała Helen, a który rozebrano wiele lat temu, żeby zrobić miejsce pod klinikę.

Ten okres, który Helen Schucman nazwie później „fazą magiczną” snów na jawie i wzmożonej intuicji, zamyka wizja, w której Helen zobaczy słowa „BÓG JEST” zapisane na starym pergaminie i przyjmie je jako „to, czego chcę”. Wkrótce potem zaczęło się dyktowanie Kursu Cudów.

### **Pomocna przyjaciółka**

Liczne historie o fobiach, mistycznych doświadczeniach i religijnych rozterkach Helen Schucman mogłyby sugerować, że była ona stukniętą, wiecznie przerażoną kobietą, która nie osiągnęła niczego istotnego w życiu poza spisaniem ezoterycznego, spirytualnego tekstu. W rzeczywistości była znakomitą uczoną, która przez dwadzieścia lat pracowała na niełatwym stanowisku w napiętej atmosferze konkurencyjnego środowiska akademickiego, awansując od stopnia asystenta do profesora. Na wielu osobach wywierała silne wrażenie swym intelektem i bezpośrednimi, czasem bardzo zdecydowanymi, poradami udzielanymi przyjaciółom i współpracownikom. Nigdy nie chciała mieć dzieci, a przecież szczególną czułością obdarzała swoich ciężko upośledzonych małych pacjentów, z którymi przez całe lata pracowała w nowojorskiej klinice. Była też bezapelacyjnie przywiązana, czasami aż zaborczo, do nowej „rodziny” duchowych przyjaciół, których zyskała dzięki Kursowi Cudów.

Jedną z osób, której Helen Schucman poświęcała wiele uwagi była Judy Skutch: „Wszystko, cokolwiek powiem o Helen, muszę poprzedzić stwierdzeniem, że była najwspanialszą nauczycielką, z jaką miałam kiedykolwiek do czynienia. A kiedy się poznałyśmy, miałam czterdzieści cztery lata, spore doświadczenie życiowe, a także lata szkoły i studiów”. A przy tym, jak stwierdza, dr Schucman „nie była łatwą nauczycielką. Nie przebierała w słowach. Trafiła prosto w sedno sprawy, czasami tak szybko, że zapierało dech. Człowiek czuł się tak, jakby dostał piłką do koszykówki w brzuch, ponieważ zatykało go, kiedy coś powiedziała i miała rację.”

„Nie była przez to najłatwiejszą osobą w świecie do towarzystwa” dodaje Judy, „ale jej autorytarność temperowały pełne troski rady, rozmowy o rodzinie, wspólne wyprawy na zakupy i tego rodzaju rzeczy. Ja w tej znajomości byłam wyraźnie dzieckiem, a ona dorosłym. Mówiłam do niej Mamo, a ona do mnie Kociaczkę”.

Judy Skutch wspomina, że Helen nie próbowała wywierać wpływu na jej osobiste decyzje, o ile tyłkone dotyczyły Kursu. Wyraźnie odczuwała ulgę i doceniał to, że Judy przyjęła na siebie obowiązki public-relations związane z publikacją Kursu, ale jednocześnie „trochę obawiała się, jak Kurs zostanie przyjęty przez społeczeństwo nastawione na zjawiska parapsychiczne, bo czuła, że Kurs do tej sfery nie należy. Myślę, że fakt, iż uczyłam w Nowojorskim Uniwersytecie, dawał mi w oczach Helen odpowiednie papiery uwierzytelniające do zaprezentowania Kursu szerszemu ogółowi.

Helen bardzo się przejmowała moim wyglądem jako reprezentantki Kursu” mówi dalej Judy Skutch. „W latach siedemdziesiątych cały czas był jeszcze w modzie styl hippisowski i chociaż byłam już za stara, lubiłam się tak ubierać. Ale Helen nie aprobowała na mnie takich strojów i prosiła, żebym nie wkładała ich, kiedy mówię o Kursie. Nie lubiła też wysokich obcasów, uważała, że są niebezpieczne i się zupełnie jednoznacznie kojarzą. Któregoś dnia, zapowiedziała, że pójdziemy kupić nowe buty i kazała mi kupić parę identyczną jak te, które sama nosiła: na całkiem płaskiej kauczukowej podeszwie, z zaokrąglonymi noskami i z paseczkiem. Osobiście, wołałabym umrzeć, niż je założyć, ale ona upierała się, że ten styl lepiej do mnie pasuje.”

Tak jak inne główne postaci związane z Kursem, Judy знаła dwie różne Helen: „Jedna była pełna obaw i zahamowań, manipularka, podejrzliwa, osądzająca i czasami nieracjonalna.



Przy takiej Helen źle się czułam, ponieważ nigdy nie wiedziałam, na czym akurat stoję. A była też Helen, która obdarzyła mnie Kursiem Cudów, która dbała o czystość jego formy i powierzyła mi przedstawienie go światu. Taką Helen wielbiłam i to ona była moją prawdziwą nauczycielką.”

„Fakt, że były te dwie Helen, przypominał mi o tym, że jestem tak samo pęknięta” mówi Judy. „Jest osobowość, którą uważam, że jestem, moje ego, i jest wyższa świadomość, którą uważam za swoje Ja. Dzięki Helen dostrzegam, która z nich w danej chwili bierze górę”.

Trzeba też podkreślić, że wiele osób spoza najbliższego kręgu Helen bez względu na to, czy byli adeptami Kursu czy nie, widziało tylko jej wielką gotowość do udzielania pomocy. Jon Mundy, który ją poznał mniej więcej miesiąc wcześniej od Judy, dostał od niej „mnóstwo osobistych porad, była wobec mnie zawsze bardzo pomocna i miała ogromną intuicję. Myślę, że nie byłem z nią na tyle blisko, żeby poznać trudniejszą stronę jej charakteru”.

W rozmowach telefonicznych i niewielu spotkaniach bezpośrednich, Helen Schucman doradzała Mundy’emu w tak różnych sprawach, jak ta czy powinien zerwać z dziewczyną - „powiedziała: ‘Myślę, że powinieneś dać jej spokój’, słowa - których nie chciałem wtedy słuchać, ale które jak się wkrótce okazało, trafiały w sedno”, aż po to, czy ma odejść z kościoła metodystycznego, w którym Jon był czternaście lat duchownym. „Za każdym razem, kiedy byłem już gotów rzucić to wszystko, Helen uważała, że nie powinienem tego robić”. (Mundy odszedł w końcu od metodystów i założył własne eklektyczne duszpasterstwo Interfaith Fellowship (Wspólnota Międzywyznaniowa) w Nowym Jorku, zobacz Rozdział 3).

Wreszcie było wiele osób - krewnych, rodziców upośledzonych dzieci, kolegów z uczelni - którzy zwracali się do niej o pomoc, a nigdy nie słyszeli nic o Kursie Cudów. Okazuje się, że większość ludzi, którzy stykali się z nią bezpośrednio na gruncie zawodowym i prywatnym w Nowym Jorku, nie wiedziała nic o monumentalnej pracy, którą ona sama ambiwalentnie określała jako prawdziwe „dzieło życia”. Jak zauważył Ken Wapnick: „Dla praktycznie wszystkich, którzy ją znali, Helen była błyskotliwym psychologiem, naukowcem, inteligentną rozmówczynią, przyjaciółką chętną do udzielenia profesjonalnej pomocy tym, którzy znaleźli się w potrzebie, kobietą o nieskazitelnym wyglądzie, wpadającą czasami w manię zakupów (miała szczególną słabość do biżuterii i butów), osobą trochę neurotyczną skoncentrowaną na chorobach i groźbie złej pogody, ale na pewno nie kimś, kogo życie wewnętrzne skupiało się na sprawach religijnych związanych bezpośrednio z Jezusem: to rzeczywiście zachowywała w najgłębszej tajemnicy.” (18)

### **Bill Thetford, nieśmiały profesor**

William Thetford urodził się w 1923 roku jako ostatnie z trojga dzieci. Jego rodzina pochodząca z chicagoskiej klasy średniej naznaczona była tragicznymi stratami. Brat zmarł we wczesnym dzieciństwie, a kiedy Bill miał dziewięć lat jego jedenastoletnia siostra zachorowała na zakażenie paciorkowcami. Chociaż oboje rodzice byli sejentystami, szukali pomocy dla córki zarówno u lekarzy medycyny jak i uzdrowicieli ze swego kościoła, ale bezskutecznie. Po jej śmierci wyrzekli się swej religii, odizolowali od ludzi i ograniczali wychowanie religijne syna. Byli jeszcze w żałobie po córeczce, kiedy Bill zachorował ciężko na szkarlatynę, do której wkrótce przyplątała się gorączka reumatyczna. W okresie rekonwalescencji dostał zawału serca i nie było pewne, czy przeżyje.

Długie miesiące intensywnej opieki uratowały życie chłopca, ale przez dwa lata nie mógł wstawać z łóżka. W sumie opuścił trzy lata szkoły, w tym czasie matka uczyła go w domu matematyki, a on łapczywie pożerał książki. Wrócił do szkoły do czwartej klasy, ale szybko został przesunięty wyżej, tak że ósmą klasę ukończył po dwu latach. Potem

skończył z wyróżnieniem szkołę średnią. Bez przekonania wybrał studia psychologiczne w Uniwersytecie DePauw w Indianie, a jednocześnie zapisał się na studia biologiczno-chemiczne, żeby mieć szansę dostać się na medycynę i zyskać w ten sposób większe możliwości zawodowe. Z powodu chorób w dzieciństwie zwolniony ze służby wojskowej, William ukończył DePauw w 1944 roku, złożył też podanie o przyjęcie do Szkoły Medycznej Uniwersytetu Chicago, które zostało zaakceptowane, ale cały czas nie był pewien, jaką drogę zawodową wybierze.

W tym momencie, w jego życiu zaczęły pojawiać się w przyspieszonym tempie różne możliwości. Ponieważ II wojna światowa pozbawiła wiele instytucji wykwalifikowanych pracowników, pierwsza praca Thetforda w uczelni była bardzo odpowiedzialna. W Uniwersytecie Chicago zatrudniono go jako administratora budynków, w których przeprowadzano ściśle tajne badania atomowe. W pewnym momencie William kierował zespołem odkażającym, którego zadaniem było „oczyszczenie” radioaktywnych obszarów i w pracy nie rozstawał się z licznikiem Geigera. Podekscytowany strategicznym znaczeniem swego zajęcia i cały czas nie mając jednoznacznego pomysłu na przyszły zawód, jesienią 1944 roku postanowił, że nie będzie kontynuował studiów medycznych i nadal będzie brał udział w programie badań atomowych.

Jednak zrzućenie bomby atomowej na Hiroszimę w sierpniu 1945 roku, radykalnie wpłynęło na jego sympatie. „Myślę, że wszyscy byliśmy przerażeni rozmiarem zniszczeń” pisał „i wyraźnie czułem, że mój udział w tym projekcie jest skończony. Ponieważ nie czułem się moralnie zobowiązany do dalszego w nim uczestnictwa, jeszcze w tym samym miesiącu złożyłem wymówienie”. (19)

Parę tygodni później Thetford posłuchał sugestii paru znajomych ze studiów i zapisał się na Kurs Psychoterapii koncentrującej się na kliencie (Client-Centered Psychotherapy) prowadzony przez nowego profesora w kampusie - dr. Carla Rogersa. „Z przyczyn, które są mi dziś tak samo nieznane, jak były wówczas” (20), pisał Thetford, Rogers szybko mianował go wykładowcą i poprosił także, by został asystentem naukowym w nowym ośrodku poradnictwa. Thetford protestował, uważając, że brak mu kwalifikacji, ale Rogers nalegał na niego, by przyjął tę funkcję w studiowaniu i rozwoju nowej psychoterapii opartej na przesłance „bezwartunkowego pozytywnego stosunku”. Jak wspomina Thetford „bezpośrednie przejście od udziału w totalnym unicestwieniu do praktyki zawodowej opartej na idealnej miłości, wydawało mi się wtedy, mówiąc najdelikatniej, paradoksalne”. (21)

Po uzyskaniu stopnia doktorskiego (Ph.D) z psychologii w 1949 roku, cały czas uważając się za „totalnie nieprzygotowanego do praktycznie wszystkiego”, Thetford przyjął posadę w Szpitalu Michael Reese w Chicago, gdzie pracował pod kierunkiem dr. Samuela J. Becka, wybitnego autorytetu w dziedzinie testów Rorschacha. Po spędzeniu dwu i pół roku w tym ośrodku, Thetford, pomimo otrzymanych paru ofert pracy w uczelniach, doszedł do przekonania, że nigdy nie powinien zostać nauczycielem akademickim, ponieważ „Czułem, że nie mam nic do przekazania, a nie chciałem stawać w sytuacji, w której ten fakt stałby się oczywisty także dla innych.” (22)

Później Thetford zapisał się do szkoły psychiatrii w Waszyngtonie, w której kładziono nacisk na znaczenie interpersonalnych związków w terapii. Następnie był dyrektorem psychiatrycznego instytutu w Hartford w stanie Connecticut, a potem głównym psychologiem w Uniwersytecie Cornell, gdzie pracował pod kierunkiem Harolda G. Wolffa, wiodącego specjalisty medycyny psychosomatycznej. Jego antypatia do życia uniwersyteckiego w tym czasie zelżała i „zanim się zorientowałem, zostałem wykładowcą instruktorem, a po roku awansowałem do stanowiska docenta”. (23) Mniej więcej rok później, w 1957 roku, Thetford bez przekonania, lecz z powodzeniem, aplikuje o posadę w Uniwersytecie Columbia, gdzie ścieżka jego życia przetnie się ze ścieżką życia Helen Schucman.

Czy potraktuje się to jako zbieg okoliczności, czy jako predestynację, trzeba powiedzieć, że pewne dominujące cechy charakteru Thetforda sprawiały, że był on odpowiednim pomocnikiem dr Schucman w rejestrowaniu Kursu. Być może największe znaczenie miała tu jego niechęć do „przekazywania” jakiejś własnej wyraźnej filozofii. Można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że niewielu naukowców z jego statusem oparłoby się pokusie redagowania, przerabiania, czy wręcz dopisania się do tak poważnego projektu, przy którym pomagali młodszemu rangą koledze, bez względu na to, jaki byłby charakter czy pochodzenie tego projektu.

Po drugie, jego intelektualna ciekawość i giętkość stanowiła przeciwwagę dla skłonności do osądzania Helen i pomogła im obojgu poradzić sobie z systemem idei psycho-spirytualnych, który zasadniczo kwestionował ich wykształcenie psychoanalityczne.

Również otarcie się Thetforda o psychologię humanistyczną mogło go także przygotować na transpersonalny wymiar materiałów Kursu.

W końcu, prawdopodobnie także pasywność młodego profesora umożliwiła mu znoszenie, aczkolwiek nie bez trudności, uporu swojej starszej koleżanki. Pozostaje smutną ironią fakt, że napięte stosunki między tą dwójką kopistów Kursu nigdy nie przekształciły się w dojrzały, zdrowy oparty na wzajemności związek. W 1977 roku, to jest w rok po opublikowaniu Kursu Cudów, dr Schucman w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat, dwa lata po osiągnięciu wieku emerytalnego, w czasie których udało się jej jeszcze pozostać na etacie w Columbia-Presbyterian, została zmuszona do przejścia na emeryturę. W 1978 roku Thetford przeszedł na wcześniejszą emeryturę i wraz z Judy i Bobem Skutchami i Fundacją Wewnętrznego Spokoju przeprowadził się do Kalifornii. Mimo że często prowadzili ze sobą rozmowy telefoniczne i od czasu do czasu widywali się, Thetford i dr Schucman w zasadzie rozeszli się każde w swoją stronę, nie rozwiązawszy nigdy wielu trudnych problemów, które narosły w ciągu niemal dwudziestu lat ich zawodowych relacji.

W Kalifornii Bill Thetford często powtarzał, że w pełnym wymiarze czasu praktykuje przebaczenie i tam też stał się oddanym adeptem Kursu w różnych szkołach, a jednocześnie zdecydowanie sprzeciwiał się traktowaniu siebie jak jego nauczyciela czy rzecznika. Dr Schucman stopniowo wycofywała się z wszelkich spraw mających związek z Kursem i w ogóle światem, aż w 1980 roku śmiertelna choroba niemal kompletnie odizolowała ją od świata.

Frances Vaughan, wiodąca postać w psychologii transpersonalnej (zob. Rozdział 6) poznała lepiej Billa Thetforda po jego przeprowadzce do spokojnego i zamożnego miasta w Marin County, będącego siedzibą Fundacji Wewnętrznego Spokoju, w którym mieszkali także sama Frances Vaughan, jej mąż Roger Walsh i Jerry Jampolsky. Frances Vaughan, która widywała Thetforda w niewielkiej grupie studiującej Kurs przez dwa lata codziennie, a następnie przez wiele lat dwa razy w tygodniu, zawsze podkreślała, jakie wrażenie wywierała na niej jego szczerść, świadome usuwanie się cień i poważne przykładanie się do przemiany wewnętrznej poprzez przestrzeganie zasad Kursu.

„Bill czuł, że Kurs jest świętym depozytem, który został powierzony jemu i Helen” wspomina Frances Vaughan. „On naprawdę zaangażował się w jego stosowanie, podczas gdy Helen zawsze zachowywała pewną rezerwę. Bill potrafił przetransformować wszystkie swoje tak trudne relacje z pozostałymi ludźmi z Columbii i w momencie kiedy skończył pracę, miał poczucie, że pogodził się z nimi”. Frances Vaughan mówi, że udało mu się także dojść do pokoju z innymi osobami zaangażowanymi w Kurs, takimi jak Ken Wapnick.

„W pewnych okresach Bill i Ken stali na przeciwnych biegunach” mówi Frances Vaughan, „ponieważ w wielu punktach różnili się w swej interpretacji Kursu. Ken na przykład podkreślał zawsze, że źródłem tekstu był historyczny Jezus, natomiast Bill uważał, że jest to raczej Chrystus-universalny umysł albo wszystkim nam wspólna świadomość”.

Również w przeciwieństwie do Wapnicka, Thetford stawał się coraz bardziej otwarty na różnorodne liberalne zastosowania Kursu. Frances Vaughan ceni Thetforda za to, że nauczył ją „łagodniejszego osądzania, ponieważ łatwo się denerwowałam, kiedy zdawało mi się, że ktoś zniekształca lub źle interpretuje Kurs. On akceptował to, że każdy człowiek może inaczej odbierać Kurs i że nie ma w tym nic złego, ponieważ nie możemy wiedzieć, jak ta nauka wpływa na ludzi, którzy pracują różnymi metodami”.

Istotnie w ciągu ostatnich dwóch lat życia, które spędził w La Jolla w pobliżu San Diego w południowej Kalifornii, Thetford zaprzyjaźnił się z grupą studentów Kursu, których jego nowojorscy koledzy z uczelni z pewnością określiliby jako wyznawców Nowej Ery, którzy muszą dotknąć, żeby uwierzyć. Ken Wapnick pisał, że Bill z czasów, kiedy mieszkał w północnej Kalifornii, był zawsze dla niego „lekkim szokującym” widokiem „w tenisówkach i niebieskich dżinsach, on, który w Nowym Jorku niemal nigdy nie zdejmował marynarki i krawata” (24), to w południowokalifornijskim okresie Bill rozluźnił się jeszcze bardziej. W długim wywiadzie opublikowanym w *Miracles Magazine*, Jack i Eulalia Luckett nauczyciele Kursu z La Jolla wspominają, jak Thetford uczył się akceptować grupowe obejmowanie się, uzdrawianie poprzez nakładanie rąk, jak lubił śpiewać ze wszystkimi i nawet jak włożył śmieszny karnawałowy kapelusz na przyjęciu z okazji swych urodzin, na którego zorganizowanie nie chciał się początkowo zgodzić.

„Nikt w Tiburon nie znał nigdy Billa z tej strony...” mówi Jack Luckett. „Jerry [Jampolsky] który często telefonował i od czasu do czasu przyjeżdżał, dostrzegał w nim zmiany i dziękował za nie każdemu, ponieważ widział jak Bill się otwiera, jak rozkwita... jak komfortowo się czuje sam ze sobą”. Luckett wspomniał również, że Thetford przyznawał, że staje się „za stary na to, żeby nie być elastyczny” i demonstrując swe zamiłowanie do gry słów mówił o sobie od tej pory „flexi-Bill”.\* (25)

„Zawsze ceniłam jego poczucie humoru” mówi Frances Vaughan „i to, że nigdy nie przechwalał się tym, że wszystkim wybacza, czy jest szczególnie dobry. Bill był nieśmiały, bardzo skryty i miał naturę kontemplacyjną. Równie dobrze mógłby żyć jak mnich i też dobrze się z tym czuć”.

Chociaż podobno Thetford często wpadał w depresję i wiadomo, że w pewnych okresach jego intymne życie było całkiem burzliwe - bycie homoseksualistą w uczelni na Wschodnim Wybrzeżu w latach pięćdziesiątych - siedemdziesiątych nie było chyba łatwe - jego skrytość ograniczała wiedzę innych ludzi na temat jego osobistych rozterek. Wiadomo, że mieszkał dziesięć lat z kochankiem w Nowym Jorku, a w północnej Kalifornii - cztery lata z kobietą. Pewien uważny obserwator wyraził opinię, że Thetford był „umyślowo heteroseksualny, natomiast biologicznie był homoseksualistą”. Najbardziej prawdopodobne zdaje się to, że jego niemal przytłaczająca tendencja do ambiwalencji przenikała każdy aspekt jego życia. Frances Vaughan mówi na przykład, że pomimo długoletniej przyjaźni z Thetfordem, nie mogłaby zaryzykować określenia jego przekonań politycznych - „były pewne strony życia, na temat których Bill po prostu się nie wypowiadał” wspomina.

\* Jest to żart językowy: flexible (elastyczny) wymawia się tak samo jak flexi-Bill (w skrócie elastyczny Bill)

Mimo, że Thetford konsekwentnie sprzeciwiał się nadawaniu mu statusu „eksperta” w sprawach Kursu przez innych adeptów, wszyscy dobrze pamiętają, jak rozstrzygnął długi i zażarty spór o znaczenie któregoś fragmentu Kursu, który toczyli między sobą dwaj mężczyźni. W końcu poprosili Thetforda, by autorytatywnie wypowiedział się na jego temat.

„Powiedział im: ‘Jeśli nie umiecie się pogodzić, po prostu wyrwijcie tę stronę’” mówi Vaughan. „Dla Billa przesłanie Kursu zawierało się nie w jego literze, ale w duchu miłości i przebaczenia”.

### „Zejsz mu z drogi”

Kontrasty między charakterem Helen Schucman i Billa Thetforda są bardziej wyraziste, gdy zobaczy się, jak różnie przeżyli swoje ostatnie dni. Dr Schucman, która zachorowała w 1980 roku na raka trzustki, stopniowo wycofywała się ze świata i stawiała się coraz bardziej przybita i uzależniona od męża Louisa, Kena Wapnicka i oddanej gospodyni. Niektórzy znajomi byli tak przybici jej pogarszającym się stanem, że sami ograniczyli swoje wizyty u niej. Jak zauważył Wapnick „różnica między Helen, którą znali - nienagannie ubraną, zadbaną i umiejącą się znaleźć w towarzystwie, mądrą i pomocną... a Helen, którą teraz widzieli - w fizycznym rozkładzie, zatopioną w swoich dręczących myślach i zupełnie nie reagującą na cokolwiek poza nią samą - była tak wielka, że aż niepokojąca, bolesna i wręcz przerażająca.” (26)

Judy Skutch pamięta przejmujące spotkanie z Helen w ostatnich miesiącach jej życia, które wskazywałoby, że jej agonia stanowiła proces poddania ego, któremu tak zdecydowanie opierała się przez całe życie. „Któregoś dnia siedziałam przy Helen, wydawała się całkiem oderwana od rzeczywistości. Wykonywała ciągle te same ruchy i bębniła palcami o kanapę, nie reagując wcale na mnie mimo, że trzymałam ją za rękę. Zaczęłam się czuć niepotrzebna i zastanawiałam się, czy nie powinnam odejść, kiedy ona nagle zwróciła się do mnie i zapytała ‘Czy wiesz, dlaczego umieram?’ Odpowiedziałam ‘Nie, mam, nie wiem’. Popatrzyła mi wtedy prosto w oczy, jakby chciała powiedzieć *głupia jesteś*, ale zamiast tego wyrzekła z wielkim przekonaniem: ‘*Żeby zejść mu z drogi*’ i znowu zapadła się w siebie. Były to jedne z ostatnich słów, jakie od niej usłyszałam”.

Helen Schucman prawdopodobnie nawiązała do rozmowy, którą przeprowadziła z Kenem Wapnickiem parę dni wcześniej; Wapnick pamięta, że zasugerował jej wtedy, że w procesie umierania, jej ego- jaźń przestanie w końcu stać na drodze przesłaniu Kursu. Ostatniej nocy, Wapnick i Louis Schucman wyszli ze szpitala, kiedy stan Helen, teraz już wyraźnie terminalny, zdawał się stabilizować; trzy godziny później odebrali telefon, że zmarła. Wapnick pisze:

„Wróciliśmy do szpitala i Helen jeszcze leżała na łóżku. Jej twarz miała niezwykle wyraz spokoju, tak różny od wyrazu stałego napięcia, do którego przyzwyczailiśmy się w ciągu tych wielu miesięcy. Przypomniała mi się nagle myśl, z której Helen zwierzała mi się parokrotnie, a która zawsze przynosiła jej wielkie ukojenie. Otóż Jezus powiedział jej, że gdy umrze, on osobiście przyjdzie po nią. Nikt nie wie, co działo się w jej głowie podczas tych ostatnich momentów. A jednak jej pogodna twarz nie budziła najmniejszych wątpliwości i przekonująco przemawiała za tym, że przy samym końcu życia Helen doznała świadomości, że jej umiłowany Jezus dotrzymał jednak obietnicy, tak jak ona dotrzymała swojej. Kapłanka wróciła do domu.” (27)

Siedem lat później Bill Thetford po drodze na północ do Tiburon zatrzymał się w domu Judy Skutch i Billa Whitsona. Styl życia, jaki prowadził w La Jolla, zmienił go zupełnie, Bill więcej żartował, stał się bardziej rozmowny i mniej oficjalny niż go pamiętano z dawniejszych czasów. Na dzień przed przyjęciem z okazji 4 lipca, które Judy zaplanowała dla około trzydziestu osób, ze zdumieniem zobaczyła Thetforda tańczącego radośnie w salonie gige i wykrzykującego „Jestem wolny, jestem nareszcie wolny. Jestem elastyczny!” Judy zaniepokojona, że jej przyjaciel ma atak manii, zapytała go, co ma na myśli.

„Popatrzył mi w oczy” wspomina Judy Skutch, „położył mi dłonie na ramionach i powiedział ‘Nie żywię już żadnych uraz’. Odpowiedziałam ‘No wiesz’ i potem zapytałam go o kilka osób, z którymi miał konflikty w przeszłości. Na temat każdej z nich dawał mi konkretną odpowiedź, że do tego a tego napisał, z tym a tym się spotkał i objął swą miłością i przebaczeniem wszystkich.

Wtedy zapytałam ‘A co z Helen?’ Roześmiał się i powiedział ‘Jak mógłbym nie wybaczyć Helen? Dzięki niej zyskałam możliwość nauczenia się przebaczenia’ Chociaż Bill miał



olbrzymie poczucie humoru, nie sędzę, żeby wtedy żartował. Odniosłam wrażenie, że wypowiedział te słowa z prawdziwą radością”.

Następnego ranka, Judy zapytała Thetforda, czy nadal czuje się taki szczęśliwy.

„Odpowiedział: ‘Jasne, to dzień wolności. To dzień mojej wolności’. A ja powiedziałam ‘Cieszę się, że to cały czas działa’, ponieważ odnosiłam się do tego wszystkiego dość podejrzliwie.” Kiedy zapytała go, czy nie poszedłby z nią do sklepu, Thetford odparł, że pójdzie opiechotą i dołączy do niej później.

„Musiałam się skrzywić” wspomina Judy. „Sędzę, że dostrzegł, że denerwuję się tym, że będę musiała na niego czekać, ponieważ powiedział: ‘Nie martw się, jeśli nie zdążę na czas, jedź do domu beze mnie’. Poczulałam, jak dreszcz przebiega mi przez całe ciało, objęłam go i powiedziałam ‘Nigdy nie pojedę do domu bez ciebie’. Poglaskał mnie tylko po głowie, uśmiechnął się i wyszedł.” Judy wzięła wtedy listę zakupów, torebkę, klucze i poszła do samochodu. Po przejechaniu kawałka drogi zauważyła leżącego Thetforda - zmarł na atak serca.

Dramatyczna różnica w tym, jak Helen Schucman i Bill Thetford potrafili skorzystać z nauki duchowej, która zaprezentowali światu, wskazuje na jeszcze jeden jej paradoks. O ile Kurs Cudów konsekwentnie domaga się od uczniów, by wyrzekli się percepcji i motywacji napędzanych przez ego, obiecując im, że głos ego zostanie zastąpiony dobroczynnym kierownictwem mistycznego pośrednika zwanego Duchem Świętym, jednocześnie podkreśla, że nie można nikogo zmusić do tego wyrzeczenia się. „Tylko ja mogę podjąć tę decyzję” uczy Kurs w lekcji nr 152 w *Ćwiczeniach* - i zasada ta znalazła najwyraźniejsze potwierdzenie w Helen Schucman.

W przedmowie do *Journey without a distance* (Podróż bez odległości), prezes Instytutu Noetyki (Institute of Noetic Science), Willis Harman przytacza jeszcze jedną historię o rozmyślnym oporze stawianym przez Helen wobec nauk duchowych, które przekazała światu.

„Nie można powiedzieć, żeby Helen ucieleśniała ten wewnętrzny spokój, który Kurs stawia za cel. Miała wiele powodów do skarg i jej życie było cięższe i smutniejsze niż przeciętnie. Zapytałem ją kiedyś, jak to się dzieje, że ta niezwykła księżka, za którą ponosi odpowiedzialność i która przyniosła spokój tak wielu ludziom, w jej przypadku była wyraźnie nieskuteczna. Nigdy nie zapomnę jej odpowiedzi. ‘Ja wiem, że Kurs mówi prawdę, Bill’ powiedziała, a po krótkiej pauzie dodała ‘ale w to nie wierzę’”. (28)

## Rozdział 3

### Jak rozprzestrzeniła się nauka Kursu

Spośród wszystkich cech odróżniających Kurs Cudów od pozostałych nauk duchowych, najbardziej godną uwagi jest moment historyczny, czyli czas, kiedy ujrzał on światło dzienne. Większość nauk o podobnej głębi i złożoności, czy to te wywodzące się z głównego nurtu czy ezoteryczne, pochodzi sprzed setek o ile nie tysięcy lat. Największe religie takie jak chrześcijaństwo, buddyzm i islam wzięły początek od pojedynczych proroków, których przesłanie zostało później spisane, poprawione i przetłumaczone. Właściwie każda tradycja duchowa, miała najpierw bardzo niewielką grupkę wyznawców i musiało minąć wiele dziesiątek lub nawet setek lat, zanim każda z nich wyewoluowała w taką formę, jaka zdobyła oddanie tylu ludzi.

A Kurs pojawił się znienacka, gotowy, kompletny i samowystarczalny, w środku drugiej połowy dwudziestego wieku - wtedy, gdy komunikacja światowa zaczęła nabierać prędkości światła. Jeszcze zanim został opublikowany w formie książkowej, tysiące ludzi zyskało dostęp do jego przesłania dzięki fotokopiom - tym współczesnym zamienniku „przekazu ustnego”, którą to drogą rozchodziły się pradawne tradycje. W przededniu roku 2000, wiele osób dyskutuje na temat Kursu i dzieli się jego naukami poprzez światową sieć

elektroniczną zwaną Internetem - nie mającej historycznego odpowiednika, o ile nie daje się wiary w telepatię na dużą odległość.

Innym znaczącym czynnikiem w tej szybkiej popularyzacji Kursu jest jego dostępność. W przeciwieństwie do większości nauk religijnych, Kurs nie ma centralnej ortodoksji decydującej o tym, kto może zostać jego uczniem, wymagającej jakiegokolwiek inicjacji, zbierającej składki czy domagającej się dziesięciny, pilnującej wiary wyznawców czy ustanawiającej reguły ich zachowania. Każdy może kupić książkę (lub poprosić pierwszego wydawcę o bezpłatny egzemplarz, zobacz Dodatek) i studiować ją w całości lub częściami, samodzielnie lub w towarzystwie, tak jak się chce. Uczniowie mogą także w każdej chwili odrzucić książkę, lub źle się o niej wyrażać, bez obawy ekskomuniki czy zemsty ze strony jakichś władz religijnych.

Z drugiej strony, każdy może postanowić, że zacznie nauczać Kursu, bez żadnych zaświadczeń o odbytym kształceniu czy oficjalnej aprobaty. Zgodnie ze słowami *Podręcznika dla nauczycieli*:

„Nauczycielem uczącym o Bogu jest każdy, kto się na to decyduje. Jego kwalifikacje sprowadzają się jedynie do tego: w jakiś sposób, gdzieś człowiek ten podjął świadomy wybór, w którym nie rozróżnia swoich interesów od interesów innego człowieka. Gdy tego dokonał, jego droga jest wytyczona i kierunek pewny. W mroku zaświeciło światło. To może być pojedyncze światło, ale ono wystarczy. Człowiek ten zawarł porozumienie z Bogiem, nawet jeśli jeszcze w Niego nie wierzy. Stał się tym, który przynosi zbawienie. Stał się nauczycielem uczącym o Bogu.” (1)

W innym miejscu Kurs precyzuje, że jego nauczyciele powinni przerobić wszystkie lekcje w *Ćwiczeniach*. Ponieważ chronologicznie dyktowanie tych lekcji nastąpiło po dyktowaniu *Tekstu*, a poprzedzało mówiący sam za siebie *Podręcznik dla Nauczycieli*, wydawałoby się zatem, że oznacza to, że przestudiowanie całego Kursu Cudów jest wskazanym i rozsądnym wymaganiem dla jego nauczycieli. Ale nie ma nikogo namaszczonego ani wyznaczonego do weryfikowania czyichkolwiek kwalifikacji.

Na skutek tego nauczyciele, grupy studiujące, szkoły i organizacje zainspirowane Kursem działają na zasadzie dostępności dla wszystkich. Jeden z moich przyjaciół był bardzo zaskoczony, gdy dowiedział się, że piszę książkę o Kursie Cudów, ponieważ natknął się kiedyś na grupę studiującą, która utwierdziła go w przekonaniu, że wszyscy uczniowie Kursu muszą być „kompletnymi mięczakami”. Ja sam zetknąłem się z grupami na bardzo różnym poziomie. Pierwsza grupa, w której brałem udział około sześciu tygodni we wczesnym okresie studiów, stawiała zarówno wymagania intelektualne jak i dawała wsparcie emocjonalne. Później trafiłem na grupę zmonopolizowaną przez prowadzącego, którego zadowalało monotonne czytanie Kursu przez co najmniej czterdzieści pięć minut, w czasie których nikt nie występował z żadnymi uwagami ani pytaniami. (Nie wiem, jak długo ten stan rzeczy utrzymał się jeszcze, ponieważ po tym jednym razie odszedłem od nich i już nigdy nie wróciłem.)

Formalne programy nauczania obejmują spektrum od uczelnianego środowiska Fundacji Kursu Cudów (Foundation for *A Course in Miracles* - FACIM) w Roscoe stanie Nowy Jork, poprzez wydające świadectwa Kalifornijskie Centrum Cudów (California Miracles Center) w San Francisco, po kontrowersyjny instytut stacjonarnego nauczania w Wisconsin, zwany Akademią Prób. Niektórzy nauczyciele Kursu utrzymują się w całości lub częściowo z indywidualnego prowadzenia wykładów lub kursów. W istocie, jednym z zaskakujących aspektów historii Kursu jest to, ile karier (dziesiątki jeśli nie setki) wyrosło i rozkwitło na jego duchowych naukach, ciągle jeszcze za młodych, by można je uznać za tradycję.

Wyczerpujący przegląd grup studiujących Kurs i jego szkół bez trudu byłby materiałem na osobną książkę. W tym rozdziale rzucę zaledwie okiem na to obszerne pole, koncentrując

się na paru ważniejszych organizacjach. W pierwszej kolejności przedstawię krótką historię popularyzacji samego Kursu Cudów.

### **Wieloletni bestseller**

Gdy w 1976 roku krążącą w fotokopiach wersję Kursu zastąpiło wysokiej jakości wydanie w twardych okładkach, w pierwszym roku liczba sprzedanych egzemplarzy nie była zbyt wygórowana - około pięciu tysięcy sztuk. W 1977 roku James Bolen, redaktor magazynu *Psychic*, zmienił nazwę swego pisma na *New Realities*, częściowo dlatego, że Helen Schucman mogłaby protestować wobec publikowania Kursu w tego rodzaju piśmie. Pierwszy numer *NR* zawierał wywiad z Judy Skutch, dzięki niemu liczba sprzedanych egzemplarzy *Kursu* w drugim roku wyniosła już siedem i pół tysiąca.

W 1980 roku w *Psychology Today* ukazała się nieprzyjazna historia Kursu (zobacz Rozdział 2), która jednak wpłynęła pozytywnie na sprzedaż. Judy Skutch, która była wydawcą *Kursu Cudów*, mówi, że wtedy się zorientowała, że „nie ma znaczenia, co kto mówi o Kursie, byleby tylko przytaczał poprawnie jego nazwę. Ludzie po prostu garnęli się do niego”. Do 1984 roku sprzedaż Kursu dochodziła do trzydziestu tysięcy egzemplarzy rocznie; kiedy w 1985 roku opublikowano go w miękkich okładkach, liczba ta wzrosła do sześćdziesięciu tysięcy i Kurs był na najlepszej drodze do tego, by stać się wieloletnim bestsellerem. Pod koniec lat osiemdziesiątych o Kursie i grupach studiujących Kurs zaczęły pisać ważniejsze gazety z różnych regionów, w tym *The Oregonian*, *San Francisco Examiner*, *Dallas Times Herald*, *Anchorage Daily News*, *Philadelphia Inquirer*, *The Atlanta Journal*, *The New York Times*, a także londyński *The Guardian* i australijski *The Record* z Perth.

Największy jednorazowy skok w sprzedaży Kursu miał miejsce po 1992 roku, w którym ukazała się książka Marianne Williamson *A Return to Love* (Powrót do miłości) (zobacz Rozdział 4) - liczba sprzedanych egzemplarzy wzrosła o pięćdziesiąt procent - z siedemdziesięciu do stu pięciu tysięcy. Od tego roku sprzedaż będzie sięgała rocznie około osiemdziesięciu tysięcy egzemplarzy i utrzyma się na tym poziomie do nowej edycji Kursu przez wydawnictwo Viking wiosną 1996 roku. Wydawnictwo to zapowiedziało wydanie Kursu w nakładzie stu tysięcy, towarzysząca temu kampania reklamowa pochłonęła siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Po raz pierwszy w swej historii Kurs był bezpośrednio reklamowany przez wydawcę (Helen Schucman otrzymała wskazania, że Fundacja Wewnętrzznego Spokoju nie powinna zajmować się reklamą).

Ponieważ Kurs zyskał taką popularność i renomę, niektórzy ludzie wyciągnęli z tego wnioski, że Fundacja musi być dużą i zamożną organizacją. W rzeczywistości zatrudnia jedynie pięć osób i mieści się w dwóch prywatnych domach w Marin County, w Kalifornii. Kwatera główna znajduje się w domu Williama i Judy Skutch Whitsonów; Bob Skutch, drugi mąż Judy, w swoim domu kieruje sprawami związanymi z dystrybucją książek. Kiedy rozmawiałem z nim tam, opowiedział mi, jak zadzwonił kiedyś do niego ktoś, kto chciał przyjechać i zwiedzić „centrum” i „wydział badań” Fundacji. Wskazując na kuchnię i salon w swym domu, małomówny Skutch powiedział: „to właściwie to wszystko plus dom Judy”.

Według Judy Skutch prezesa Fundacji Wewnętrzznego Spokoju, pensje pracowników obecnie wynoszą od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy dolarów rocznie, ale przez pierwszych siedem lat działania nie było mowy o żadnych wynagrodzeniach. Członkowie rady dyrektorów FIP nie otrzymują żadnej zapłaty. W ciągu dwóch lat poprzedzających przekazanie praw Kursu Vikingowi, średnie dochody brutto Fundacji wynosiły trochę poniżej 2 milionów dolarów, natomiast netto - około 75 tysięcy. Fundacja włożyła wszystkie pieniądze w ambitny program translatorski, nadzorowany przez Williama Whitsona. Bob Skutch stwierdził, że wpływy Fundacji są takie, że „właściwie wystarczają nam na działanie, i nic więcej”.



Judy dodaje, że zysk netto z umowy o przyznaniu licencji Vikingowi (która zawierała klauzulę o dwu i półmilionowej zaliczce na poczet tantiem) zmniejszy o połowę roczny dochód Fundacji. Umowa ta jest zawarta na pięć lat, z możliwością odnowienia po tym okresie.

### **Prawa autorskie i kubki do kawy**

W ostatnich latach ochrona praw autorskich Kursu stała się jedną z gorętszych spornych kwestii w łonie społeczności Kursu. Miało to związek z umocnieniem się Fundacji Wewnętrznego Spokoju, która zapowiedziała, że zacznie prowadzić bardziej restrykcyjną niż dotychczas politykę dotyczącą publikacji fragmentów Kursu oraz wykorzystywania jego nazwy w innych publikacjach czy przedsięwzięciach komercyjnych. Ta surowsza polityka była skutkiem coraz powszechniejszego trendu do przedrukowywania urywków z Kursu w innych mediach bez pozwolenia FIP lub zwyczajowego podawania źródła cytatu; dotyczyło to szczególnie bestsellera z 1992 roku książki Marianne Williamson *A Return to Love* (Powrót do miłości), w której autorka cytowała fragmenty Kursu nie podając źródła. (FIP zażądała, by w następnych edycjach w miękkiej oprawie tej książki, autorka naprawiła ten błąd, na co i pani Williamson, i wydawca, czyli HarperCollins, się zgodzili.)

Ta nowa polityka nie spotkała się generalnie z zyczliwym przyjęciem większych grup studiujących, nauczycieli i piszących o Kursie, którzy mają wrażenie, że sprowadza się ona do próby kontroli tego, jak Kurs jest popularyzowany i nauczany; podejrzewają oni, że autorami tego pomysłu są Kenneth i Gloria Wapnickowie z Fundacji *Kursu Cudów*. Mimo że FIP i FACIM mają wspólnych dyrektorów i zawsze wspólnie podejmowały większość decyzji dotyczących doczesnych spraw Kursu Cudów, ostatnio więzi między nimi uległy zacieśnieniu; o Fundacji Kursu Cudów mówi się obecnie, że jest oficjalną „organizacją nauczającą” pierwszego wydawcy Kursu. To sprawia, że niektórzy ludzie obawiają się, iż FIP i FACIM skonsolidują się w jakąś religijną ortodoksję, od której w przeszłości Kurs był zawsze wolny. (W rzeczywistości nierzadko można usłyszeć, że ci najbardziej rozczarowani polityką w zakresie praw autorskich i jednoczeniem się Fundacji Wewnętrznego Spokoju i Fundacji Kursu Cudów ironicznie nazywają Kena Wapnicka „papieżem”.)

Ze swojej strony zarówno FIP jak i FACIM utrzymują, że podjęły te kroki tylko po to, żeby zachować tożsamość i integralność Kursu w sytuacji, gdy coraz częściej używano jego idei, nazwy i tekstu bez odpowiedniej wzmianki. W różnych momentach słyszałem od Judy Skutch z FIP i Glorii Wapnick z FACIM, że uczniowie Kursu pytają je czasami, dlaczego nie zrobią więcej dla ochrony Kursu przed naruszeniem i wadliwą interpretacją. Obie fundacje twierdzą również, że ochrona praw autorskich Kursu zawsze była obecna we wskazaniach, które otrzymywała Helen Schucman, chociaż wyraźnie widać, że wraz z upływem lat ich wyczucie, jak stosować te zalecenia uległo zmianie.

Na przykład w 1989 roku Judy Skutch powiedziała mi, że „mieliśmy wskazania, by bez ograniczeń i żadnych pytań czy osądów dawać prawa autorskie. Jeśli ludzie chcą produkować kubki do kawy z napisem Cuda (Miracles), to niech to robią”. (2) Kiedy w 1995 roku pisząc tę książkę prowadziłem badania, Ken Wapnick wyjaśnił mi, że ich nowa polityka ochrony praw autorskich obejmowała zastrzeżenie znaku towarowego tytułu *A Course in Miracles* oraz akronimu „ACIM” ponieważ i jedno, i drugie było wykorzystywane do promowania komercyjnych przedsięwzięć nie związanych ani nie akceptowanych przez FIP. „Nie chcemy, żeby produkowano kubki z napisem *Cuda*” zauważył Wapnick.

Kiedy obowiązki związane z publikacją Kursu przejęło wydawnictwo Viking Penguin, kwestia ochrony praw autorskich nabrała jeszcze większego znaczenia. W połowie 1996 roku Penguin Books USA wytoczyło Akademii Endeavor (zobacz strona ) proces o naruszenie praw w związku z wydaniem i dystrybucją przez Akademię pewnej liczby

broszur zawierających przedruk niektórych fragmentów Kursu Cudów bez pozwolenia ani podania copyrightu, którego właścicielem na podstawie umowy licencyjnej zawartej z Fundacją Wewnętrznego Spokoju jest obecnie Penguin. Akademia Endeavor w odpowiedzi wystąpiła o oddalenie pozwu odwołując się do oryginalnego copyrightu z 1975 roku, gdzie widnieje nazwisko Helen Schucman i Fundacji Wewnętrznego Spokoju. Jeżeli autorem jest naprawdę Jezus Chrystus, twierdzi Akademia, , prawo autorskie powinno zostać unieważnione - argument ten ma pewien precedens według Jonathana Kirscha prawnika z Los Angeles specjalizującego się w prawie wydawniczym, z którym nieformalnie omawiałem ten spór.

„Jeżeli duch jest przedstawiany przez autora jako „osoba” mająca własną obiektywną egzystencję, wtedy ten autor nie może rościć sobie praw do autorstwa słów i wyrażen podyktowanych czy przekazanych mu drogą channelingu przez tego ducha” twierdzi Kirsch. Na koniec ostrożnie zapowiedział, że „będzie to ciekawy spór”, a bez względu na wydany werdykt, stanie się ważnym rozdziałem w historii Kursu.

### **Ważniejsze organizacje związane z Kursem**

Chociaż pierwsze grupy studiujące składały się z twórców Kursu i ich przyjaciół, wraz z rozpowszechnianiem się materiałów Kursu w fotokopiach szybko powstało wiele wiele innych. Nie sposób określić, ile takich grup powstało, rozwiązało się czy zreformowało od czasu, kiedy Kurs dosłownie wyszedł na światło dzienne w połowie lat siedemdziesiątych. Dalej przedstawiam krótki przegląd aktualnie działających, lepiej znanych organizacji związanych z Kursem w Stanach Zjednoczonych, w większości z nich nauczyciele są podobni do całej wspólnoty Kursu. Największa akademia prowadzona przez Fundację *Kursu Cudów* jest opisana szczegółowo w Rozdziale 5. (W Dodatku znajdziecie adresy, numery telefonów i adresy internetowe tych wszystkich grup.)

Centrum Upowszechniania Cudów (Miracle Distribution Center) w Fullerton, Kalifornia Najbardziej wyczerpującym spisem adresów wszystkich grup studiujących Kurs dysponuje Centrum Upowszechniania Cudów (MDC) w Fullerton w stanie Kalifornia, założony przez byłą aktorkę Beverly Hutchinson McNeff i jej brata Richarda w 1978 roku. MDC jest organizacją nie nastawioną na zysk, jest to najstarszy dom kliringowy mediów Kursu, który tygodniowo odpowiada na ponad 300 telefonów , listów i zamówień. MDC, który początkowo powstał jako organizacja mająca pomagać adeptom Kursu w Południowej Kalifornii, stopniowo przekształcił się w organizację mającą liczne cele, z licznymi kontaktami międzynarodowymi, która dzisiaj oferuje szeroką gamę bezpłatnych usług, łącznie z organizacją modlitw, kojarzeniem osób pragnących ze sobą korespondować, udzielaniem informacji na temat grup studyjnych i pracy z więźniami, a także całodobowy „telefon szkoleniowy” - to wszystko obok prowadzonej firmy zajmującej się sprzedażą wysyłkową książek, taśm magnetofonowych i kaset audiowizualnych. Ukazujący się co dwa miesiące biuletyn *The Holy Encounter* jest wysyłany bezpłatnie do dziesięciu tysięcy osób.

Beverly Hutchinson mówi, że MDC jest „kołem ratunkowym dla tych, którzy myślą, że są osamotnieni studiując Kurs, szczególnie dla osób mieszkających w odległych rejonach świata czy w „paśmie biblijnym w Stanach Zjednoczonych” [południowych stanach USA]. Pani Hutchinson ma także wykłady na temat Kursu oraz prowadzi grupy studyjne w obszernej lecz nijakiej siedzibie MDC w przemysłowym okręgu w Orange County, a także okresowo seminaria sobotnio-niedzielne w górach w okolicy Los Angeles.

Z wydruków komputerowych Centrum Upowszechniania Cudów wynika, że w połowie 1996 roku na całym świecie było co najmniej dwa tysiące sto grup studiujących Kurs. W Ameryce grupy takie są we wszystkich pięćdziesięciu stanach, a także w Puerto Rico i na Wyspach Dziewiczych. W Australii istnieje dziewięćdziesiąt grup, w Anglii

siedemdziesiąt pięć, siedem w Szkocji, trzy w Japonii, dwie w Indiach Zachodnich, dwie w Nigerii i po jednej w takich krajach jak Argentyna, Botswana, Izrael, Filipiny i od bardzo niedawna Słowacja. Większość z nich to grupy angielskojęzyczne, ale wraz z pojawianiem się tłumaczeń Kursu na różne języki, rośnie też liczba grup obcojęzycznych. Założycielka MDC zauważa, że nawet w Stanach Zjednoczonych nie można nic powiedzieć na temat demografii uczniów Kursu, którzy wywodzą się ze wszystkich klas, ras, zawodów i religii. (Podczas gdy zbierałem materiały do tej książki, spotkałem adeptów Kursu, którzy są lub byli żydami, katolikami, mormonami, członkami kościoła episkopalnego, scjentystami, protestantami, chrześcijańskimi fundamentalistami, amerykańskimi buddystami, muzułmanami, agnostykami i ateistami.) Najwięcej grup powstało w Południowej Kalifornii - ponad dwieście, co stanowi mniej więcej dziesięć procent wszystkich grup na świecie.

Fundacja Akcji Życia (The Foundation for Life Action) w Los Angeles, Kalifornia  
Organizacja ta reprezentuje nauczanie Tary Singha, Hindusa, który zanim spotkał Helen Schucman, był przez trzydzieści lat bliskim uczniem słynnego filozofa Krishnamurtiego. W wywiadzie udzielonym *Miracles Magazine* Singh wspomina, że Helen Schucman ze zniecierpliwieniem odrzucała jego wyrazy szacunku dla niej jako duchowej nauczycielki i posunęła się wręcz do nazwania go „zarazą”. Mimo to on przez całe lata wytrwale dzwonił do niej niemal co wieczór i „bez względu na to iloma kamieniami we mnie rzucała, nie miało to dla mnie znaczenia. Po prostu zbierałem je i składałem u jej stóp.” (3)  
Singh zaczął dawać wykłady, pisać książki i prowadzić seminaria na temat Kursu. Zorganizował też „Jednoroczne nieskomercjalizowane ustronie” w 1983 roku, w którym przerobił z czterdziestoma dziewięcioma osobami całe Ćwiczenia w dokładnie 365 dni. Broszura wydana przez Fundację Akcji Życia (FLA) tak streszcza jej filozofię:  
„Nie przyjmujemy dobroczynności ani nie szukamy dotacji, nie mamy też żadnej społeczności. Ponieważ imienia Boga nie można wykorzystywać do celów komercyjnych, a pieniądze uzyskane w niewłaściwy sposób są źródłem innych grzechów, nasza Szkoła nie pobiera opłat za nauczanie. Jej celem jest nauczenie studentów samodzielności i produktywności, pracy nad swoim wnętrzem a nie nad zbawianiem innych, umiejętności dawania czegoś od siebie i pod żadnym pozorem nie wykorzystywanis swojej przewagi”.

(4)  
FLA założyła także organizację dobroczynną pod nazwą Joseph Plan Foundation. Singh opublikował cztery ze swoich licznych swoich książek u poważnych wydawców, między innymi w Ballantine w 1997 r. ukazał się także tytuł *Encounters with Eternity: My Relationships with J.Krishnamurti and Helen Schucman* (Spotkania z wiecznością: moje związki z J.Krishnamurtim i Helen Schucman), dzięki której jego prace stały się znane w kręgach Kursu. Niektórzy uważają, że nauczanie Singha „pachnie Krishnamurtim” ze względu na jego wieloletni związek z tym mistrzem.

Wspólnota Międzywyznaniowa (The Interfaith Fellowship) w Nowym Jorku  
Wielebny Jon Mundy, który przez czternaście lat wykładał Kurs z ambony metodystów (Zobacz Rozdział 7), nazywa organizację, którą kieruje wraz z wielebną Diane Berke „nowojorskim kościołem ludzi poszukających. Jest wśród nas mnóstwo starych hippisów i ludzi, którzy w wielu miejscach poszukiwali mądrości”.

Ze swymi stu pięćdziesięcioma członkami i dwustu osobami pojawiającymi się na niedzielnych porannych nabożeństwach odbywających się naprzeciwko Carnegie Hall, Wspólnota oferuje duchowość opartą na Kursie, która obejmuje wiele innych perspektyw. Na przykład miesięcznik wydawany przez Wspólnotę *On Course* (w którym można zauważyć pewne podobieństwo do magazynu metodystów *The Upper Room*) regularnie podaje kronikę „roku międzywyznaniowego” dla swych trzech i pół tysiąca

prenumeratorów, w której wymienia święta religijne chrześcijańskie, buddyjskie, szintoistyczne, zoroastrianistyczne, islamskie i inne. Wspólnota wydaje także co kwartał katalog mediów Kursu. Jesienią 1995 roku zaczęła prowadzić szkoły niedzielne, które, jak twierdzi Mundy są „prawdopodobnie jedyne, które szanują różne tradycje religijne, a jednocześnie uczą Kursu na dzieciennym poziomie, to znaczy mówią między innymi o tym, jak ważna jest wspólnomyślność i prawdomówność”.

Zarówno Mundy jak i Berke są autorami książek o nauczaniu Kursu i dają wykłady na seminariach w całym kraju.

Krąg Zadośćuczynienia (The Circle of Atonement) w Sedonie, Arizona  
Organizacja ta mająca siedzibę na Południowym Zachodzie w kolebce kultury Nowej Ery (New Age), skłania się do dość konserwatywnej interpretacji filozofii Kursu. „Jej założyciel Robert Perry mówi: „Jestem przekonany, że w zamyśle autora Kurs jest bardzo poważną, wymagającą i transformacyjną drogą duchową, a nie tylko inspirującym i otwierającym zbiorem idei”. Perry jest autorem krótkiego *Introduction to A Course in Miracles* (Wstępu do Kursu Cudów) który rozszedł się w dwustu tysiącach egzemplarzy. Allen Watson, inny nauczyciel z Kręgu (zobacz Rozdział 9) upowszechnia Kurs poprzez sieci komputerowe - przez liczne elektroniczne fora i grupy dyskusyjne rozsyła komentarze do lekcji Kursu. Mimo że Krąg Zadośćuczynienia ma obecnie siedzibę w wynajętej prywatnej rezydencji w Sedonie, długofalowe plany Perry’ego i Watsona obejmują zbudowanie ‘trójskrzydłowego’ ośrodka, w którym prowadzona będzie działalność dydaktyczna, transformacyjna i uzdrowicielska. Założenie w 1994 roku szkoły Kursu nazwanej Kręgiem Nauczania (Learning Circle), dało początek skrzydłu dydaktycznemu. Robert Perry zauważa, że „jednym z naszych głównych celów jest zainicjowanie ‘systemu wsparcia’ dla studentów Kurs Cudów analogicznego do grup wsparcia Dwunastu Kroków”. Organizacja rozsyła swój kwartalny biuletyn zatytułowany *A Better Way*, wraz z seriami broszur do dwóch tysięcy osób.

Kalifornijski Ośrodek Cudów (The California Miracles Center) w San Francisco, Kalifornia

Chociaż wielu wyznawców Kursu kwestionuje ideę zakładania formalnych kościołów, wielebny Tony Ponticello najwyraźniej nie miał tego rodzaju wątpliwości, kiedy w 1987 roku zarejestrował Kalifornijski Ośrodek Cudów (CMC) jako oficjalny zatwierdzony przez państwo kościół. Ukryty w niewielkim pomieszczeniu na drugim piętrze w dzielnicy Castro w San Francisco, Ośrodek nie tylko oferuje niedzielne poranne nabożeństwa ze śpiewami, kazaniami i zbieraniem na tacę, ale również prowadzi programy kształcenia dla „praktykujących” Kurs Cudów, „Nauczycieli Boga” Kursu Cudów i uznanych przez prawo „kapłanów” Kursu Cudów.

Miesięczny biuletyn CMC *Miracles Monthly* z zabawnymi ilustracjami jest jednym z żywszych magazynów związanych z Kursem, który zamieszcza ogłoszenia drobne, informacje o sprzedaży wypieków domowych i schroniskach CMC, a także okazjonalne zdjęcie Ponticella paradującego w czapeczce Świętego Mikołaja. O ile księgarnia Ośrodka nie prowadzi sprzedaży hurtowej tak jak Ośrodek Upowszechniania Cudów, wymienia jednak więcej różnych mediów związanych z Kursem (ponad dwieście tytułów) niż MDC czy jakkolwiek inna organizacja. Na stronie domowej on-line Kalifornijskiego Ośrodka Cudów można znaleźć takie radosne objawienia jak „Wow! Właśnie miałem wizję, że chcę przekazać dar na rzecz Ośrodka” - ale jednocześnie są tam także szczegółowe finansowe rozliczenia, z których wynika, że CMC jest organizacją na progu rentowności, która płaci swemu założycielowi i zarazem kapłanowi znacznie poniżej dziesięciu tysięcy dolarów rocznie.

xxx



Akademia Endeavor (Endeavor Academy) w Baraboo, Wisconsin  
Ośrodkiem nauczania Kursu wzbudzającym najwięcej kontrowersji jest niewątpliwie Endeavor Academy, szkoła i stacjonarna społeczność złożona z około dwustu osób w południowej rolniczej części stanu Wisconsin, niedaleko od jego stolicy Madison. Akademia Endeavor różni się od normy pozostałych grup Kursu wieloma aspektami, między innymi swym rezydencyjnym statusem, agresywną ewangelizacją, a przede wszystkim kultem „Mistrza” - dawnego brokera nieruchomości i uzdrowionego alkoholika o nazwisku Chuck Anderson, o którym rezydenci Endeavor mówią per „Nasz kochany”. Szersza społeczność Kursu uważa Akademię za „kult”, który poważnie wypacza nauki Kursu.

Nie ma niczego dziwnego w tym, że ludzie wewnątrz Endeavor nie widzą tego w ten sposób. Kierujący Akademią Ted Poppe twierdzi, że cechą wyróżniającą podejście Akademii od podejścia Fundacji Kursu Cudów - najstarszego ośrodka nauczania Kursu, jest to, że „Ken Wapnick uczy Kursu tak jakby to był angielski, gdzie uczysz się odmiany słów i budowania zdań. Dla niego jest to po prostu coś, co się studiuje. My mówimy, że to nie na tym polega. Ludzie przychodzą tutaj po to, żeby doświadczyć prawdziwej komunii z Bogiem, są w takim momencie życia, w którym dostrzegają, że ich starania by zostać lepszym człowiekiem są daremne. Podejmują wtedy decyzję, co zrobić z resztą życia. Wielu z nich, gdy osiągnie ten punkt, postanawia pozostać tutaj”.

Reputacja Endeavor jako kultu zaczęła się wyraźnie szerzyć wtedy, gdy parę osób, które postanowiły tam pozostać, zmieniły po pewnym czasie zdanie i dość szybko zaczęły się dzielić z innymi swoim niepokojem, co do tego, co tam widziały i przeżyły. Ich najcięższy zarzut pada pod adresem zachowania samego Mistrza.

Val Scott, student z Kanady, który od 1979 roku brał udział dwa razy w zajęciach Akademii Endeavor, opublikował osiemdziesięciostronicową broszurę o swych doświadczeniach w Akademii, gdzie, jak twierdzi, Mistrz nie tylko obrażał go słownie, ale także dopuścił się napaści fizycznej. (5) Kalie Picone z Massachusetts, która spędziła w Baraboo trzy tygodnie, napisała w otwartym liście puszczonego w obieg w kręgach Kursu, że Mistrz „atakuję wszystkich bez wyjątku ludzi za ich ciekawość intelektualną i za utrzymywanie swej tożsamości”. (6) Robert Lilly z Las Vegas w stanie Nevada, opisał Mistrza w liście rozesłanym drogą komputerową jako „egomaniaka stosującego okrężne rozumowanie i głupią logikę. Widziałem, jak wrzeszczał na ludzi i kłócił się z nimi, między innymi ze mną... Słyszałem, jak mówił rzeczy, które nawet jako metafory wyraźnie nie zgadzały się z Kursem. Prowadzone przez niego zajęcia były monologami, podczas których nie dopuszcza do żadnych dyskusji ani wątpliwości”. (7)

Nie mniejszym zmartwieniem dla wielu weteranów Kursu jest wyraźne poczucie wyższości Akademii w stosunku do innych grup i nauczycieli. Ted Poppe utrzymuje, że Akademia Endeavor „robi coś zupełnie innego” niż pozostałe grupy i że „jest bardziej zaawansowana” pod względem rozwoju duchowego członków. Pismo Endeavor *out of time* idzie nawet jeszcze dalej, wyśmiewając typowe grupy studiujące Kurs w zmyślnym „biuletynie nowości”:

„Mamy wspaniałą wiadomość z grupy studiującej Kurs Cudów „Ćwiczmy się wszyscy w przebaczeniu” z Selroy, Kalifornia. Liderka grupy pani Margarette L.L. Thurston II, podaje, że na ostatnim regularnie odbywanym spotkaniu jednemu z członków, ku zaskoczeniu i zachwytowi wszystkich, udało się zagwizdać Marsylianę pewną tylną częścią ciała. Członkowie grupy George i Alma Finstly zobowiązali się, że ‘w tym tygodniu naprawdę się zabiorą na serio za ‘przebaczenie’” On jest basem, a ona altem. Są mocno zdeterminowani, żeby utworzyć trio i na Boże Narodzenie zagwizdać wspólnie „Hark the Herald Angels Sing”. Powodzenia Wyrobownicy Cudów!” (8)

Bez względu na to, jaki jest stosunek Endeavor do reszty wspólnoty Kursu, w swoim sąsiedztwie w rolniczym okręgu Wisconsin, nie wywołuje żadnych niepokojów. O ile Akademia utrzymuje dom mieszkalny zwany Wiejską Siedzibą Boga (God's Country Place) oraz kilkanaście odnowionych moteli dla swych uczniów, pozostali mieszkają, pracują i kierują swoimi firmami w pobliskim Wisconsin Dells. „Prowadzimy normalne życie w społeczeństwie, tak jak wszyscy”, twierdzi Poppe. Lokalna prasa pisze o Akademii niewiele i w sposób obojętny, mimo, że w 1992 roku miejscowe zrzeszenie kapłanów zakwestionowało chrześcijaństwo New Christian Church of Full Endeavor w artykule opublikowanym w *Baraboo News Republic*.

Nie wszystkie relacje absolwentów Akademii są negatywne. Jim Lane, wykładowca zarządzania i marketingu w Southern Cross University w Nowej Południowej Walii w Australii, mówi, że miesiąc, który spędził w Akademii w 1995 roku „przyspieszył o całe dziesięciolecie moje rozumienie Kursu”. Parę innych osób odeszło z Akademii po to, by założyć własne grupy mniej lub bardziej inspirowane interpretacją Mistrza; należy do nich również żona Teda Poppe'a - Victoria, która, jak mówi prowadzi, „wiodącą grupę Kursu w okręgu Bostonu”.

Akademia Endeavor nie zadowala się ograniczeniem swego nauczania do ośrodka w Wisconsin i organizuje ambitne zamiejscowe programy nauczania w zachodniej Europie i Australii oraz liczne ośrodki satelitarne w różnych miejscach. W 1995 roku Akademia zakupiła ośrodek zjazdowy na 15 tysięcy miejsc w pobliżu swej siedziby w Wisconsin, o którym Ted Poppe mówi, że będzie wykorzystywany jako „miejsce, w którym odbywa się duchowe uzdrawianie oparte na zasadach Kursu Cudów”.

Wyraźnie więc widać, że Akademia Endeavor ma zamiar pozostania na scenie i szerzenia swej wersji doktryny Kursu. Ale prawdą też jest, że większa wspólnota Kursu patrzy na nią tak, jak to określił były rezydent Val Scott: „najzwyczajniejsza wyprawa kultowa i guru podczepiona pod Kurs Cudów”. (9) Tak samo wiele zasłużonych osób od dawna związanych z Kursem w prywatnych rozmowach sprzeciwiało się włączeniu przeze mnie Akademii do tego przeglądu organizacji prowadzących nauczanie.

xxxx

Kurs w Kościele Jedności i w grupach rehabilitacji

Jednym z miejsc, gdzie ludzie odkrywają Kurs Cudów jest ich lokalny kościół Jedności. Religia ta nazywana czasami „chrześcijaństwem Nowej Ery” została założona w 1889 roku przez amerykańskie małżeństwo Charlesa i Myrtle Fillmore'ów, którzy „szukali zdrowia poprzez zmianę swych myśli na temat Boga i samych siebie”. (10) Chociaż jest ona czasami utożsamiana jako część ruchu Nowej Myśli (New Thought), który głosi ideę boskości rodzaju ludzkiego, odróżnia się od niego tym, że wyraźnie udziela poparcia naukom Jezusa Chrystusa. Jednak w praktyce, kościoły Jedności na ogół obejmują szeroki wachlarz przekonań i punktów widzenia duchowych. Kurs chociaż nie jest oficjalnie popierany przez Jedność, wyraźnie stał się jednym z jego towarzyszy.

Joan Gattuso z Ohio, która od szesnastu lat jest kapłanem w kościele Jedności, a jeszcze dłużej studentką Kursu, jest autorką książki wydanej w 1996 przez wydawnictwo HarperCollins *A Course in Love* (Kurs miłości). Mimo iż odnotowuje, że Kurs nie jest powszechnie akceptowany przez kościoły Jedności, jest jednak zdania, że zasady tych dwóch ruchów duchowych są „w istocie takie same... Kurs wpłynął na mój jeszcze większy szacunek dla mądrości i przenikliwości Fillmore'ów”. Książka Gattuso na temat związków międzyludzkich powstała głównie z inspiracji Kursu, ale autorka czerpie też ze swego wielostronnego doświadczenia duchowego, w tym również buddyźmu. Jej zdaniem najważniejszym przesłaniem tej książki jest konieczność „przebaczenia, przebaczenia i jeszcze raz przebaczenia - bez żadnych wyjątków - ponieważ nasza wina jest tak głęboko zakorzeniona, że przez nią tracimy kontakt z rzeczywistością”.

Kurs coraz częściej pojawia się także w różnych grupach rehabilitacyjnych. To powiązanie stało się na tyle znane, że jeden z wiodących wydawców materiałów na temat rehabilitacji, Hazelden, opublikował w 1995 roku książkę Karen Casey, piszącej o uzdrawianiu ducha i medytacji, zatytułowaną *Daily Meditations for Practicing the Course* (Codzienne medytacje do praktykowania Kursu). Książka Casey, która nie ma zastępować substytutu rocznych medytacji samego Kursu, zawiera trzysta sześćdziesiąt pięć myśli i esejów na każdy dzień, które odzwierciedlają ogólną filozofię Kursu, między innymi: „Zmień myśli, a pójdzie za tym zmiana zachowania”, „Uzdrowienie zachodzi poprzez łączenie się z innymi ludźmi” oraz „Bóg nie wie, co to gniew”. (11). Casey, która sama prowadzi programy rehabilitacji, mówi, że Kurs Cudów jest formą „studiów podyplomowych dla tych, którzy pracują z Dwunastoma krokami.

### **Kurs w biznesie, wolnych zawodach i w polityce**

„Nie ma programu telewizyjnego, który byłby zatytułowany ‘Style życia osób zrównoważonych i kochających’” zauważa Robert Roskind, biznesmen z Północnej Karoliny, w książce z 1992 roku *In the Spirit of Business* (W duchu biznesu) dającej wskazówki, jak stosować zasady Kursu Cudów w biznesie. „Osiągnięcia podparte strachem nie prowadzą do spokoju ducha i prawdziwego poczucia własnej wartości, które są najcenniejszą nagrodą w naszym życiu... Jeśli uda nam się zacząć eliminować lęki, które motywują i kierują naszymi działaniami, stwierdzimy, że osiągamy tyle samo, ale z jasnym sercem i w równowadze”. (12)

Roskind nie jest jedynym autorem piszącym na temat biznesu zainspirowanym Kursem i proponującym nowe spojrzenie na znaczenie i dążenie do bogactwa. Willis Harman, prezes Sausalito, Instytutu Noetyki mającego siedzibę w Kalifornii oraz były regent Uniwersytetu Kalifornijskiego, brał udział w założeniu Światowej Akademii Biznesu (World Business Academy), stowarzyszenia liderów biznesu i futurystów, którzy spotykają się i dyskutują nad tym, jak biznes może pomóc wprowadzić na całym świecie „pozytywne, zrównoważone społeczeństwo”. W 1993 roku Akademia opublikowała antologię swych idei pod tytułem *The New Paradigm in Business* (Nowy paradygmat w biznesie), którą kończy komentarz Harmana o „biznesie jako środku globalnej transformacji”.

Chociaż Harman nie odwołuje się konkretnie do Kursu, jego lista wskaźników „nowego paradygmatu” zawiera liczne koncepcje będące echem filozofii Kursu Cudów, w tym: „pokój i powszechne bezpieczeństwo”, „zmiana bez przemocy”, „uprawnienie ludzi” i „przekonania trans-materialistyczne... Akcent kładzie się obecnie na samorealizację, znaczenie transcendentne oraz wewnętrzny wzrost prowadzący do mądrości i współczucia”. (13)

Ponieważ ziemskie korzenie Kursu tkwią w psychologii i psychoterapii akademickiej, jest on stale i w coraz większym stopniu obecny w tych dziedzinach; jest to szczególnie wyraźne na Zachodnim Wybrzeżu oraz w odmianie psychologii zwaną psychologią „transpersonalną” (zobacz Rozdział 6). Chociaż brak jest danych statystycznych na ten temat, z moich dziennikarskich prowadzonych przez lata badań wynika, że coraz więcej adeptów Kursu jest związanych z zawodami medycznymi, a także, co jest nieco dziwne, prawniczymi. Podczas zbierania materiałów usłyszałem o wielu małych firmach prawniczych, między innymi w San Rafael i Carmel w stanie Kalifornia, które usiłują kierować się zasadami Kursu w swej praktyce.

Alan Reid, adwokat z Kanady, w swej książce *Seeing Law Differently* (Zobaczyć inaczej prawo) przyznaje się do stosowania sześciu zasad inspirowanych Kursem, które mają mu pomóc w ukierunkowaniu praktyki prawniczej na uzdrawianie:

- „Pozbywam się wszelkich uraz, które żywię w stosunku do osoby, z którą mam do czynienia, bez względu na to, czy jest to mój klient, inny prawnik, świadek, druga strona, sędzia, czy urzędnik sądowy.

- Nigdy nie wykorzystuję prawa do forsowania osądu, jaki sobie wyrobiłem na temat innej osoby.
- Nigdy nie wykorzystuję swoich przywilejów ani kwalifikacji prawniczych do zaatakowania innego człowieka lub zemsty na nim.
- Podejmuję wszystkie decyzje mające skutki prawne dla mnie czy dla kogoś innego tylko wtedy, gdy jestem spokojny, a nie wtedy, gdy jestem zły lub się boję.
- Wierzę, że ten proces otworzy przede mną i innymi możliwości dokonywania wyborów, które przyniosą uzdrowienie, o ile przystępujemy do nich z miłością a nie strachem.
- Szukam tylko sprawiedliwości, która jest darem uzdrawiającym dla wszystkich biorących udział w postępowaniu prawnym.” (14)

Reid rozumie, że trudno jest patrzeć w tak inny sposób na prawo, przyznaje bowiem, że jest jeszcze siódma zasada nie mniej ważna, która brzmi: „Muszę być świadomy swej niechęci do pozostałych sześciu”. (15)

Jeżeli jest jakiś świat, w którym można by oczekiwać niezwykle silnego oporu wobec przesłania nakazującego doskonalenie wewnętrzne i transformację duchową, jest to z pewnością świat polityki, a przecież i do niego Kurs Cudów znalazł różne dojścia. Prezydent Bill Clinton i Pierwsza Dama Hillary Rodham Clinton konsultowali się u popularnej nauczycielki Kursu Marianne Williamson (Zobacz Rozdział 4) i dzięki niej poznali jego niektóre zasady. Judy Skutch, wydawca Kursu Cudów, powiedziała, że w skład co najmniej jednej grupy studiującej Kurs wchodzi żony kongresmanów, a wielu członków Kongresu w tym czy innym okresie także studiowało tę naukę. Jerry Brown, były gubernator Kalifornii, również zapoznał się z Kursem.

W dokumentalnym filmie poświęconym Kursowi, Milton Friedman, były autor przemówień prezydenta (nie należy mylić go ze słynnym ekonomistą) mówił o potencjale, jaki zawiera przesłanie Kursu dla narodowej polityki. Friedman, któremu powierzono podwójne zadanie w czasie prezydentury Geralda Forda - redagowanie tekstów popierających zwiększenie wydatków na obronność oraz pisanie religijnych przemówień dla głowy państwa - znalazł się w pułapce dość typowej dla osób uczestniczących w polityce państwa. Z jednej strony pomagał „szerzyć strach”, a z drugiej, pisał publiczne deklamacje o braterskiej miłości bliźniego.

„Widziałem w tym sprzeczność” przyznaje Friedman. „Widziałem również, co się dzieje w rządzie i na forum międzynarodowym, byłem tym tak zaniepokojony, że kiedy po wyborze Cartera odszedłem z urzędu, zwróciłem się ku modlitwom i medytacji. Wtedy pojawił się Kurs, z którym zapoznała mnie Judy Skutch.

Kurs nie może dać światu pokoju, ale mogą to zrobić ludzie. Po pierwsze, spokój wewnętrzny musi przyjść przed wszystkim innym zewnętrznym... Kurs ze zrozumieniem mówi, jak radzić sobie ze strachem, a jeśli coś może służyć jako instrument dydaktyczny dla jednostki, można to też zastosować w skali całego narodu. Przywódcy narodu są lustrzanym odbiciem obywateli. Kiedy dostatecznie dużo obywateli zacznie się otwierać i patrzeć bez lęku... może nastąpić zmiana w skali kraju”. (16)

### **Kurs w więzieniach**

Główne wątki Kursu, czyli przebaczenie i osobista odpowiedzialność, coraz częściej docierają do rosnącej krajowej subkultury więźniów. W 1982 roku Bob Plath, adwokat, zaczął prowadzić program nauczania Kursu w więzieniu San Quentin w Marin County w Kalifornii. W szczytowym okresie, program ten przez trwał pięć lat obejmował cztery różne cotygodniowe spotkania grup Kursu Cudów złożonych z więźniów ze wszystkich poziomów rygorów. Jednym ze studiujących Kurs w San Quentin był David Magris, skazany na 16 lat za morderstwo, kidnaping, napad z bronią w rękę oraz włamanie, osadzony w celi śmierci do chwili, kiedy stan Kalifornia czasowo zniósł karę śmierci w 1972 roku.



Magris, który zetknął się z Kursem mniej więcej w siódmym roku odsiadania kary, brał już wcześniej udział w programach resocjalizacyjnych i twierdzi, że „podjąłem decyzję, że mam dość siły, żeby się zmienić. Potrzebowałem jednak więcej możliwości rozwoju. Rozpracowałem główne motywy moich zbrodni, ale cały czas nosiłem w sobie ciężkie brzemie winy. Po rozmowie na temat mej przeszłości zawsze czułem się wyczerpany, zestresowany i zasmucony. Kurs miał kapitalne znaczenie, dzięki niemu lepiej pojąłem na czym polega wybaczenie sobie”.

Magris zaobserwował również, że regularne spotkania na temat Kursu wywarły wpływ na jego towarzyszy: „Myślę, że każdy w naszej grupie był mocno poruszony i odmieniony. Wszystkim było łatwiej wyrażać swoje uczucia, a zajęcia pomogły im też w przyjmowaniu krytyki od współwięźniów. To zdecydowanie zmieniło ich postępowanie i zachowanie na dziedzińcu i poprawiło stosunki z personelem”.

Magris, który od 1985 roku przebywa na zwolnieniu warunkowym, mieszka i pracuje w pobliżu San Quentin i aktywnie uczestniczy w zdecydowanie niepopularnym ruchu na rzecz zniesienia kary śmierci. Gdy publicznie występuje w tej sprawie, czasami towarzyszy mu Dennis Tapp, którego Magris postrzelił i omal nie zabił podczas młodszych przestępczych wyskoków, które doprowadziły go do San Quentin. Mężczyźni pogodzili się po wyjściu Magrisa z więzienia.

W Bostonie adeptka Kursu Robin Casarjian podjęła ambitny projekt edukacji więźniów pod auspicjami własnego Krajowego Programu Alfabetyzacji Emocjonalnej w Więzieniach (National Emotional Literacy Project for Prisons). Autorka doskonale sprzedającej się książki zatytułowanej *Forgiveness: A Bold Choice for a Peaceful Heart* (Przebaczenie: śmiały wybór spokojnego serca), wydanej przez Bantam, Casarjian doznała nieoczekiwane dobrego przyjęcia swego przesłania, kiedy po raz pierwszy odwiedziła więzienie w 1988 roku i od tej pory zaczęła regularnie pracować z ludźmi pozbawionymi wolności. W 1995 roku sama wydała swoją książkę pod tytułem *Houses of Healing: A Prisoner's Guide to Inner Power and Freedom*, (Domy uzdrawiania: przewodnik wewnętrznej siły i wolności dla więźniów), która jest bezpłatnie wysyłana do zakładów karnych w całym kraju; pani Casarjian chciałaby rozesłać 65 tysięcy egzemplarzy, łącznie z tłumaczeniem na hiszpański. Akcja ta jest w całości prowadzona dzięki dotacjom na rzecz jej charytatywnej organizacji, w skład rady dyrektorów tej organizacji wchodzi popularna autorka książek o zdrowiu dr Joan Borysenko, która również przyznaje się do tego, że wywarł na nią wpływ Kurs.

*Houses of Healing*, pierwsza książka samo-pomocowa poświęcona całkowicie więźniom, pisze w prostych, przystępnych słowach o takich fundamentalnych sprawach jak relaksacja, samoobserwacja, praca nad własnym gniewem i smutkiem, medytacja. Rozsiane są w niej bezpośrednie cytaty lub omówienia lekcji z Ćwiczeń Kursu, takie jak :”Jest inny sposób patrzenia na świat” (17), „Zamiast tego mogę widzieć spokój” (18), „To ja mam moc podejmowania decyzji”. (19)

Robin Casarjian, ofiara gwałtu i przeciwniczka kary śmierci, popierająca całkowicie nowe spojrzenie na cele więzienia - czyli stawianie na pierwszym miejscu nie kary, jak to jest obecnie lecz resocjalizacji i reedukacji - uważa, że psychoduchowe rozwiązanie problemu więźniów jest także najpraktyczniejsze. „W więzieniach przebywa obecnie półtora miliona osób” mówi, „dziewięćdziesiąt procent z nich wróci do społeczeństwa, bez względu na to ile zakładów karnych zbudujemy. Więzienne doświadczenia tych ludzi determinują ich sukces bądź porażkę w momencie powrotu do normalnego życia”.

„Ludzie się zmieniają” dodaje, „i ludzie w więzieniu też się zmieniają. I zmieniają się albo na lepsze pod względem emocjonalnego uzdrowienia, dojrzałości i odpowiedzialności osobistej lub staną się bardziej pokiereszowani, zropanieni i z większym prawdopodobieństwem gotowi do wystąpienia przeciw społeczeństwu w przyszłości”.

Innym projektem nauczania Kursu w więzieniach jest Visions for Prisons (Wizje dla Więziennicy) w Costa Mesa w Kalifornii, którego twórcą jest Dan Millstein, porzucone dziecko pary nastolatków, który wyrósł, jak sam mówi, na „przestępcę, którego nie złapano”. Millstein, zwolennik Medytacji Transcendentalnej, zetknął się z Kursem w 1987 roku. Potem spotkał się z Jerry’em Jampolsky’em i zapytał go, jak zacząć grupę terapii postaw (zobacz Rozdział 4). Jampolsky odpowiedział mu po prostu „Zacznij. Potrafisz!” i wkrótce Millstein zaczął wprowadzać zasady jogi, medytacji i terapii postaw do zakładów karnych i szkół. W 1995 roku Millstein i jego Visions for Prisons otrzymali jedną z trzech International Jampolsky Awards (Międzynarodowych Nagród Jampolsky’ego) przyznawaną dla uhonorowania szczególnie udanych i nowatorskich zastosowań zasad terapii postaw.

### **Media związane z Kursem**

Paul Ferrini, wychowany przez rodziców ateistów, działaczy społecznych z Nowej Anglii, wyrastał w przekonaniu, że „nauka ma na wszystko odpowiedzi i w końcu rozwiąże wszystkie problemy ludzkiej egzystencji”. Ale około piętnastego roku życia Ferrini zaczął odczuwać wpływy duchowe i w wieku 23 lat, kiedy był w prawdziwym dołku, usłyszał coś, co uznał za głos Boga, który kazał mu iść do sąsiedniego pokoju i z zamkniętymi oczyma wybrać jakąś książkę. Tą książką okazało się być *I and Thou* (Ja i Ty) Martina Bubera. Książka ta pomogła Ferriniemu zrozumieć, że „mogłem sam wybrać, jaki rodzaj świata chcę widzieć - duchowy świat Ja -Ty, czy materialny świat Ja - To. Do tego dnia myślałem, że wszystko sprowadza się do wyzysku i walki”.

Na początku lat osiemdziesiątych Ferrini zetknął się z Kursem Cudów i natychmiast miał wrażenie, że rozumie jego przesłanie i był przekonany, że Kurs stanie się jego główną ścieżką duchową. Jedynym kłopotem było to, że „nie podobał mi się chrześcijański, patriarchalny język Kursu”. A mimo to czuł „głęboką, intuicyjną więź” z tymi naukami i zauważył, że nie musiał tak bardzo trudzić się nad ich znaczeniem, jak pozostali studenci, których obserwował. „Myślę, że Kurs jest drogą podarowaną intelektualistom po to, by pomóc im dotrzeć do swych serc” mówi.

Ferrini przez wiele lat organizował konferencje i oazy Kursu, był również redaktorem *Miracles Magazine*, który założył w 1991 roku, a zlikwidował pięć lat później. „Miałem wizję takiego magazynu, który by leżał obok *National Enquirer* w każdym sklepie spożywczym, ale opowiadał tylko pozytywne historie o cudach i przemianach w ludzkim życiu” mówi dalej Ferrini. „Czytając go ludzie czuliby się zainspirowani i z nadzieją patrzyli na swoje życie”. Pierwszych parę numerów *Miracles* było poświęconych wyłącznie historiom związanym z Kursem Cudów, później Ferrini wprowadził bardziej zróżnicowaną tematykę. Dalsze zeszyty zawierały artykuły o takich osobistościach jak Elisabeth Kuebler-Ross, John Bradshaw i dr Raymond Moody, oraz zgłębiały takie tematy jak „śmierć, umieranie i życie po śmierci” czy „urazy i wykorzystywanie seksualne dzieci”. To stustronicowe nieregularnie wydawane na błyszczącym papierze pismo z najwyższym nakładem 15 tysięcy egzemplarzy i dające anemiczne zyski, zawsze było dalekie od sąsiedowania na półkach z *National Enquirer*, przyznaje jego twórca. Ale różnorodne doświadczenia z organizacją przedsięwzięć związanych z Kursem pozwoliły mu na filozoficzne spojrzenie na sukcesy i porażki jakiegokolwiek działania.

„W szczytowym momencie udziału mojego ego w społeczności Kursu, chciałem naprawiać wszystko, co uznawałem, że jest złe” wspomina Ferrini, „Teraz zdaję sobie sprawę z tego, że zawsze kiedy myślę w ten sposób, to ja jestem tym, który najbardziej cierpi. Nie muszę być Don Kiszotem i rzucać się na każdy wiatrak”.

*Miracles Magazine* był jedynym pełnowymiarowym czasopismem poświęconym Kursowi, ale z grup studiujących Kurs i indywidualnych autorów wzięło swój początek wiele biuletynów. Biuletyn Fundacji Kursu Cudów zatytułowany *The Lighthouse* dociera do

ponad dziesięciu tysięcy czytelników. Studenci Kursu Cudów wyraźnie mają łatwość wysławiania się, chętnie publikują swoje myśli i dyskutują ze sobą za pośrednictwem wielu środków przekazu, także tych najnowszych, elektronicznych. W trakcie zbierania materiałów do tej książki odkryłem grupy dyskusyjne Kurs Cudów w America OnLine, Compuserve i Prodigy. Internetowa grupa dyskusyjna „list serve” założona przez Jamesa Hale’a z La Trobe University w Australii umożliwia adeptom Kursu z całego świata wymianę myśli poprzez pocztę elektroniczną. Często drogą tą przesyłanych jest ponad pięćdziesiąt pism dziennie. (Informacje dotyczące Kursu on-line znajdziecie w Dodatku). Inne media poświęcone Kursowi to nagrania czytanych tekstów i utworów muzycznych różnych artystów czerpiących inspirację z Kursu. Beverly Hutchinson nagrała wiele serii kaset z materiałami Kursu z akompaniamentem muzyki New Age Stevena Halperna. Kurs ma nawet własną symfonię *Journey Without Distance*, nagrałą przez Orkiestrę Symfoniczną z Seattle na płycie kompaktowej razem z dwoma innymi współczesnymi klasycznymi utworami Richarda Danielpoura, kompozytora i pianisty wykształconego przez Julliarda (Delos, International Recordings).

Ci, których męczy ta powaga duchowa, znajdują komiczne wytchnienie w *A Course in Marigolds* (Kurs nagietek), parodii Kursu pióra Michaela Stillwatera, studenta Kursu. Ten kurs przydomowego ogrodnictwa, o rozmiarach broszurki, zatwierdzony jakoby przez Fundację Zielonego Groszku (Foundation for Dinner Peas) głosi, że jest „całkowicie zgodny w tym, co przedstawia z celem, jakim jest doprowadzenie niekompetentnego ogrodnika do stanu męki psychologicznej poprzez sfabrykowanie mentalne wojny o imponującym zasięgu ze ślimakami. Nie jest jasne, dlaczego chce to zrobić”. (20) Studenci grubszych tomów Kursu docenią znajomy styl Ćwiczeń *Marigolds*, zawierających tak inspirujące medytacje jak: „To co widzę w moim ogrodzie, jest formą zemsty”, „Jestem zdenerwowany, ponieważ wszędzie widzę ślimaki” oraz „W lepszym płocie leży me bezpieczeństwo”. (21) Dowcip satyry Stillwatera docenili nawet puryści Kursu; *A Course in Marigolds* cieszy się poparciem Kena Wapnicka, który oświadczył, że „Gloria już nigdy nie spojrzy tak samo na pracę w ogrodzie!”

### **Alternatywne channels**

Michael Stillwater nie jest jedynym, który przekazuje alternatywne przesłania przypominające Kurs. Wiele osób, jak najbardziej na serio napisało książki i nagrało taśmy twierdząc, że są pośrednikami tego samego źródła mądrości, które podyktowało oryginalny Kurs. Tom Carpenter z The Carpenter Press w Princevill na Hawajach, mówi, że jego książkę *Dialogue on Awakening* (Dialog o przebudzeniu) podyktował Jezus, a Brent Haskell, Ph.D nagrał serię taśm podyktowanych mu przez „Jezuego” od stycznia 1990 do stycznia 1991, zatytułowanych *Journey Beyond Words* (Podróż nie do opisanego), wydanych przez DeVorss jako „suplement do Ćwiczeń Kursu”. Najogólniej mówiąc oba te dzieła są napisane znacznie prostszym językiem niż sam Kurs Cudów, natomiast powtarzają jego główne wątki. To, na ile ich nauki współbrzmia z Kursem Cudów, zależy od tego, kogo się o to zapyta, ale zarówno Carpenter jak i Haskell mają swoich uczniów nie wzbudzając poważniejszych kontrowersji.

Inaczej sprawa się ma z Paulem Normanem Tuttle z Northwest Foundation for *A Course in Miracles* (Południowozachodniej Fundacji Kursu Cudów) w Kingston w stanie Washington. Tuttle jest channelem istoty o imieniu Rajpur lub „Raj”, która jest szczególnie aktywna na forach elektronicznych. Rajowi niegdyś za podawanie swej tożsamości jako „znanego jako Jezus” i autora oryginalnego Kursu, zablokowano dostęp do uczestnictwa w Forum New Age Compuserve’u (zrobił to operator systemu lub moderator Forum). Po tym zdarzeniu Raj wychynął znowu w Forum Religii Compuserve’u w sekcji poświęconej Kursowi Cudów, w skład której wchodzi głównie jego wyznawcy. Ale, jak mówi jeden z

obserwatorów Forum, nawet tam, nowi uczestnicy okazjonalnie, z częstotliwością „co jakiś pół roku”, kwestionują autentyczność Raja.

Michael Brewer, adept Kursu, Amerykanin mieszkający w Szwajcarii (zobacz Rozdział 9) dowiedział się o Raju z forum Compuserve i zaczął słuchać niektórych jego taśm, których autor, jak podpowiadała mu „instynktowna reakcja”, jest daleki od boskości. Brewer mówi, że głos Raja „brzmi arogancko”. Liczni krytycy Raja powiedzieli mi prywatnie, że są przekonani, iż głos na taśmie należy do Paula Normana Tuttle’a, przy czym moi rozmówcy nie wypowiadali się, czy jest to świadoma inicjatywa czy nie. Mimo wszystko Raj ma dostatecznie dużo wyznawców, żeby prowadzić dwa razy w miesiącu wykłady dla około dwudziestu pięciu osób i okresowe warsztaty weekendowe, które przyciągają sto lub więcej osób.

Mimo że idea, że Jezus przemawia przez tak wiele osób, wydaje się niektórym adeptom Kursu wątpliwa, w rzeczywistości nie jest wcale dziwniejsza od tego, że wybrał Helen Schucman jako kanał dla swego przekazu. Jak sugeruje jeden ze studentów „to zmusza nas wszystkich raczej do zobaczenia prawdziwej jakości tych przesłań, także przesłania samego Kursu, niż ślepej wiary w jakikolwiek autorytet, który się podaje za jego autora”. Ale Paul Ferrini na konferencjach na temat Kursu zauważył, jaką siłę przyciągania ma autorytet - na seminariach Toma Carpentera lub Brenta Haskella jest taki tłum, że nie można wcisnąć szpilki, natomiast wielbny Jon Mundy, który nie twierdzi, że ktokolwiek przez niego przemawia, miewa znacznie mniejsze audytorium. „A Jon ma tyle samo ważnego do powiedzenia co Tom lub Brent” uważa Ferrini.

Na ironię zakrawa fakt, że dla wielu studentów o autentyczności i mądrości oryginalnego Kursu decyduje to, że w pierwszej chwili *nie wierzą* i stawiają opór jego autorytetowi, tylko po to, by po dłuższych studiach i praktykowaniu zasad przekonać się, o jego potędze. Taki test wartości chyba najlepiej określa determinantem prawdziwy „autorytet” kryjący się za dowolną duchową nauką.

### **Kim jest student Kursu?**

Dziesięć lub piętnaście lat temu można by dość precyzyjnie z wytypować studentów Kursu na podstawie ich związków z psychoterapią lub ruchem Nowej Ery.. Oba te środowiska i dzisiaj w znaczący sposób zasilają audytorium Kursu. Jednak te korelacje mają więcej wspólnego z tym, skąd Kurs pochodzi i jak został po raz pierwszy przedstawiony publicznie, a nie z jakimiś szczególnymi urokami jego przesłania. Jak zauważyła Beverly Hutchinson, nie sposób scharakteryzować populacji uczniów Kursu, która przekracza nieustannie wszelkie granice klasowe, rasowe, narodowościowe i poprzednich orientacji duchowych. Zdaniem Roberta Perry’ego „jedyną wspólną cechą, która łączy dzisiaj studentów Kursu, jest to, że wszyscy posiadają niebieską książkę”.

Czy poza wskaźnikami socjologicznymi, są jakieś cechy psychologiczne wspólne dla wszystkich adeptów Kursu? Czy, jak podejrzewa mój kolega, wszyscy są „kompletnymi mięczakami”? Na podstawie swoich wieloletnich doświadczeń i rozmów, jakie z nimi prowadziłem, powiedziałbym, że są oni na różnym poziomie rozwoju psychologicznego i wzrostu duchowego, od najbardziej zwariowanych po najbardziej wyrafinowanych. Zatem aby ocenić wartość i efektywność Kursu, trzeba by mieć więcej dowodów niż tylko pierwsze wrażenie na temat dojrzałości danego ucznia czy grupy. Potrzebna jest też wiedza o tym, jak wyglądało ich życie, zanim zetknęli się z Kursem i jakiego rodzaju zmiany zostały wykute w ich charakterach i świadomości od tamtej pory.

Przez jakiś czas hołdowałem teorii, że Kurs przyciąga szczególnie osoby dynamiczne, których siła własnego źle ukierunkowanego ego sprowadziła na manowce - w sytuacje katastrofalne, z których wąską, ale jedyną drogą ucieczki do przemian jest Kurs Cudów. Uważałem, że ta teoria bardzo dobrze pasuje do osób, o których opowiadam w następnym



rozdziale, do znanych popularyzatorów Kursu - Jerry'ego Jampolsky'ego i Marianne Williamson, i wspomniałem o niej samej Marianne.

„Muszę zaprotestować” odpowiedziała. „Nie sędzę, żebyśmy Jerry i ja, czy inni studenci Kursu byli szczególnie prężni lub mieli poważniejsze problemy niż inni. Myślę, że życie każdego człowieka może zmierzać ku spokojowi lub katastrofie, zależnie od tego, na co skierujemy swą energię”. Z tego punktu widzenia, może wspólną cechą identyfikującą poważnych uczniów Kursu Cudów jest ich decyzja, że obierają nową drogę i oddalają się od tłumy wraków ludzkich, wypływając na spokojne wody.

## **Rozdział 4**

### **Dalsza droga przesłania.**

#### **Rozmowa z Jerry'm Jampolsky'm i Marianne Williamson**

Stale rosnąca popularność Kursu Cudów zawsze była pewną tajemnicą, zważywszy na to, jak trudno się go czyta i rozumie, nie wspominając już o praktykowaniu. O ile Kurs jako taki znalazł wielu adeptów, to swój szeroki zasięg i popularyzację pewnych zasad zawdzięcza psychiatrze Jerry'emu Jampolsky'emu i znanej wykładowczyni spirytualnej - Marianne Williamson. Chociaż oboje przyznają, że nie są „purystami” Kursu, odegrali istotną rolę w upowszechnieniu jego generalnego przesłania w różnych miejscach oraz specyficznym stosowaniu społecznym. Pomogli również w takim rozpropagowaniu Kursu wśród opinii publicznej, którego nikt nie mógł przewidzieć dwadzieścia pięć lat wcześniej, kiedy nauka ta była cały czas ukryta w opasłym segregatorze w gabinecie Billa Thetforda.

#### **„Lekarzu, ulecz się sam”**

Mniej więcej w tym samym okresie, na początku lat siedemdziesiątych, Jerry Jampolsky osiągnął sukces. Jego lukratywna praktyka psychiatryczna umożliwiała mu komfortowe życie oraz przyniosła reputację najskuteczniejszego terapeuty leczącego alkoholików w Marin County na północ od San Francisco. Mimo pochłaniającej mnóstwo czasu pracy, Jampolsky sumiennie interesował się życiem szkoły i Małą Ligą swoich dwóch synów, starając się przynajmniej niektóre wieczory spędzać w domu, by odgrywać rolę ojca rodziny. I rzeczywiście ludzie, którzy znali Jampolsky'ch, przeważnie uważali ich za wzorową rodzinę.

Ale sprawy wcale nie miały się tak dobrze, jak się zdawało, a wszystko wręcz szło całkiem źle. Jampolsky tak pisze w swej autobiografii *Out of Darkness Into the Light* (Z ciemności do światła):

„Miałem osobowość doktora Jekylla i pana Hyde'a. W zaciszu gabinetu potrafiłem być człowiekiem kochającym i umiałem przyjmować miłość. W domu zachowywałem się jak prawdziwy tyran, ale zaprzeczałem temu nawet wtedy, kiedy było to ewidentne. W pracy mogłem rozmawiać z rodzicami pacjentów o bezwarunkowej miłości; w domu nieustannie gnębiłem synów, żeby przynosili dobre stopnie ze szkoły. Pomimo dobrych intencji, robiłem dokładnie to, co tak ostro krytykowałem u własnych rodziców”. (1)

Jednak nawet w zaciszu gabinetu rzeczywistość nie przystawała do pozorów. Reputacja Jampolsky'ego jako specjalisty od leczenia alkoholizmu z pewnością ucierpiałaby znacznie, gdyby wyszło na jaw, że on sam neguje istnienie własnego problemu alkoholowego.

W 1973 Jampolsky po dwudziestu latach małżeństwa rozwiódł się i jego życie stało się jeszcze gorsze. „Byłem zupełnie rozbity” wspomina obecnie „a mimo głębokiej depresji nadal prowadziłem praktykę psychiatryczną”. Pomimo całego treningu w rozwiązywaniu problemów psychologicznych innych ludzi, widać było, że Jampolsky nie potrafi uporać się z największą raną odniesioną w dzieciństwie, a mianowicie przekonaniem, że nikt go

nie może pokochać. Jak relacjonuje w *Good-bye to Guilt* (Pożegnanie z winą) rozwinął osobowość opartą na kompensacji wymierzania sobie samemu kary:

„Odkryłem... że mogę sprawić innym przyjemność, gdy staję się bardziej winny. Im bardziej byłem, winny, tym oni byli szczęśliwsi. Branie na siebie winy, stawało się sposobem na przypodobanie się innym. W konsekwencji, stałem się składem wina, jak stos, który się rozrósł i rozbuchał do niewyobrażalnych rozmiarów.

Ponieważ byłem przekonany, że jestem obywatelem drugiej klasy, skoncentrowałem się na tym, by zostać pesymistą pierwszej klasy - przynajmniej było to coś, nad czym, jak sądziłem, mogę sprawować kontrolę. Postanowiłem, że będę spełniać negatywne oczekiwania innych wobec mojej osoby, robiąc rzeczy, które mnie kompromitują, po to, żeby oni się lepiej czuli. W końcu dało mi to wariackie poczucie władzy, że mam w czymś rację. Chociaż nie mogło mi się udać doprowadzić do tego, żeby mnie kochano, stałem się ekspertem w złośczeniu innych. Prowokując ich gniew, umacniałem swoje przekonanie, że mogę coś kontrolować demonstrując w przekonujący sposób, jak niegodnym miłości i nic nie wartym człowiekiem jestem.

Żyłem w świecie, który wydawał mi się niebezpiecznym miejscem, w którym w każdej chwili mogę zostać zaatakowany....” (2)

Nic dziwnego, że Jampolsky sceptycznie odniósł się do słów Judy Skutch, która zadzwoniła do niego któregoś dnia w 1975 roku z Nowego Jorku, opowiadając mu o spotkaniu z Helen Schucman i Billem Thetfordem i informując o rękopisie, który, jak myślała, może zmienić jego życie. Kiedy zapytał ją, o czym on jest, a ona zaczęła opowiadać o Bogu i przemianie duchowej, Jampolsky, który był zdecydowanie ateistą, powiedział nie, dziękuję. Kiedy Judy przyjechała później do Marin County, zapytała, czy nie zechciałby spojrzeć na Kurs Cudów.

„Bardzo snobistycznie, odpowiedziałem, że rzucę okiem na jedną stronę i to wszystko” wspomina Jampolsky. „Przeczytałem więc tę jedną stronę i po raz pierwszy w życiu usłyszałem wewnętrzny głos mówiący: ‘Lekarzu ulecz się sam. To jest twoja droga do domu’. Nigdy nie byłem w stanie wyartykułować tego dokładnie, ale miałem poczucie jedności z całym światem i jedności z Bogiem. Wiedziałem, że moje całe życie stanie się inne”.

Przy tym wszystkim Jampolsky podjął studia Kursu z niejaką podejrzliwością, zastanawiając się, czy nie został w jakiś sposób nabrany. Dopiero po wielomiesięcznych studiach - kiedy poznał Helen i Billa i „przekonał się, że są uczciwi i normalni” - Jampolsky mógł przyjąć, że „Jezus naprawdę musiał przemówić przez Helen, żeby ta książka mogła powstać. Przede wszystkim, przesłanie i sposób zachowania Helen nie były spójne; Helen cały czas miała masęrozterek. Ja tak samo, ale wtedy stawało już wiedziałem, że Kurs pomaga mi tak, jak nigdy nie przypuszczałbym, żeby to było możliwe”.

Niedługo po tym spotkaniu Jampolsky miał konsultację w klinice Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco, gdzie zobaczył małe dziecko w terminalnej fazie raka, które pytało lekarza, jak to jest, jak się umiera. Zamiast mu odpowiedzieć, lekarz zmienił temat. Jampolsky twierdzi, że wkrótce potem „otrzymał wskazanie, żeby założyć ośrodek, który byłby oparty na zasadach uzdrawiania zawartych w Kursie Cudów, ale w taki sposób, żeby nie używać języka żadnej religii. Zaczęlibyśmy od umierających dzieci. Moje objawienie było takie, że dzieci te są bardzo mądrymi istotami, które mogą pomóc sobie wzajemnie i każdemu, kto wyrazi chęć, żeby im pomóc”.

W ten sposób narodził się pierwszy Ośrodek Terapii Postaw (Center for Attitudinal Healing), działający z niewielkiego biura Jampolsky’ego w Tiburon w Kalifornii. Z eksperymentu, który był pomyślany jako pomoc dzieciom i ich rodzicom w stawianiu czoła straszliwej chorobie - „a także miał pomóc mnie w znalezieniu spokoju ducha”, przyznaje Jampolsky - powstała ogólnoswiatowa sieć licząca ponad sto ośrodków, udzielających

pomocy ludziom stojącym w obliczu różnorodnych kryzysów fizycznych, społecznych i kulturalnych. Chociaż Jampolsky jeszcze przez wiele lat pracował jako psychiatra, postanowił, że Ośrodek będzie świadczył swe usługi bezpłatnie, a także ustanowił filozofię, że osoby pomagające powinny „zostawiać za drzwiami swoje świadectwa” i prowadzić terapię postaw na zasadach partnerskich ze wszystkimi pozostałymi uczestnikami.

„Kurs stawia sprawę bardzo jasno, że każdy jest jednocześnie i uczniem i nauczycielem” wyjaśnia Jampolsky, „coś, co mnie jako psychiatrę wykształconemu w przekonaniu, że wiem więcej od swoich pacjentów, nigdy nie przyszłoby do głowy. Dlatego od tej pory zacząłem nazywać pacjentów swoimi współpracownikami”. Kolejną zmianą, która zaszła w nim pod wpływem Kursu było wyrzeczenie się „w psychoterapii idei, że niektóre rodzaje poczucia winy nie są dobre, a inne są zdrowe. Kurs nauczył mnie, że żadne poczucie winy nie jest zdrowe” mówi Jampolsky.

Zauważając, że cały model psychiatrii jest zbudowany na opisach patologii a nie stanu zdrowia, Jampolsky proponuje radykalną reorientację diagnozy i leczenia psychologicznego. „Gdybym miał od nowa napisać nomenklaturę Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychiatrycznego (American Psychiatric Association), wielką księgę z setkami diagnoz, zastąpiłbym ją całą jednym zdaniem: *Choroba występuje wtedy, gdy nie doświadczasz siebie jako esencji miłości i nie rozdajesz tej miłości*. Oczywiście to znaczy, że większość z nas, łącznie ze mną, niemałą część czasu jest chora. Ale Kurs wymaga od nas, byśmy osiągnęli stan zdrowia choć na krótką chwilę za jednym razem, ponieważ te ‘zdrowe chwile’ są naprawdę momentami wieczności. Kiedy udaje ci się dojść do takich momentów, coś bardzo innego zaczyna wydarzać się w twoim życiu”.

W miarę jak Ośrodek Terapii Postaw rozrastał się, a Jampolsky kontynuował studia Kursu z „rodziną”, w skład której wchodził Judy Skutch, Frances Vaughan i Bill Thetford, doszedł w końcu do zwrotnego punktu w swej karierze zawodowej. W 1979 roku zdecydował, że przestanie brać honoraria za terapię, wierząc, że coraz silniejsze poczucie przewodnictwa duchowego nie da mu zginąć. Mniej więcej półtora roku później, wspomina Jampolsky, jego sekretarka zasugerowała, żeby może sam udał się do psychiatry. „Powiedziała, że słuchanie głosu Boga jest w porządku, ale mam mnóstwo zaległych rachunków do zapłacenia i niebawem popadnę w prawdziwe tarapaty. Zastanawiałem się, czy nie popadam w jakiś rodzaj duchowej psychozy”.

Wkrótce potem, opublikowana została jego książka *Love is Letting Go of Fear* (Miłość to wolność od lęku). „Myślałem, że pomoże paru osobom” mówi Jampolsky, ale poza tym nie spodziewał się po niej zbyt wiele. Nauczyciel w college’u postawił mu przeceiz kiedyś tróję z minusem z angielskiego mówiąc „Jampolsky, nie wiem, kim zostaniesz, ale na miłość boską, nie próbuj nigdy pisać książek”. Na dodatek Jerry od dzieciństwa był dyslektykiem, co, jak dzisiaj sądzi, obróciło się na jego korzyść. „W przeciwnym razie, nie napisałbym tak prosto i nie trafił do tak wielu ludzi”.

Bez względu na to, jaka była przyczyna, *Miłość* niemal natychmiast stała się hitem. Po tym, jak Orson Bean, aktor, wyraził się o niej entuzjastycznie w programie telewizyjnym Johnny’ego Carsona, książka zyskała olbrzymią popularność i do dzisiaj sprzedano jej 3 miliony egzemplarzy. Następne książki Jampolsky’ego powstałe także z inspiracji Kursu *Goodbye to Guilt* (Pożegnanie z winą) i *Teach Only Love* (Nauczaj tylko miłości) również stały się bestsellerami, dając autorowi środki do życia z tantiem i honorariów za wykłady. Powtórnie ożeniony z byłą bizneswoman Diane Cirincione, która wkrótce stała się jego partnerką w wykładach, Jampolsky dawał ostatnio około 35 płatnych wykładów rocznie, a poza tym pojawia się honorowo na licznych imprezach dobroczynnych. Chociaż już formalnie nie prowadzi praktyki psychiatrycznej, często, poproszony o to, doradza pojedynczym osobom, parom małżeńskim i niewielkim grupkom osób, nie pobierając od nich honorarium.

Mimo własnego doświadczenia z przemianą pod wpływem Kursu, rzadko zaleca go bezpośrednio osobom, które zwracają się do niego o pomoc. „Nie myślę, że Kurs jest odpowiedni dla każdego” wyjaśnia. „Kiedy wydaje mi się, że powinienem, odsyłam ludzi do terapeutów lub psychiatrów. To nie znaczy, że nie sugerowałbym nikomu, żeby zajrzał do środka. Różnica polega na tym, że jako psychiatra przepychałem lub przeciągałem ludzi przez różne drzwi, przez które uważałem, że powinni przejść. Teraz pytam Ducha Świętego, co powiedzieć i czasami jestem pioruńsko zdumiony tym, co przemawia przez mnie. Czasami czuję, że powinienem skorzystać z jakiejś techniki psychiatrycznej. Ale nigdy nie wiem z góry, co powiem”.

Ostatnio zarówno Jampolsky jak i Cirincione ograniczyli trochę harmonogram wykładów, gdyż „poczuliśmy, że powinniśmy dążyć do większej prostoty w życiu”. Chociaż Jampolsky twierdzi, że ani jego książek, ani zasad terapii postaw nie należy traktować jak nauki Kursu, jego wpływ na popularyzację i zastosowanie Kursu Cudów w „prawdziwym świecie” jest niepodważalny. Stały rozwój ośrodków terapii postaw - czasami w dziwnych miejscach, a zawsze w odpowiedzi na najcięższe wyzwania - sugeruje, że to dziedzictwo przetrwa przez następne dziesiątki lat.

### **Stanać w obliczu życia, śmierci i bólu**

Istnienie 110 ośrodków terapii postaw stanowi zaprzeczenie częstej krytyki Kursu Cudów jako filozofii zachęcającej studentów do wycofywania się ze spraw doczesnych lub negowania najbardziej nieprzyjemnych faktów życia (zobacz Rozdział 8). Jampolsky zainspirowany Kursem w rzeczywistości kierował się zupełnie innymi motywacjami, ośrodki miały być sposobem na przeciwstawienie się zaprzeczaniu istnienia śmierci, które obserwował w środowisku profesjonalnej medycyny. Od najwcześniejszych dni, Ośrodek Terapii Postaw był szeroko chwalony jako dobrodziejstwo dla osób znajdujących się w poważnym kryzysie lub rozpacz.

Nawet dociekliwy magazyn wiadomości CBS *60 minutes*, normalnie bardzo krytyczny, w raporcie z 1979 roku, w którym opisywał pierwszy ośrodek Jampolsky'ego jako „miejsce, w którym występuje raczej wiara i zrozumienie niż litość i instytucjonalna terapia” uznał go za „sposób na spojrzenie na życie, śmierć i ból prosto w oczy”. (3) Inne doniesienia prasowe na temat pierwszego i kolejnych ośrodków są także nieustannie pozytywne, mimo że Jampolsky przyznaje: „Jestem pewny, że wyciągano nam brudy tak, jak każdemu”. W pewnym sensie ośrodki te można potraktować jako pierwsze i najszerzej rozsiane „ośrodki misyjne” zainspirowane Kursem Cudów. Dwanaście zasad terapii postaw stanowiących ramy i filozofię działania grup w ośrodkach, jest wyrażonych prostszym językiem niż sam Kurs, ale bez wątplenia tkwi korzeniami w jego nauce.

Zasady terapii postaw

1. Esencją naszego bytu jest miłość.
2. Zdrowie to spokój wewnętrzny. Zdrowienie to uwalnianie się od lęku.
3. Dawanie i otrzymywanie jest tym samym.
4. Możemy uwolnić się od naszej przeszłości i przyszłości.
5. Teraz jest jedynym czasem, jaki istnieje i każda chwila jest dobra na dawanie.
6. Możemy nauczyć się kochać siebie i innych wybacząc a nie osądzając.
7. Możemy stać się poszukiwaczami miłości, zamiast poszukiwaczami błędów.
8. Możemy wybrać spokój wewnętrzny bez względu na to, co się dzieje poza nami.
9. Jesteśmy dla siebie wzajemnie uczniami i nauczycielami.
10. Możemy skoncentrować się na całym życiu a nie jego fragmentach.
11. Ponieważ miłość jest wieczna, nie musimy patrzeć na śmierć ze strachem.
12. Zawsze możemy spojrzeć na siebie i innych jak na osoby albo szerzące miłość, albo wzywające pomocy.



Jednak w innym niebagatelny sense, Ośrodek Terapii Postaw nie jest misyjną placówką Kursu, ponieważ osobom, które biorą udział w jego warsztatach i programach, Kurs Cudów nie jest ani zachwalany, ani polecany. W przestronnej siedzibie Ośrodka, mieszczącej się obecnie w Sausalito, w Kalifornii, gdzie spotyka się regularnie ponad trzydzieści grup osób wpierających się wzajemnie w najcięższych chorobach i po stracie bliskich, jest księgarnia, w której nie sprzedaje się materiałów Kursu. Od osób chcących założyć podobne ośrodki w ich miejscach zamieszkania, nie oczekuje się znajomości Kursu, chociaż wymaga się przestrzegania zasad terapii postaw, a także oferuje im się szkolenia w tym zakresie.

Mimo że ośrodki terapii postaw tradycyjnie zajmują się ludźmi nieuleczalnie chorymi, cierpiącymi z powodu straty i smutku, w ostatnich latach powstają grupy wychodzące naprzeciw szerzej pojętym społeczno-politycznym sytuacjom kryzysowym. W 1995 r. gazeta *The Rainbow Connection* wydawana przez kwaterę główną Ośrodka w Sausalito, odnotowała założenie nowego centrum w Oklahoma City po tamtejszym zamachu bombowym na budynek federalny, a także wspominała o pracy ośrodków i stowarzyszonych z nimi grup wsparcia w Moskwie i Bośni. W Oakland, w stanie Kalifornia, Aesha Abbabio, długoletni student Kursu i były członek Narodu Islamu (Nation of Islam), założył ośrodek skupiający się na zadaniu „uzdrawiania stosunków rasowych”.

W 1995 roku z Jerry’em Jampolsky’em skontaktowała się Ann Bayne, wódz Indian Kaska i przywódczyni Liard First Nation w Yukon w Kanadzie. Ann Bayne, studentka Kursu, przeczytała książkę Jampolsky’ego *Out of the Darkness Into the Light* (Z ciemności do światła) i poczuła, że ten człowiek będzie mógł pomóc jej szczepowi w uporaniu się z poważnymi problemami społeczno-politycznymi, takimi jak konflikty rodzinne i wewnątrzplemienne, nadużywanie seksu i narkotyków, alkoholizm i wysoki wskaźnik samobójstw. Indianie Kaska byli niegdyś koczownikami, których dzieci kanadyjski Departament do Spraw Indian na początku lat 1950 wtłoczył siłą do szkół z internatami, stali się wedle słów Ann Bayne narodem „duchowych bankrutów”, którzy za sprawą szkół misyjnych prowadzonych głównie przez katolików zerwali ze swoją kulturą. „Zabronili nam naszych obrzędów i praktyk”, mówi „odnosili się do nas jak do bezbożników, dzikusów i pogan. Dzisiaj musimy zagoić rany po tym wszystkim, co się nam stało. Musimy odnaleźć drogę do naszego Stwórcy”.

Dla Wodza Indian Kaska, przyjazd Jerryego Jampolsky’ego i Diane Cirincione jesienią 1995 roku, stał się początkiem właśnie takiego uzdrowienia, jakiego poszukiwała. „Jerry i Diane byli najbardziej kochającymi i szczodrymi ludźmi, którzy od dłuższego czasu pojawili się w naszej społeczności. Byli obcy, a przyjechali na własny koszt i przywieźli nam mnóstwo literatury i idei. Ale przede wszystkim, podarowali nam wiarę i nadzieję”. Ann Bayne planuje teraz założenie dla swych współplemieńców centrum opartego na zasadach terapii postaw. Twierdzi, że dostrzega znaczne podobieństwo między zasadami Kursu a naukami przekazywanymi jej przez starszych. „Moi rodzice i przodkowie zawsze nauczali, że należy przebaczać i nie wpadać w złość. Tato mówił również, że nie powinno się osądzać ludzi. W naszym języku nie mamy nawet pojęcia sądu, ale chodziło o to, że nie powinno się nigdy poniżać ludzi. I oczywiście, zawsze przyświecała nam wiara w Stwórcę.”

Kiedy wspominam Wodzowi Bayne, że Kurs jest czasem krytykowany jako filozofia samoobsługowa, dająca dobre samopoczucie typom New Age, jest to dla niej coś nowego. „Nie, myślę, że to nie tak” odpowiada. „Dla mnie Kurs jest tym samym, co honorowy sposób życia Indian Kaska. Daje poczucie powrotu do domu.”

## **Blyskotliwa dziewczyna**

Jak niezwykle silny i mieszany wpływ wywarła Marianne Williamson na popularyzację Kursu Cudów, dowiedziałem się z rozmowy z przyjacielem, tuż przed wywiadem z samą Marianne. Mój przyjaciel, czytany i praktykujący członek Kościoła Episkopalnego, który studiował buddyzm i przerobił Ćwiczenia Kursu, opowiedział mi, że gdy wspomniał o Kursie nowemu znajomemu, ten natychmiast odpowiedział "O, tak, widziałem ją kiedyś u Oprah". Opowiedziawszy mi o tej rozmowie, mój uczonego przyjaciel zapytał niezdecydowanie "Kim więc jest Marianne Williamson?"

Najkrócej można odpowiedzieć, że jest ona przede wszystkim popularyzatorką Kursu, głównie dzięki sukcesowi jej pierwszej książki *A Return to Love: Reflections on the Principles of a Course in Miracles* (Powrót do miłości: refleksje nad zasadami Kursu Cudów), która niemal natychmiast po ukazaniu się stała się mega-bestsellerem. Jest również znaną wykładowczynią spirytualną, która na początku lat dziewięćdziesiątych zyskała sławę, jaką cieszą się na ogół gwiazdy Hollywoodu (wśród których ma zresztą wielu przyjaciół).

Istotnie jej sława przyćmiła sławę samego Kursu, wzbudzając na temat jej związków z Kursem nie tyle jakie zamieszanie w rodzaju, co było pierwsze jajko czy kura. Na krótko przed naszą rozmową, Marianne Williamson wystąpiła w programie telewizyjnym Larry'ego Kinga poświęconym tematowi cudów, w trakcie którego czym prędzej sprostowała bezceremonialne stwierdzenie Kinga „pani kurs cudów”.

„Wyobrazila sobie, jak wszyscy adepci Kursu przed telewizorami wrzeszczą ‘Cooooo?’ i myślą, że to ja mu tak powiedziałam!” wykrzykuje Marianne Williamson. „Niektórym się wydaje, że to ja napisałam Kurs albo mam na niego jakiś monopol. A ja nie uważam się ani za przedstawicielkę Kursu ani nawet za zaawansowaną studentkę. Myślę, że jestem gdzieś na solidnym średnim poziomie. Ale mówię o mnóstwie spraw, które nie są związane wcale z Kursem, a moje dwie ostatnie książki są zupełnie o czym innym. Jestem popularyzatorką tematów duchowych i na pewno nie uważam, że Kurs ma monopol na prawdę duchową”.

Nawet jeśli Marianne Williamson nie uważa się za reprezentantkę Kursu, jest ona bez wątpienia główną postacią w jego upowszechnianiu, jako że wraz z ukazaniem się jej pierwszej książki, sprzedaż samego Kursu Cudów wzrosła o pięćdziesiąt procent (zobacz Rozdział 3). Jej wykłady, taśmy, występy w telewizji i osobowość medialna zapoznały miliony ludzi z choćby samym pojęciem jakiegoś „kursu cudów”.

Fakt, że przez to nagłośnienie niektórzy ludzie zaczęli mylnie uważać Marianne Williamson za ziemską autorkę Kursu, jest szczególnie ironiczny. Atrakcyjna, wygadana i dobrze czująca się w świetle reflektorów Marianne Williamson uosabia to wszystko, czym nie była spisująca Kurs Helen Schucman, łącznie z tym, że przyjęła Kurs jako wskazówkę życiową w sposób, któremu Helen zawsze się przeciwstawiała. Kiedy pytam ją, jak potoczyłoby się jej życie bez Kursu, Marianne mówi: „To zabawne, że zadał pan to pytanie, bo ja sama stawiam je sobie regularnie i zawsze przy tym śmieję się i dygocę. Powiedzmy to tak: przed Kursem nie znajdowałam się na drodze do pokoju i szczęścia”.

### **Dobrze wychowana rewolucjonistka**

Marianne Williamson, dziecko liberalnych należących do klasy średniej Żydów mieszkających w Houston, mówi: „zostałam wychowana, żeby pieklić się zawsze wtedy, gdy trzeba się było pieklić”. (4) Jej ojciec, Sam, był adwokatem zajmującym się sprawami imigracyjnymi, „kanapowym rewolucjonistą”, który za osiągnięcia całego życia dostał nagrodę Center for Human and Constitutional Law. W 1965 roku Marianne była w siódmej klasie i któregoś dnia powiedziała ojcu, że usłyszała od jednego z nauczycieli, że Stany Zjednoczone muszą prowadzić wojnę w Wietnamie, żeby nie wpuścić komunistów na Hawaje. Sam Williamson zareagował tak, że zabrał trzynastoletnią dziewczynkę do Wietnamu, żeby zobaczyła wojnę na własne oczy. Jak napisała w *A Return to Love*:

„chciał, żebym zobaczyła dziury po kulach. Nie chciał, żeby wojskowo-przemysłowy kompleks zrobił mi wodę z mózgu i przekonał, że wojna jest w porządku”. (5) Ale obok takich lekcji występowania przeciw autorytetom i konwencjonalnym założeniom, od małej Marianne wymagało się także przestrzegania zasad i konwenansów. „Byłam wychowana, żeby wywoływać rewolucję, ale miałam do tego włożyć sukienkę z organdy i białe rękawiczki”. (6) Te przeciwstawne wpływy buntu i poprawności są bardzo widoczne w dorosłym stylu Marianne Williamson jako popularnej nauczycielki duchowej, która czerpie inspirację z radykalnej dyscypliny, a jednocześnie przemawia do swych słuchaczy bardzo moralizatorskim tonem. Chociaż jej nauki i styl życia odważnie stawiają czoło społecznym konwenansom, to jednak nigdy nie zostałyby wzięta za anarchistkę.

Na początku 1995 roku prasa bardzo dużo uwagi poświęciła zaproszeniu, jakie Marianne Williamson i wielu innych mówców zajmujących się potencjałem ludzkim otrzymali do Camp David od prezydenta Billa Clintona i Pierwszej Damy. Gazety jako wydarzenie odnotowały to, że Marianne Williamson parę razy jadła lunch z Hillary Clinton. Rozpuszczono też plotkę, że autorka *A Return to Love* chciała wypróbować swych sił w pisaniu przemówień dla prezydentowi, ale Biały Dom natychmiast zdementował te pogłoski.

Wiele lat wcześniej, gdy nawet nie mogła wyobrazić sobie takich znajomości i wpływów, jej ambicje nie były tak skryształizowane i dalekosiężne. Po skończeniu dwóch lat studiów w Pomona College, w 1972 roku Marianne zaczęła włóczyć się po kraju, nawiązując romanse, podejmując się dorywczych prac i snując niejasne plany na przyszłość. „Nie pamiętam wielu rzeczy z tamtych lat” wyznaje w *A Return to Love*. „Tak jak dużo ludzi w tym okresie - pod koniec lat sześćdziesiątych i we wczesnych siedemdziesiątych - byłam dość szalona. Zdawało mi się, że za każdymi drzwiami, których otwierania zabraniały normy społeczne, znajdują się jakieś grzeszne przyjemności, których koniecznie muszę skosztować. Jeśli tylko coś zdawało mi się skandaliczne, chciałam to zrobić. I na ogół robiłam”.

W 1977 roku Marianne Williamson zamieszkała po raz drugi w Nowym Jorku, mając się różnych tymczasowych prac, by sfinansować swą świeżo opierzoną karierę kabaretowej piosenkarki. Niektórzy słuchacze uważali nawet, że nie jest zła, inni byli zdania, że powinna raczej trzymać się tego, co robi za dnia, a jeszcze inni bardziej od piosenek woleli jej paplaninę między kolejnymi numerami.

Marianne Williamson zetknęła się po raz pierwszy z Kursem w 1977 roku, ale zniechęciła się jego chrześcijańskim językiem; na serio zaczęła studiować rok później. Zaczęła pracować jako wolontariuszka w Fundacji Wewnętrznego Spokoju, kiedy ta cały czas miała siedzibę w Nowym Jorku, pozostała tam trzy miesiące, a potem pomagała parę tygodni w nowym domu FIP w Tiburon w stanie Kalifornia. Zgodnie z modelem nierzadkim wśród osób poważnie studiujących Kurs, jej życie wraz z pogłębianiem nauki stawało się coraz trudniejsze, zagłębiała się w „coraz ciemniejsze zakamarki duszy” i trwało to jeszcze wiele lat po powrocie do Houston w 1979 r.

„Załamania nerwowe mogą być bardzo niedocenionymi metodami przemiany duchowej” napisała. „Na pewno przyciągają uwagę”. (8) Jej załamanie nerwowe nastąpiło niebawem po krótkim, nieudanym małżeństwie z biznesmenem z Houston. Marianne zaczęła zaraz potem chodzić pięć razy w tygodniu do psychiatry (który również był studentem Kursu) i uznała, że ta terapia pomogła jej przetrwać najtrudniejszy okres, kiedy prowadziła księgarnię połączoną z kawiarnią oferującą ambitny program artystyczny i kulturalny, a jednocześnie cały czas usiłowała rozkręcić karierę piosenkarki. W tym okresie zachłannie studiowała Kurs, opowiadając czasem o jego nauce klientom w księgarni. Jej zespół akompaniujący na scenie nazywał się Little Egos (Małe Ega) - aluzję tę zrozumie na pewno każdy adsept Kursu.

W końcu w jej życiu nadszedł moment poddania ego, „wspaniały, dramatyczny moment, kiedy zaprosiłam Boga do mojego życia....”

„I potem nic nie było takie, jak się spodziewałam. Myślałam przecież, że wszystko zmieni się na lepsze. Moje życie było jakby domem i myślałam, że Bóg go wspaniale wyremontuje - zmieni na nowe okiennice, ganek, położy nowy dach. A zamiast tego odniosłam wrażenie, że jak tylko podarowałam ten dom Bogu, On uderzył w niego wielkim taranem. „Przykro mi, kochanie” zdawał się mówić: „w fundamentach były pęknięcia, że nie wspomnę już o stadach szczurów w sypialni. Pomyślałem, że będzie lepiej, jak zaczniemy od nowa”. (9)

I w 1983 roku Marianne rzeczywiście zaczęła wszystko od nowa. Zamknawszy księgarnię, z tysiącem dolarów w kieszeni, skierowała starego oldmobile'a swej matki do Mekki, która przyciągała tak wielu początkujących artystów nie mających nic do stracenia: do Los Angeles. Tym razem nie próbowała jednak występować w nocnych klubach. Po uzyskaniu posady sekretarki w Towarzystwie Badań Filozoficznych (Philosophical Research Society), Marianne szybko zaczęła wygłaszać tam co tydzień wykłady o Kursie Cudów.

### **Jak Marianne z dnia na dzień stała się sensacją**

Wraz z opublikowaniem pierwszej książki w 1992 roku i z niezliczonymi zapowiedziami w prasie, zdawało się, że Marianne jednym skokiem osiągnęła szczyt sławy. W rzeczywistości jej wspinaczka była podbudowana latami rosnącej popularności, którą zyskiwała jako wykładowczyni mówiąca o sprawach duchowych, a także napiętym harmonogramem bezpłatnie świadczonych usług i akcji dobroczynnych.

Na swoje audytorium zawsze wywierała piorunujące wrażenie, o czym zaświadcza Howard Rosenman, producent z Hollywood:

„Gdy po raz pierwszy poszedłem ją zobaczyć, myślałem, że Dzwon Wolności zwałił mi się na głowę... Przed nami stała fantastyczna babka, pochodząca wyraźnie z wyrafinowanego neurotycznego środowiska Żydów teksańskich, która żargonem mojego pokolenia spletała wątki z socjologii, polityki, antropologii, historii, fizyki i Biblii. Zwraçała się do ludzi, którzy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych bawili się, narkotyzowali i uprawiali wolną miłość; ona była do nas podobna, równie dobrze mogłaby być w Studiu 54 lub tańczyć w Fire Island Pines uderzając tamburynem w biodro - a przemawiała do nas jak Jezus Chrystus. Mówiła o najbardziej podstawowych zasadach. Mówi o Złotej Zasadzie”. (10)

Wykłady Marianne Williamson, pełne werwy, zabawne, czasami ostre, szybko wyszły poza granice Towarzystwa Badań Filozoficznych, ale nie zapewniły jej środków utrzymania przez kolejne dwa lata, podczas których nadal pracowała dorywczo jako sekretarka. W 1986 roku przemawiała do pełnych sal w różnych miejscach zarówno w Los Angeles jak i Nowym Jorku. Słuchanie taśm z jej nagraniami stało się niemal *de rigueur* dla południowokaliifornijskich dzieci wyżu demograficznego zniechęconych tradycyjną religią, lecz poszukujących głębszych motywacji niż dostatek materialny i sukces zawodowy, które już na ogół osiągnęli.

Filozofia Marianne Williamson zainspirowana Kursem, lecz wieloaspektowa, uderzała w strunę szczególnie bliską mężczyznom o orientacji homoseksualnej, stojącym twarzą w twarz z widmem epidemii AIDS. To z tej inspiracji powstał (Ośrodek dla Życia) Center for Living - kombinacja hospicjum i ośrodka kultury dla ludzi stojących w obliczu śmiertelnej choroby - który Marianne pomogła założyć w Los Angeles, a później także w Nowym Jorku.

Mająca bardzo silną osobowość, hiperaktywna i według relacji wszystkich niezwykle wspaniałomyślna, co stało w wyraźnym kontraście z mentalnością lat osiemdziesiątych „najpierw ja”, Marianne Williamson dała początek zjawisku, które toczyło się szybciej i na większą skalę niż ona sama mogłaby uruchomić. Wyznaczając cenę za bilet wstępu na swe



wykłady od pięciu do siedmiu dolarów, (wszyscy, którzy nie mogli pozwolić sobie na tę sumę, mieli wstęp wolny), Marianne zaczęła również organizować zyskowne naszpikowane gwiazdami imprezy charytatywne dla Ośrodków dla Życia i filii w Los Angeles, Anielski Program Żywnienia (Project Angel Food) polegający na bezpłatnym dostarczaniu posiłków do domów osób chorych na AIDS. Często odwiedzała także przykutych do łóżka szpitalnego pacjentów, coraz częściej proszono ją o zabieranie głosu na ślubach i pogrzebach. W 1989 roku zaszła w ciążę z mężczyzną, którego tożsamości nigdy nie podała do publicznej wiadomości, dodając w ten sposób macierzyństwo do ułożonej przez siebie długiej listy obowiązków.

I właśnie wtedy Al Lowman, agent literacki z Nowego Jorku, namówił ją, żeby napisała książkę i sprzedał wstępny projekt *A Return to Love* w 1988 roku. Jednak praca nad książką była opóźniona, ponieważ trudno było przełożyć błyskawicznie wyrzucane przez nią słowa na jakąś formę literacką. Marianne powiedziała później, że nauczenie się wyrażania myśli na piśmie, było jednym z poważniejszych wyzwania, z jakimi miała do czynienia. Andrea Cagan, redaktorka, opowiada, jak wyglądała praca z tą zapracowaną autorką:

„Pracuje jak w oku cyklonu. Dzwonią telefony, w środku wszystkiego dziecko czegoś się od niej domaga. Nie ma chwili spokoju - bez telefonów, bez przerywania. Nie mam nigdy okazji, żeby pracować z w spokoju. Ani razu. Jej życie nie jest tak ułożone. Ona pracuje skokami. Wychodzi z pokoju, już jest z powrotem, coś je - to cała ona. Musiałam się więc do tego dostosować...

Cieężko jest mieć do czynienia cały czas z takim napięciem. Wielu ludzi jest nią przerażonych. A ona kiedy jest szczęśliwa, to jest szczęśliwa. Kiedy jest zła, to jest zła.

Kiedy jest się przy niej trzeba zachować zdrowy rozsądek.” (11)

Marianne Williamson nie tylko tak intensywnie żyje, jest też fanatycznie lojalna, jak mówi Cagan. Kiedyś zadzwoniła do Marianne z jakimś osobistym problemem, a ta „rzuciła to, co właśnie robiła, żeby pomodlić się ze mną przez telefon. Zrobiłaby dla mnie wszystko”. (12)

Na początku lat 1990, nawet jeszcze przed ukazaniem się i błyskawicznym sukcesem książki, Marianne Williamson zaczęła stawać się osobistością. Czerwcowy numer kobiecego magazynu *Vanity Fair* z 1991 roku zawierał reportaż pod tytułem „Marianne’s Faithful” [Wierni Marianny - gra słów nawiązująca do znanej w latach 1960-1960 piosenkarki Marianne Faithful- przyp. MB], którą otwierało dramatyczne zdjęcie Marianne w modnym różowym kostiumie, wyciągniętej omdlewająco na trawniku, ze stanowczym wyrazem malującym się na ściągniętej twarzy, wydającym się mówić ”Nie zaczynaj ze mną”. Być może w tym momencie przewidziała, że będzie musiała przybrać taką postawę, żeby stawić czoło czekającemu ją rozgłosowi i sławie.

### **Marianne, spotkaj się z prasą?**

Kiedy zapytałem Marianne Williamson, czy pozowałaby do *Vanity Fair*, gdyby wiedziała wtedy to wszystko, o czym wie teraz, odpowiedziała bez chwili wahania: „Na pewno nie. Byłam wtedy niewiarygodnie naiwna. Byłam jak owca prowadzona na rzeź”. Ale na początku zdawało się, że Marianne skorzysta z niemal boskiego przyjęcia przez amerykańską pop kulturę. Niebawem po tym, jak ukazał się reportaż w *Vanity Fair*, *Time* w bardzo przyjacielskim w artykule na pierwszej stronie napisał o niej jak o „Matce Teresie lat 90”, zauważając, że żaden inny nauczyciel Kursu nie ma takiej „show-biznesowej żywotności, którą Williamson wnosi w wykłady”. (Dla przeciwwagi w artykule zacytowano anonimowego „eksperta nowych ruchów religijnych w Kalifornii”, który zdyskwalifikował sam Kurs jako „chaotyczną idealną religię lat dziewięćdziesiątych, która pozwala obsesyjnym, zajęтым sobą, narcystycznym ludziom iść trwać przy swoim”). (13) Niedługo potem, Marianne Williamson prowadziła bardzo nagłośniony ślub Liz Taylor z Larry’em Fortensky’em, co jeszcze podniosło jej wizerunek w mediach. Potem był występ w

programie *Oprah* [Winfrey]. Wkrótce po wydaniu *A Return to Love* w lutym 1992 roku, ta najpopularniejsza gospodyni przedpołudniowego talk-show zaprosiła autorkę książki do swojego programu i oświadczyła, że kupiła egzemplarze dla wszystkich widzów obecnych w studio. Dzięki tej reklamie zaczęło się prawdziwe szaleństwo, Harper Collins w ciągu zaledwie paru miesięcy sprzedał 750 tysięcy egzemplarzy. Wkrótce Marianne Williamson zaczęła pojawiać się wszędzie: od programu Larry'ego Kinga w CNN po prasę brukową. Ale już wtedy szykowałą się przewidywalna reakcja na tę jej szybką sławę. Niebawem po debiucie Marianne w programie *Oprah* zarówno magazyn *People* jak i *Los Angeles Times* ujawniły, że rok poprzedzający opublikowanie pierwszej książki Marianne obfitował w Ośrodkach dla Życia na obu wybrzeżach w waśnie i zamęt. Styl zarządzania i osobowość Marianne uwikłały ją podobno w szereg kontrowersji, które dotyczyły dosłownie wszystkiego: od interpersonalnych kłopotów z pracownikami w Los Angeles po jej zamiłowanie do publicznych modłów, bardzo denerwujące jej zbierających fundusze kolegów z Nowego Jorku.

Odpryski tych problemów będą poważne: rezygnacja pracowników i członków rady Ośrodków dla Życia na obydwu wybrzeżach i idące za tym pełne wycofanie się Marianne Williamson z obu organizacji. Obecnie nowojorskie centrum już nie istnieje, a oddział w Los Angeles koncentruje się na projekcie Angel Food, za który Marianne dostała ich pierwszą Nagrodę Założyciela (Founder's Award) w 1995 roku. Marianne uczestniczyła również w imprezach dobroczynnych na rzecz ośrodków powoływanych niezależnie w Palm Beach, San Francisco i Denver. Mówi, że rozprzestrzenianie się idei, którą ona zapoczątkowała, daje jej „dumę odczuwaną przez matkę dorosłego dziecka, które robi coś pożytecznego”.

Ale te publicznie stawiane jej na początku lat dziewięćdziesiątych zarzuty, które obejmowały między innymi hipokryzję, autoreklamę, nadmiernie kontrolujący styl kierowania i gwałtowne usposobienie - wyraźnie ją dotknęły i bez wątpienia odegrały rolę w chwilowym przyćmieniu jej publicznego wizerunku. Chociaż w połowie lat dziewięćdziesiątych opublikowała jeszcze dwa bestsellery: *A Woman's Worth* (Wartość kobiety) i *Illuminata*, ograniczyła swoje publiczne występy i stała się mniej przystępna dla prasy. Kiedy zapytałem ją, jak ona sama scharakteryzowałaby swoje postępowanie w tym ekscytującym i trudnym okresie jej aktywności organizatorskiej, gdy była u szczytu sławy, nie ma zamiaru się usprawiedliwiać:

„Nie twierdzę, że nigdy nie wpadam w złość. Ale te opowieści pochodzą z czasu, kiedy byłam w ciąży, a organizowałam imprezy dobroczynne przynoszące grubo ponad milion dolarów i nie dostawałam za to ani centa. Ludzie często każą sobie płacić tysiące dolarów za tego rodzaju pracę. A ja, niezamężna, w ciąży, walczyłam samodzielnie, żeby związać koniec z końcem i spotykałam się z intrygami i sabotażem. Czy zdarzało się, że załamalam się pod tą presją? Tak. Ale nie sądzę, że wiele ludzi, mogłoby sobie z tym tak dobrze poradzić jak ja.”

W wywiadzie udzielonym w 1993 roku redaktorowi *Miracles Magazine* Paulowi Ferriniemu Marianne Williamson przyznała, że „Jestem rzeczywiście ostra... [ale] prasy nie irytowało to, że jestem zła, irytowało ją to, że jestem dobra”. (14) Kiedy trzy lata później proszę ją, żeby skomentowała szerzej tę uwagę, wyjaśnia: „ludzie mówili mi wówczas, że gazety nie mogą znieść tego, że mam słabości takie, jak każdy człowiek. Ale ja nie uważam, żeby to moje słabości tak je złościły, złościła je moja siła. Takie jest podłoże mizoginizmu: siła kobiet a nie ich słabości”.

Marianne Williamson jako niezwykle atrakcyjna kobieta mówiąca o duchowości i wewnętrznej przemianie, z pewnością stanowiła łakomy cel dla chronicznie cynicznego współczesnego dziennikarstwa - postawy, której dopiero od niedawna zaczęli przeciwstawiać się niektórzy przedstawiciele samej prasy. Jak James Fallows, waszyngtoński redaktor *Atlantic Monthly*, pisze w swej książce *Breaking the News*

(Przekazywanie wiadomości): „O ile dziennikarstwo uprawiane w epoce Woodwarta i Bernsteina można było określić słowem ‘dochodzeniowe’, obecnie takimi słowami mogą być zastraszenie i warczenie... ‘Twardość’ dzisiejszych mediów sprowadza się głównie do bezwzględnego postępowania a nie prawdziwej nieugiętości w reportażu, dochodzeniu czy próbie zmiany czegoś na lepsze.”(15)

Nietrudno odnaleźć taki bezwzględny stosunek w reportażach na temat Marianne Williamson z początku lat dziewięćdziesiątych. Typowym przykładem sposobu, w jaki o niej pisano, jest następujący fragment z magazynu *Mirabella* z 1993 roku, w którym zadawano retoryczne pytanie „Dlaczego więc wierni Marianne zwrócili się nagle przeciw niej?”

„Historia ta przypomina piękną baśń. Młoda, piękna kobieta o porcelanowej, jasnej cerze, z twarzą Natalie Wood i gwałtownym charakterem przyjeżdża do Los Angeles, ponieważ chce pisać i śpiewać piosenki... a kończy się tak, że mówi o Bogu tysiącom smutnych gejów, wracającym do zdrowia alkoholikom i narkomanom, wegetarianom New Age, duchowo zablokowanym yuppies, producentom Hollywoodu i gromady innych, którzy zapominali o nauce est” (16) [Werner Erhard Seminar Training].

To niezbyt delikatne pomniejszanie ludzi interesujących się sprawami duchowymi lub samodoskonalenia jest w prasie powszechne i odzwierciedla nieumiejętność większej części dziennikarzy sprawiedliwej oceny wartości procesów introspekcyjnych i duchowych.

Na skutek takiego stawiania sprawy, o historii nauczycielki takiej jak Williamson mówi się tak, jakby chodziło o konkurs, w którym stawką jest popularność, przy czym podczas tego zabiegu niektóre fakty są z konieczności wykrzywiane. Na przykład, nie ma żadnych dowodów na to, żeby jakaś większa grupa wiernych słuchaczy Marianne „zwróciła się przeciw niej”. Jeśli chciałoby się być dokładnym, trzeba by raczej powiedzieć, że Marianne zraziła do siebie paru bliskich niegdyś znajomych, a w wielu osobach, które znały ją tylko z doniesień prasowych, wywarła złe wrażenie.

Po przejrzeniu wycinków prasowych z paru lat, widać jednak wyraźnie, że dziennikarzom nie udało się dokopać do tyłu brudów na temat Marianne Williamson, na ile mieliby ochotę, wzięwszy pod uwagę, że nadali jej obciążającą (i niechcianą) etykietkę „guru”. Ponieważ ona zawsze na wykładach i w nagraniach mówiła otwarcie o swoich kłopotach i słabościach, w ostateczności wygląda po prostu na osobę mającą liczne wady, która raczej przecenia swoje możliwości, niż jest hipokrytką. Pomimo że zarobiła duże pieniądze na honorariach za książki, nigdy nie padł na cień cień podejrzenia o zachłanność czy jakiegokolwiek finansowe machlojki. Niemal legendarna jest jej szczodrość i hojność. I tak jak prawie wszyscy nauczyciele zainspirowani nauką Kursu, nigdy nie twierdziła, że jest „guru” czy idealnym ucieleśnieniem duchowego przesłania, który przekazuje.

„Nikt z nas nie głosi, że jest wzorem do naśladowania” zauważa Beverly Hutchinson z Centrum Upowszechniania Cudów, która pracowała z Marianne na seminariach i imprezach dobroczynnych. „Myślę, że prawdziwego nauczyciela Kursu można od razu rozpoznać po tym, że mówi, że sam jest jeszcze adeptem i będzie nim zawsze”. A sam Kurs mówi o „nauczycielach Boga”: „Nie są oni doskonali, inaczej, nie byłoby ich tutaj”. (17)

### **Zamiana żywiołowości na głębię**

Po dwunastu latach wykładów na temat Kursu Cudów, Marianne Williamson uważa, że jest „w zupełnie innym stadium życia. Jestem mniej żywiołowa i chyba wywieram mniejsze powierzchowne wrażenie. Chciałabym wierzyć, że mam głębszy wgląd, choć nie jestem już tak szybka w formułowaniu sądów”.

Ukończywszy niedawno czwartą już książkę - *The Healing of America* (Uzdrowienie Ameryki) - i przedsięwziąwszy ambitny projekt internetowy (zobacz Dodatek, gdzie są

adresy strony www), Marianne Williamson nadal regularnie wykląda i od niedawna zaczęła się znowu pojawiać w tak prestiżowych programach jak *Oprah*, czy talk-show Larry'ego Kinga. Ponieważ sam Kurs jest już lepiej znany, zogniskował się teraz na niej stosunkowo łagodny spór w łonie społeczności Kursu na temat „czystości” jej interpretacji. Inni weterani Kursu, chociaż od dawna przyznają jej zręczną umiejętność dostrzegania duchowego znaczenia w typowych problemach ludzkich, oskarżają ją czasami o to, że w trakcie swych publicznych występów nie przekazuje „poważniejszego” sensu Kursu Cudów - w grę wchodzi także sprawa duchowego autorstwa, i mają jej za złe, że z filozofią Kursu miesza inne idee, na przykład astrologię.

„Nie mówię o autorstwie Kursu ani jego teologii dopóki ktoś mnie o to nie zapyta” przyznaje. „Ale proszę spojrzeć, gdzie jestem zapraszana. Larry King nie zapyta o poważniejsze teologiczne zasady Kursu, tak samo jak Dick Cavett czy Lauren Hutton. Jestem przekonana, że Carl Sagan w telewizji mówi o nauce inaczej niż na konferencji naukowej. Od lat w swoich wykładach nauczałam zasad Kursu; to jest tak, jakby się było buddystą, który nie zawsze mówi o buddyzmie”.

Williamson widzi również, że szersze zasady Kursu są uniwersalne. „Pewien rabin powiedział kiedyś, że wszystko to, co pociąga mnie w Kursie, znalazłabym też w judaizmie. Odpowiedziałam więc: ‘W takim razie, powinien był mnie rabi tego nauczyć’. Gdybym w młodości poznała mistyczne źródła judaizmu, prawdopodobnie miałabym dziś wykłady na temat Kabały. Po prostu nikt mi nie powiedział o tym, kiedy była okazja”. Czy Kurs pozostanie cały czas ważny dla Marianne Williamson? „Dla tych z nas, którzy patrzą na Kurs w taki sposób, jest on słowem Jezusa” mówi łagodnie. „Kiedy Jezus wejdzie do twojego serca, myślę, że nie ma wątpliwości, że już zawsze będziemiał w nim miejsce. On staje się twoim sercem, On jest twoim sercem”. Teraz charakterystyczny pośpiech, z którym zawsze mówi, ustępuje, wydaje się, że zaczęła mówić z wewnętrznym spokojem, który wyraźnie był jej niedostępny w młodości.

„Nie znalazłam spokoju w życiu tylko dlatego, że trafiłam na Kurs” wyjaśnia. „Znalazłam spokój, ponieważ znalazłam sposób na przeżywanie świadomego kontaktu z Bogiem”.

## **CZĘŚĆ II**

### **Zrozumieć Kurs**

#### **Rozdział 5**

##### **Wyższe studia:**

##### **Rozmowy z Kennethem i Glorią Wapnickami**

Patrząc o letnim wschodzie słońca na eteryczną mgielkę unoszącą się nad wielkim jeziorem Tennesah, myślę, że Kurs może mówić prawdę o nieautentyczności materialnego świata, zwłaszcza jeśli przyjeżdża się tu po dwu i półgodzinnej podróży z Nowego Jorku. W porównaniu z nieustannym jazgotem metropolii, ten kojący pejzaż w łagodnie wznoszących się górach Catskills wydaje się niemal za prosty i zwyczajny, żeby mógł być prawdziwy. Człowiek ma tu uczucie, że zbliża się do końca spokojnego porannego snu, który rozplynie się nagle przy najmniejszym ruchu czy cichym dalekim wezwaniu. To właśnie w tym miejscu nad jeziorem Tennesah - centrum nauczania i oazy Fundacji Kursu Cudów (FACIM) jest zdeponowany rękopis Kursu. Przewieziono go tutaj z niezbyt odległego miasta, w którym został spisany. Jest to także dom ostatniego żyjącego uczestnika powstawania Kursu. W 1973 roku Kenneth Wapnick miał trzydzieści jeden lat. Wtedy po raz pierwszy zobaczył zapisane na maszynie tomy, które później będą znane jako Kurs Cudów. „Padłem na kolana” wspomina. „Pomyślałem, że jest to najpiękniejsza rzecz, jaką czytałem od czasów, kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z dziełami Szekspira, która rzeczywiście ma coś do powiedzenia. Już po paru dniach zdecydowałem, jak odtąd będzie



wyglądało moje życie”. Wapnick spędził następny rok redagując wraz Helen Schucman rękopis linijkę po linijce, w ciągu paru następnych lat stał się nauczycielem Kursu i z drugą żoną Gloria założyli Fundację Kursu Cudów.

Fundacja zajmuje pięciopiętrowy budynek po dawnym hotelu oraz niewielki budynek biurowy, oba wychodzące na jezioro Tennenah. Po przeciwnej stronie wąskiej wiejskiej drogi mieści się sześć domów, w których mieszkają studenci uczęszczający na zajęcia Wapnicków i paru innych nauczycieli pod auspicjami Instytutu Nauczania Wewnętrznego Spokoju poprzez Kurs Cudów (Institute for Teaching Inner Peace Through a Course in Miracles) przy FACIM. ( W 1995 roku ITIP-FACIM został uwzględniony w New York State Education Law oraz zarejestrowany przez stanową Board of Regents. Mimo że Instytut nie przyznaje stopni akademickich, może przy współpracy z innymi college’ami i uniwersytetami oferować punkty kredytowe konieczne do uzyskania stopni, między innymi także w zakresie kształcenia ustawicznego osób pracujących zawodowo.)

Teren Fundacji obejmuje dziewięćdziesiąt pięć akrów ziemi, są więc możliwości dalszego rozwoju, a już teraz może się tam pomieścić sto pięćdziesiąt osób przebywających przez okres od jednego weekendu do roku. Personel składa się wyłącznie ze studentów Kursu, którzy pracują za stypendium plus mieszkanie i wyżywienie. Chociaż paru studentów mieszkało w kampusie do półtora roku, oferowane są też programy studiów trwające do dwunastu miesięcy, Wapnickowie powstrzymują studentów przed przywiązywaniem się do kampusu na stałe. „Nie mamy tutaj atmosfery kultu” uważa Gloria ”i czynnie się jej przeciwstawiamy”.

W istocie, atmosfera FACIM bardziej przypomina atmosferę niewielkiego college’u niż duchowej enklawy. Chociaż wiszą tam obrazy Jezusa i inne symbole religijne, na terenie FACIM nie ma ani kaplicy, ani pokoju do medytacji, nie odprawia się żadnych nabożeństw ani modlitw. Właściwie poza lekcjami prowadzonymi w dwu obszernych salach na parterze głównego budynku, nie ma tam prawie wcale innych zorganizowanych zajęć. Chociaż lekcje i seminaria o różnym czasie trwania noszą nazwy takie, jak „Charakter snów”, „Od czasu do nieskończoności” i „Badanie naszych związków z Bogiem”, większość sesji opiera się na dyskusjach na tematy ogólne. „Prace domowe” zadawane są z dnia na dzień na kursach przewidzianych na dłuższy okres czasu, a generalnie atmosferę na ćwiczeniach i seminariach można opisać jako swobodną, ale mimo to pracowitą.

Słuchacze mają dostęp do czynnego odpoczynku różnego rodzaju: shuffleboarding, tenisa, wędrówek, pływania, wiosłowania, ale jeśli ktokolwiek spodziewałby się w FACIM luksusowych wakacji, byłby rozczarowany. Pokoje są wygodne, jednak obsługa jest minimalna, nie ma codziennej zmiany pościeli i ręczników. Dzieci i zwierzęta domowe nie są przyjmowane. W kampusie są tylko dwa publiczne telefony. W większości pokoi jest kuchenka; Instytut prowadzi także stołówkę. Standardowa opłata wynosi średnio sześćdziesiąt pięć dolarów dziennie, w co wliczone jest czesne, zakwaterowanie, materiały dydaktyczne i niektóre posiłki w kampusie.

Słuchacze często skarżą się na spartańskie warunki w FACIM, na co administracja tego ośrodka reaguje sprecyzowaniem czym jest FACIM, mówiąc o tym, czym nie jest.

„Musimy czasem przypominać ludziom, że to nie jest hotel” mówi Gloria i dodaje przewrotnie: „niektórym musieliśmy powiedzieć, że to nie jest też motel”.

Na ogół Fundacja nie ma wielu problemów z zachowaniem studentów, co prawdopodobnie wynika z faktu, że większość z nich stanowią osoby w średnim wieku i starsze, które często przyjeżdżają tutaj po to, by oddawać się intensywnym refleksjom i studiom. Gloria przypomina sobie kobietę mieszkającą parę miesięcy w FACIM, która przyjechała po przejściach rozwodowych, śmierci jednego z rodziców, przykrego rozstania z dziećmi i śmierci ukochanego konia - które to wydarzenia miały wszystkie miejsce w przeciągu pół roku przed jej przybyciem.

„Przyjeżdża tu wiele cierpiących osób” wyjaśnia Gloria, „ponieważ ludzie na całym świecie cierpią z powodu wstrząsów w naszej kulturze. Małżeństwa się rozpadają, ludzie tracą pracę, martwią się o dzieci i tak dalej. Wielu naszych słuchaczy zadaje pytanie ‘O co w tym wszystkim chodzi’, ponieważ ich życie ulega rozsypce”.

Ale Ken zaprzecza, gdy tylko ktoś usiłuje zobaczyć w FACIM misję duchowego ratownictwa. „Staramy się stawiać sprawę jasno, że nie jesteśmy tutaj po to, żeby rozwiązywać czyjekolwiek osobiste problemy. Wyjaśniamy jedynie studentom zasady Kursu. Studiowanie Kursu może złagodzić ich kryzys, ale my tego nie możemy zrobić”. W porównaniu zatem z wieloma innymi szkołami i kościołami Kursu oferującymi wszystko począwszy od grup modlitewnych po cotygodniowe nabożeństwa, w Fundacji Kursu Cudów panuje zdecydowanie atmosfera intelektualna i kontemplacyjna. Nie powinno to dziwić nikogo, kto pozna historię życia Kennetha Wapnicka.

### **„Bardzo dziwny chrześcijanin”**

Wapnick mimo iż wychował się w żydowskim domu i chodził do hebrajskiej szkoły, w szkole średniej uznawał się już za agnostyka, którego jedynymi „duchowymi mistrzami” byli Mozart i Beethoven. Jako temat pracy doktorskiej z psychologii wybrał jednak mistyczkę świętą Teresę z Avila, uważając, „jej wszystkie odniesienia do Boga i Jezusa za metaforę czegoś innego”.

Po bolesnym rozpadzie pierwszego małżeństwa w 1970 roku, Wapnick zaczął sobie zdawać sprawę, że jego życie staje się coraz bardziej samotne i zakonne i zabrał się do czytania dzieł Thomasa Mertona. Lektura ta zaprowadziła go do wizyty w Opactwie Gethsemane, w którym Merton mieszkał i to tam, Wapnick postanowił, że zostanie zakonikiem. Przyjął chrzest katolicki i odwiedził dwa klasztory w Izraelu, wybierając jeden z nich w Galilei jako miejsce, w którym miał osiąść. Właśnie ta paradoksalna droga duchowa - Żyda agnostyka nawróconego na katolicyzm i chcącego wstąpić do zakonu w Izraelu - sprawiła, że Helen Schucman scharakteryzowała później Wapnicka jako „bardzo dziwnego chrześcijanina”.

Przed wyjazdem Wapnicka do Izraela pewien przyjaciel, który znał jego prace łączące mistycyzm z psychologią, przedstawił go Helen Schucman i Billowi Thetfordowi. Podczas pierwszego wspólnego wieczoru ktoś wspomniał o książce „napisanej” przez Helen Schucman i Wapnick po raz pierwszy w kącie mieszkania Billa Thetforda zobaczył siedem czarnych grubych skoroszytów zawierających materiały Kursu. Ale nie zajrzał do nich jeszcze wtedy. Pojechał do Izraela i spędził tam dwa miesiące w oddalonym górskim zakonie w rejonie Galilei, który wybrał jako końcowy przystanek swoich duchowych poszukiwań.

Jednak w Izraelu Wapnick miał dwa razy sen o nieznannej „świętej księdze” i po przyjeździe do Nowego Jorku, chcąc definitywnie zakończyć swoje sprawy w Ameryce, stwierdził nieoczekiwanie dla samego siebie, że ma wielką ochotę przeczytać rękopis, o którym usłyszał parę miesięcy wcześniej. Następujący fragment z *Absence from Felicity* (Z dala od szczęścia) zwięźle mówi o formach towarzyskich przyszłego mnicha:

„Helen pamięta, że wszedłem w drzwi i powiedziałem ‘Dzień dobry, przyszedłem; gdzie jest ta księga?’ Chociaż wiem, że bardzo mi się spieszyło, żeby zobaczyć te materiały, wątpię, że mógłbym tak całkiem zapomnieć o dobrych manierach. Powiedziałbym przynajmniej ‘Dzień dobry? *Co słychać?*’ i dopiero wtedy ‘Gdzie jest ta księga?’.

Oczywiście nie mogłem się doczekać, kiedy zobaczę rękopis Helen”. (1)

Dalej Wapnick pisze: „szybko zorientowałem się, że Kurs Cudów jest dziełem mojego życia, Helen i Bill stanowią moją duchową rodzinę i że nie powinienem wstępować do zakonu, lecz pozostać z nimi w Nowym Jorku”. (2)

Czy zawsze wydawało mu się wiarygodne to, że Kurs został przekazany za pośrednictwem Helen Schucman? „Pokładałem olbrzymią wiarę w Helen i ufałem jej bez zastrzeżeń”

deklaruje Ken. „Wiedziałem, że była najuczciwszą osobą na świecie i jej relacja z tego, co się zdarzyło, przemawiała do mnie.” Wapnick od samego początku był też przekonany, że było niemożliwością, żeby dr Schucman sama napisała cały tekst. „Kiedy Helen i ja redagowaliśmy ten materiał, czasami nie rozumiała niektórych fragmentów. Czytaliśmy coś wtedy na głos, a ona wybuchnęła śmiechem, mówiąc ‘Nie rozumiem, co to znaczy!’ A więc ten najpierwszy raz, kiedy nauczałem Kursu, był wtedy, gdy pomagałem Helen w zrozumieniu jego sensu”.

W przeciwieństwie do innych wybitnych studentów Kursu - łącznie z Billem Thetfordem (zobacz Rozdział 2) - Wapnick był zawsze święcie przekonany, że źródłem Kursu jest historyczna postać Jezusa Chrystusa (który według niego nie jest dość dokładnie przedstawiony w Biblii). Ale dlaczego Jezus do komunikowania się ze współczesnym światem miałby wybrać tak szczególną metodę - przekazanie swego przesłania za pośrednictwem umysłu psychologa o ambiwalentnym stosunku do religii.

„Helen była rozdarta” Wapnick przyznaje, „ale jej pewna część operowała na bardzo wysokim poziomie duchowym. Na tym poziomie mogła uformować związek z Jezusem w celu przekazania Kursu. W pewnym sensie, można powiedzieć, że Helen została psychologiem po to, żeby Kurs mógł zaistnieć w taki właśnie sposób i w formie pasującej do naszego wieku psychologii.

„Helen była freudystką, która bardzo dobrze rozumiała psychoanalizę” dodaje Wapnick. „Myszę, że to dlatego Kurs tak bezpośrednio wychodzi naprzeciw potrzebom współczesnych zachodnich umysłów. Jestem przekonany, że dzieło Freuda wywarło niezwykle silny wpływ na rozwój duchowy naszej kultury. Dzisiaj naszym ulubieńcem jest Jung, a Freud jest uważany za ‘tego złego’, ale pomimo jego aktywnego oporu wobec religii, uważam, że duchowy wkład Freuda był niezwykle. Nawet Jung powiedział ‘Jestem jak Jozue stojący na ramionach Mojżesza”.

### **Nieusatisfakcjonowana tajemnica**

Glorię Wapnick (z domu Malatino) do wstąpienia na tę radykalną duchową ścieżkę skłoniło doświadczenie wspólne wielu ludziom: w religii jej dzieciństwa nie wszystko się zgadzało. „Byłam wychowywana jako katoliczka” wspomina „i nigdy nie mogłam zrozumieć jak miłosierny Bóg mógł stworzyć świat, w którym jest tyle bólu, cierpienia i nędzy. Księża, których o to pytałam, nie potrafili dać satysfakcjonującej odpowiedzi; mówili po prostu, że jest to tajemnica. I chociaż we wczesnej młodości chciałam zostać zakonnica, w końcu stwierdziłam, że jeśli Boga stać było na stworzenie tylko takiego świata, to mnie taki Bóg jest do niczego niepotrzebny. Więc odeszłam od kościoła, co bardzo zmartwiło moich rodziców.”

Chociaż w szkole średniej i w college’u nie ustawała w poszukiwaniach różnych dróg, nie znalazła jednak takiej perspektywy duchowej, która dawałaby jej „pełne poczucie sensu i celu życia” i która wyjaśniałaby „o co w tym wszystkim chodzi”. Gloria wyszła za mąż, wychowała dwójkę dzieci, rozwiodła się, ale przez cały czas szukała głębszego znaczenia w życiu. Przyjaciółka poradziła jej, by udała się do Pat Rodegast, medium i znanej „przełożniczki” nauk Emmanuela. Gloria poszła do niej „z czystej ciekawości” i usłyszała, że „znajdzie to, czego szuka” w Wainwright House, centrum seminariów świadomości w Rye, stanie Nowy Jork. Zapisła się na sympozjum na najbliższy weekend i kiedy tam się znalazła, poczuła, że musi iść na seminarium na temat Kursu Cudów .

„Tego samego wieczora zaczęłam czytać Kurs. Kiedy doszłam do zdania, że Bóg NIE stworzył świata, poczułam się, jakby uderzył we mnie piorun. To było takie proste i jasne, a nigdy nie wpadłam na to, bo byłam tak bardzo zła na Boga”.

Niedługo potem Gloria poznała Kena na jakiejś konferencji. Na kolejnym spotkaniu przyznała mu się, że nie może pozbyć się strachu przed dwoma rzeczami: wysokością i węzami. Po wysłuchaniu powodów, dla których mogłyby ją gnębić te właśnie fobie, Ken

powiedział: „Ale to nie jest to, czego się naprawdę boisz. Ty po prostu uciekasz przed Jezusem”.

„Kiedy to powiedział, coś zaskoczyło” wspomina Gloria. „Musiałam odejść od stołu i przeplakałam całą noc. Wiedziałam, że będę musiała jeszcze porozmawiać z Kenem. Otworzył coś, co tkwiło bardzo głęboko we mnie i czułam, że muszę się dowiedzieć, co to jest”.

Gloria poznała Kena pod koniec lat siedemdziesiątych, uczyła wtedy historii w szkole średniej i była dziekanem do spraw uczniów. Mimo, że Ken porzucił już ambicję zostania mnichem, twierdził, że „Życie w celibacie nie było dla mnie problemem” i że „Gloria wcześniej zorientowała się” (3), że między nimi coś zaczyna się dziać. Gloria i Ken pobraли się w 1981 roku i w 1982 roku założyli Fundację Kursu Cudów, która została zarejestrowana w styczniu następnego roku. Ich pierwsza szkoła mieściła się w Ardsley, stanie Nowy Jork, w ich własnym domu i małym garażu, który przerobili na biuro. Następnie przenieśli ją do swego drugiego, większego już domu na przedmieściach Peekskill. Ta jednoakrowa posiadłość, w której razem z Wapnickami mieszkali rodzice Glorii, jeden z jej synów oraz trzech pracowników Fundacji, szybko okazała się niewystarczająca dla rozwijającej się działalności FACIM; w 1988 roku dzięki dotacji zakupiono posesję w Roscoe. Pomimo umiarkowanego czesnego obowiązującego adeptów, FACIM jest w ostatnich latach wypłacalna, jej dochody pochodzą głównie z opłat za program, sprzedaży książek i kaset. Rozważa się nawet zbudowanie nowych sal studyjnych oraz apartamentów.

### **Czym nie jest Kurs**

Ponieważ Kurs jest współczesną syntezą psychologicznych i spirytualnych wątków występujących w wielu tradycjach, często słyszy się o nim, że jest „bardzo podobny” do innych ścieżek duchowych, a takiej charakterystyce Wapnickowie zawsze stanowczo się sprzeciwiają.

„Poświęcamy dużo czasu, żeby pomóc zrozumieć ludziom, czym Kurs nie jest” mówi Ken. „To nie jest biblistyka ani judaizm, ani chrześcijaństwo, ani nauka chrześcijańska, ani New Age, ani Joel Goldsmith, ani Edgar Cayce. Najczęściej popełnianym błędem jest to, że ludzie nakładają na Kurs swoje poprzednie duchowe ścieżki. To naturalny błąd, ale tak długo, jak się w nim tkwi, nie można zrozumieć przesłania Kursu”.

A co takiego głosi Kurs, co odróżnia go od innych ścieżek?

„W zasadzie Kurs mówi, że jedynie duch jest rzeczywisty i nie ma nic poza nim. Mówi także, że Bóg nie ma nic wspólnego ze światem materialnym. Natomiast poza inne tradycje wykracza dopiero wtedy, gdy mówi, że my sami stworzyliśmy świat, tak samo jak czas i przestrzeń, usiłując w ten sposób targnąć się na Boga.”

Jak można przeczytać w samym Kursie:

„Świat powstał jako zamach na Boga. Symbolizuje strach. A czym jest strach, jeśli nie brakiem miłości? Zatem świat został zaplanowany jako miejsce, do którego Bóg nie będzie miał wstępu i w którym Jego Syn będzie od Niego oddzielony.” (4)

To przesłanie jest tak trudne do przyjęcia dla niektórych adeptów Kursu, mówi Ken Wapnick, że „zmieniają oni jego treść, twierdząc, że słowa Kursu znaczą, że Bóg nie stworzył *okropności* tego świata. Ale Kurs mówi całkiem wyraźnie, że cały świat fizyczny nie jest dziełem Boga lecz naszym.”

Gloria dodaje: „To jest jedyna koncepcja, która budzi tak straszliwy opór. Ludziom bardzo trudno się z nią pogodzić, ponieważ z tego faktu bezpośrednio wynika, że Bóg nie jest odpowiedzialny za ten świat jest to, że my jesteśmy za niego odpowiedzialni. A to oznacza, że musisz wziąć odpowiedzialność za swoją egzystencję i wszystko co się z nią wiąże, a kto tego chce?”



Rzeczywiście, większość ludzi ma kłopoty z przyjęciem odpowiedzialności za swoje zachowanie na co dzień, nie mówiąc już o egzystencjalnej kondycji świata szeroko pojmowanego. Chrześcijański psychiatra M.Scott Peck w swym psychospirytualnym bestsellerze *Drogą mniej uczęszczaną* sugeruje, że wyzwaniem stojącym przed psychoterapią nie jest naprawdę doprowadzenie ludzi do tego, by zobaczyli, co jest złe w ich życiu, ale doprowadzenie ich do tego, by zrobili coś z tym, co zobaczą. Pytam Kena, czy to podejście jest podobne do wyzwania odpowiedzialności, jakie Kurs stawia swoim studentom.

„Nie zgadzam się we wszystkim z Peckiem” mówi Ken. „Myślę, że większość ludzi ma świadomość, że coś w ich życiu jest złe, ale nie wiedzą, co to jest, a jest to ich stała decyzja, że pozostaną oddzieleni od Boga. Zrozumienie czegoś tak prostego wymaga wiele pracy. Ale gdy już uda ci się dojść tak daleko, automatycznie ‘wybierzesz od nowa’, jak formułuje to Kurs. W momencie, kiedy widzisz jasno, jakie masz przed sobą wybory, i kiedy zrozumiesz, że tylko ty sam jesteś odpowiedzialny za swoje życie, ponieważ jest ono *twoim* snem - dokonasz właściwego wyboru.”

Czy to „wybieranie od nowa” można porównać z ewangelickimi pojęciami „bycia zbawionym” lub „ponownymi narodzinami”? Ken odpowiada, że właściwym sensem wyboru implikowanego przez Kurs jest raczej nieustanny proces wzrostu a nie objawienie zbawienia. „Kiedy raz wybierzesz inaczej” wyjaśnia, „odkryjesz, że musisz dokonać jeszcze kolejnego wyboru, że pod tą warstwą znajduje się wiele innych. Jest to proces rozkładania świata, który sami źle stworzyliśmy. Ego wymyśliło czas i przestrzeń po to, żeby oddzielić przyczynę świata, czyli nasz wybór, że będziemy weń wierzyć, od skutku, po to byśmy doświadczali bólu świata nie zdając sobie sprawy z tego, że jesteśmy jego jedyną przyczyną”.

Takie pojmowanie przez Wapnicków Kursu i jego wyzwania, iż jest to dyscyplina polegająca na przyjmowaniu przez całe życie przytłaczającej odpowiedzialności, stawianiu pod znakiem zapytania własnego fundamentalnego postrzegania i na uczeniu się, jak zrezygnować z egocentryzmu na rzecz duchowego przewodnictwa - sprawia, że są oni szczególnie zaniepokojeni tym, że ludzie mogą patrzeć na Kurs jak na duchowość w stylu pop, która obiecuje rozwiązanie wszystkich ziemskich problemów człowieka poprzez modlitwę lub medytację. Ten niepokój kazał im sceptycznie odnosić się do popularyzatorów Kursu takich jak Marianne Williamson, która w swej trzeciej książce *Illuminata* podaje konkretne modlitwy odnoszące się do takich codziennych spraw jak pieniądze, seksualność, choroba i nałogi.

„Wiele osób, które przeczytało książki Marianne przyjeżdża tutaj na nauki” mówi Gloria „i niektórzy z nich zadają nam w końcu pytanie, czy to jest ten sam Kurs, o którym ona mówi. Ludzie przyjeżdżają tu z przekonaniem, że przesłanie Kursu brzmi ‘Módl się do Boga, a twoje modlitwy zostaną wysłuchane’, a nie o to przecież chodzi”.

„Kurs mówi, że prawdziwa rola Jezusa czy Ducha Świętego nie sprowadza się do rozwiązania twoich problemów za ciebie” dorzuca Ken „ale do tego, by być miłą obecnością w twoim umyśle, która przypomina ci, byś nie przyjmował świata czasu i materii jako prawdziwego. Łącząc się z Jezusem, korygujesz swą błędną percepcję. A to jest bardzo różne od modlenia się, by Jezus rozwiązał twoje problemy na tym świecie lub żeby ci powiedział, co masz robić.”

Czy to oznacza, że osoby, które trafiły do Kursu za pośrednictwem Marianne Williamson czy New Age, będą prawdopodobnie rozczarowane tym, co zastaną w Roscoe? „Nie wiem, czy nazwałabym to rozczarowaniem” zastanawia się Gloria, „ale ludzie muszą zacząć zdawać sobie sprawę, że Kurs nie jest jakąś magiczną, łatwą ścieżką prowadzącą do spełnienia. Jest to poważne zadanie, które wymaga od nich mnóstwa nauki i wysiłku”. Gloria uważa, że problem leży również częściowo w tym, że nasze całe społeczeństwo jest przyzwyczajone do odbierania natychmiastowej gratyfikacji. „Często widzę, jak ludzie

chcieliby, żeby coś stało się błyskawicznie. Nowi uczniowie mają tendencję, by widzieć w Kursie lub Jezusie czarodziejską różdżkę, która rozwiąże ich problemy i da im wszystko, czego chcą. Ale kiedy zaczynają orientować się, że Kurs wymaga niezwykle ciężkiej pracy - trzeba na przykład stale zwracać uwagę na to, co wyczynia twój umysł - wykruszają się, o ile nie podchodzą do niego poważnie.

„Kolejną rzeczą, której Kurs wymaga od ciebie jest próba uwolnienia się od uraz i nieustanna praca nad przebaczeniem” dodaje Gloria. „A przebaczenie jest *najostatniejszą* rzeczą, którą większość ludzi chciałaby zrobić. Kurs podważa fundamenty ego i to jest przerażające. To jest prosta droga, ale bardzo trudno na nią wejść”.

Skoro Wapnickowie nie traktują Kursu jako systemu psychologicznej samopomocy w popularnym znaczeniu, jak według nich on działa?

„Ponieważ studenci Kursu uczą się, że muszą przyjmować odpowiedzialność za wszystko, co myślą i robią, w końcu stają się coraz mniej skłonni, by racjonalizować swoje ego i poczucie krzywdy” podsuwa Ken. „To nie znaczy, że ich ego znika. Ale naprawdę zaczynają rozumieć, że to ego jest winne ich problemom. Znajdują nadzieję w świadomości, że nie muszą zmieniać całego świata lub innych ludzi, żeby znaleźć spokój”.

„Przed Kursem, miałam tendencję do obwiniania innych za wszystko, co mi się zdarzało” przyznaje Gloria. „Wszyscy mamy taką tendencję. Po Kursie, zrozumiałam, że musi się wziąć odpowiedzialność za swoje życie. Nie jest się korkiem unoszącym się na falach oceanu życia, targanym falami i burzami”.

Chociaż wyraźnie widać, że niektórzy odnajdują w Kursie „łagodniejsze” przesłanie niż to, które przekazują Wapnickowie, lub biorą pod uwagę tylko te jego części, które oferują pocieszenie, jest mnóstwo opowieści o studentach, którzy czują tak wielki opór wobec nauczania o przyjęciu tej wyjątkowej odpowiedzialności, że niektórzy mszczą się na samej książce. Słyszałem o ludziach, którzy ciskali Kursem po pokoju, wrzucali go do rzeki, a nawet polewali benzyną z zapalniczek i podpalali. Rekordzistą jest chyba mężczyzna, który skarży się, że „prawdopodobnie Fundacja Wewnętrznego Spokoju zrobiła na nim majątek”, ponieważ zniszczył co najmniej siedem egzemplarzy książki w trakcie studiów. A przecież wielu tych samych adeptów kupuje nowe egzemplarze i wraca do studiowania. I tu pojawia się natychmiast pytanie, co sprawia, że nie rezygnują? Dlaczego studiowanie Kursu Cudów daje satysfakcję?

„Może tę satysfakcję daje poczucie nadziei, jaką czerpie się z Kursu” sugeruje Ken. „Nie jest to naiwna nadzieja, że Bóg lub Duch Święty zstąpi i zdejmie z twych barków wszystkie problemy, ale prawdziwa nadzieja, że możliwość szczęścia zależy tylko od ciebie samego. Nawet jeśli nie dokonałeś pełnego wyboru, wiesz, że możesz w końcu zmienić zdanie, prosząc Jezusa o pomoc”.

„Kurs działa, jeśli stosujesz jego nauki” stwierdza Gloria „i jeśli prosisz o pomoc i poprawę. Kurs przypomina ci, że Jezus i Duch Święty są zawsze obecni i dostępni w twoim umyśle. Wielu adeptów Kursu przekonało się, że *nic* nie działa prawidłowo w tym świecie, żaden system ekonomiczny, żaden system polityczny, żaden system religijny. Ludzie ci zdali sobie sprawę, że chcą się przebudzić ze snu i uznają, że w tym przebudzeniu pomoże in Kurs”.

Ken dodaje, że jego zdaniem trudność Kursu jest skutkiem świadomego zamysłu, wyraźnego nie tylko w psychologicznym wyzwaniu, jakie stawia, ale również w języku, jakim jest napisany. „Myślę, że nie przypadkiem budowa zdań jest taka trudna. Jeśli ktoś lubi Szekspira, będzie zachwycony tym stylem, ale przez to wcale nie będzie mu łatwiej go zrozumieć. Pojęcia nie są tłumaczone linearnie, gdzie byłyby podawane definicje, a jedno zasady wynikały logicznie z drugich. Logika Kursu jest raczej okrężna, a nawet nazwałbym ją symfoniczną. Styl Kursu zmusza do poświęcenia dużo czasu na to, żeby go pojąć, zмагаć się z nim, a nawet stawiać mu opór. Celem tego procesu jest pomoc w zerwaniu z trybem myślenia reprezentowanym przez ego. Niektórzy mówią, że całe to

zmaganie się nie jest naprawdę potrzebne, ale ja wierzę, że Kurs powinien być doświadczany właśnie w ten sposób”.

Dla początkujących najtrudniejszym chyba wyzwaniem obecnym w Kursie, jest odróżnienie głosu własnego ego od głosu Ducha Świętego. Czy jest jakiś sposób, żeby móc z całą pewnością powiedzieć, czyjego przewodnictwa się słucha?

„Kurs podaje pewne sposoby, żeby to rozróżnić” mówi Ken „i jeden z nich jest taki, że gdy słuchasz wskazówek Ducha Świętego, nie odczuwasz wcale lęku. Ale tak naprawdę to pytanie jest źle postawione. Problem polega nie na tym, jak się przekonać, czyjego głosu się słucha, ale na tym, jak usunąć przeszkody uniemożliwiające usłyszenie głosu Ducha Świętego, to znaczy poczucie winy i poczucie wyjątkowości ego. W im większym stopniu uda ci się zlikwidować te przeszkody, tym możesz mieć większą pewność, że usłyszysz głos Ducha Świętego. Pytanie „kto jest kim?”, będzie wtedy stawało się coraz mniej ważne”.

Gloria dodaje, że studenci Kursu nie powinni oczekiwać, że Duch Święty będzie przemawiał do ich umysłów tak wyraźnie, jak mówił do Helen Schucman. „Duch Święty może dotrzeć do ciebie gdy śpisz, rozmawiasz przez telefon, gdy usłyszysz przypadkiem coś, co akurat „zaskoczy” dla ciebie. Ponieważ w Kursie rzeczywiście jest mowa o głosie, ludzie czasami gubią się w tym i myślą, że muszą jak najdosłowniej coś usłyszeć”.

### **Kurs na świecie**

„Purystyczne” interpretowanie Kursu przez Kena, wiąże się z tym, że jego zdaniem oznacza, że zasady Kursu Cudów nie powinny być przekładane na jakieś konkretne moralne czy polityczne stanowiska - a taka postawa budzi kontrowersje zarówno w społeczności Kursu jak i poza nią. Niektórzy krytycy interpretują Kurs jako drogę wyrzeczenia się odpowiedzialności społecznej (zobacz Rozdział 8). Z kolei Marianne Williamson, żeby podać jeden przykład, głosi słowo Kursu nie tając wcale swych liberalnych poglądów. Co Wapnickowie sądzą o tych różnych interpretacjach?

„Kurs w swej istocie jest systemem ćwiczenia umysłu” stwierdza Ken. „Z pewnością, ma żyć w świecie, ale myślę, że ludzie popełniają błąd, chcąc go zbyt dosłownie dopasować do spraw ziemskich. Skoro Kurs twierdzi, że świata nie ma, jest tylko sen o świecie, to znaczy, że jego celem nie może być udoskonalenie snu. Zależy mu tylko na tym, żeby zmienić umysł śniącego. Kiedy to się uda, sam sen automatycznie zmieni się również tak czy inaczej. Ale Kurs skupia się głównie na umyśle tego, który śni”.

Mimo, że Ken wyraża opinię, że „Jezus nie jest ani demokratą, ani republikaninem”, główne postaci związane z Kursem nie są wolne od politycznych afiliacji. O ile o Helen Schucman nie można powiedzieć, żeby aktywnie uczestniczyła w życiu politycznym, miała wyraźnie poglądy liberalno-demokratyczne. W sumie wydaje się, że osoby obecnie związane z FACIM i FIP - wydawcą Kursu, są liberałami, chociaż William Whitson z FIP, który pracował w urzędach państwowych, mówi żartobliwie, że często czuje się „rano jak demokrat, a wieczorem jak republikanin”.

Oboje Wapnickowie wywodzą się z kręgów liberalnych, chociaż Ken nie kwapi się do zajmowania jakiegoś stanowiska na temat aktualnych problemów. Jednak każdy, kto sądzi, że długoletnie studiowanie Kursu musi nieuchronnie prowadzić do politycznej apatii, na pewno nie rozmawiał choćby dziesięciu minut z Głorią. Podczas naszego pierwszego spotkania, kiedy wspomniałem o swojej przeszłości reportera piszącego na temat polityki ekologicznej, bardzo jej zależało, żeby mi pokazać oczyszczalnię, którą zainstalowała Fundacja dla ochrony życia w Jeziorze Tennanah. W trakcie następnej rozmowy opowiedziała mi o liście do Hilary Clinton, z poparciem dla poglądów wyrażanych przez organizację Lekarze Bez Granic (Doctors Without Borders) na temat zagrożenia dla zdrowia dzieci, jakie stanowią łuski pocisków pokryte uranem, zrzucane na Irak podczas wojny w Zatoce.



Oboje Ken i Gloria podpisali się pod dwuczęściowym esejem na temat wojny, który wydrukowany został w kwartalnym biuletynie FACIM zatytułowanym *The Lighthouse*, gdzie przypatrywali się historycznym korzeniom terytorialnych konfliktów na Środkowym Wschodzie i poddawali krytyce politykę Stanów Zjednoczonych polegającą na nie informowaniu obywateli o wojnie. Zadawali tam również pytanie, czy „wyzwolenie Kuwejtu może usprawiedliwiać zniszczenie Iraku i Irakijczyków”. Choć w konkluzji artykuł ten nawiązuje do zasad Kursu, sugerując, że „wojna w Zatoce dała nam wszystkim jeszcze jedną szansę, żeby odrzucić nasze nieważne myśli o separacji, podziałach i potępieniu i wybrać jeszcze raz” (5) - to tekst ten jako całość zaznaczył nowy rozdział w historii biuletynu, koncentrującego się na ogół na wyjaśnianiu zasad Kursu bez odwoływania się do światowych problemów.

Gloria przyznaje, że studiowanie Kursu zasadniczo zmieniło jej poglądy polityczne. „Przed Kursem wierzyłam, że pracując na rzecz zmiany politycznej i ekonomicznej, naprawdę mogę wpłynąć na lepszy kształt tego świata. Szkoliłam się do służby dyplomatycznej, sądząc, że będę mogła wywrzeć wpływ na politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych. Po Kursie zdałam sobie sprawę, że patrzę na świat tak, jakby był rozdarty między siły dobra i zła, podczas gdy tak naprawdę to mój rozdarty umysł wymaga uzdrowienia. Kurs naucza, że jeśli potępiasz jakąkolwiek część rodzaju ludzkiego, w istocie potępiasz samego siebie.... „

„Czy pamiętasz stare powiedzenie: ‘Jeśli nie jesteś częścią rozwiązania, to znaczy, że jesteś częścią problemu?’” pyta Gloria. „Teraz rozumiem je w ten sposób, że jeśli angażujesz się w chaos sprzeciwu, wtedy jesteś częścią problemu, bez względu na to, po której stronie stajesz. Myślę, że można pokazać ludziom, że jest jeszcze inny sposób na życie w tym świecie, sposób zupełnie inny od naszego dotychczasowego postępowania”.

Ken sugeruje, że filozofia działania na rzecz postępu, takiego jak na przykład ruch praw obywatelskich, może zawierać pewne zasady podobne do zasad Kursu. Wspominając swój udział w latach sześćdziesiątych w marszu w stanie Mississippi prowadzonym przez Martina Luthera Kinga, Ken mówi, że nawet już wtedy „zaniepokoilo mnie odkrycie, że wśród maszerujących jest tyle samo nienawiści, co wśród występujących przeciw nim białych. My po prostu byliśmy pewni, że to my jesteśmy dobrzy”. Ale zwrócił uwagę na jedno z zaleceń, jakie King przekazywał Czarnym podczas marszu: „Nie zdołają złamać ci karku, o ile sam go nie zegniesz”.

„King chciał, żeby inaczej spojrzeli na siebie” wyjaśnia Ken. „Sedno tego przesłania jest takie samo jak przesłania Kursu”.

A przecież i Ken, i Gloria uważają, że Kursu nie powinno się cytować po to, żeby sprzeciwić się czyjemuś stanowisku politycznemu na temat bieżących spraw. Kiedy sugeruję, że częste używanie przez nich takich wyrażen, jak „połączyć się z Jezusem” może sprawić, że postronny obserwator weźmie ich błędnie za chrześcijańskich fundamentalistów, Gloria szybko mówi, co ich odróżnia:

„Mam brata i siostrę, którzy są nowonarodzonymi chrześcijanami i wcale nie patrzymy na rzeczy w ten sam sposób” twierdzi. „Ich program jest całkiem jasny; są oni republikanami z prawego skrzydła, którzy chcą zdelegalizować aborcję, wprowadzić modlitwę do szkół i ustanowić teokratyczne państwo. Kurs nie angażuje się w żadne cele polityczne, ani konserwatywne, ani liberalne. Fundamentalisci są przeciwni aborcji, ponieważ wierzą, że życie zaczyna się w momencie poczęcia, a Kurs naucza, że Bóg nie stworzył ani świata, ani ciała i że nie istnieje życie poza niebem”.

Kiedy się weźmie pod uwagę, że definicja nieba podawana jest w Kursie jako „świadomość idealnej jedni i wiedza, że nie ma nic; nic poza tą jednią i nic innego w niej samej” - to rozdział między filozofią Kursu a dzisiejszą politycznie obciążoną religijnością staje się szczególnie dramatyczny.

### **Baza „konserwatyzmu” Kursu**

Jednak w obrębie elitarnego świata polityki Kursu Fundacja Kursu Cudów stanowi bazę szczególnego rodzaju „konserwatyzmu”. Zataczająca coraz szersze kręgi kultura Kursu przechodziła rozmaite punkty zwrotne, kiedy Robert Perry nauczyciel Kursu z Sedony opublikował w czwartym numerze *Miracles Magazine* komentarz zatytułowany „Liberalizm i konserwatyzm w społeczności Kursu”, w którym publicznie przyznaje, że w rodzącej się tradycji duchowej pojawiła się pierwsza poważna schizma.

„Konserwatyści widzą Kurs jako coś odrębnego, za czym należy podążać nie mieszając tego z niczym innym” napisał Perry, twierdząc również, że konserwatyzm ten jest „generalnie intelektualny” i „skoncentrowany na studiach”. Z kolei liberałowie są bardziej, jego zdaniem, chętni do łączenia Kursu z innymi naukami i podkreślania wspólnych idei z innymi naukami”. Następnie Perry porusza sprawę, która w ostatnich latach skłóciła liberałów Kursu z Kenem Wapnickiem, a mianowicie ich przekonanie, że „nie ma jedynej słusznej interpretacji, i że Kurs znaczy co innego dla każdego człowieka”. (7) Jak ktoś powiedział: „Jeżeli jest milion adeptów Kursu, to znaczy, że jest też milion Kursów”.

Na ogół liberalni interpretatorzy Kursu nie przejmują się tym, co Wapnick ma na ten temat do powiedzenia; faktem jest, że wielu z nich studiowało w FACIM i z wdzięcznością mówią o jego naukach. Ale po ukazaniu się artykułu Perry’ego - napisanego przed niedawno wprowadzonymi zmianami w polityce praw autorskich (opisanymi w Rozdziale 3) i założeniu Instytutu Nauczania Wewnętrzznego Spokoju poprzez Kurs Cudów, występują coraz większe tarcia dotyczące tego, że niektórzy nauczyciele dostrzegają, że Wapnick coraz wyraźniej odgrywa rolę „oficjalnego” interpretatora Kursu Cudów. Mimo że sam Wapnick nie zgadza się z ich poglądami „Słyszałem, że niektórzy tak mówią, ale ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć”, uważa, że rzeczywiście na ogół traktuje swoje objaśnienia Kursu nie jako swoją osobistą interpretację, ale raczej jak coś o czym „Kurs mówi naprawdę” lub „co Jezus chciał przez to naprawdę powiedzieć”. Tego rodzaju język nietrudno znaleźć wśród nauczycieli Kursu różnej proweniencji. Ale ponieważ znany jest związek Wapnicka z oryginalnym rękopisem Kursu Cudów, w jego ustach tak autorytatywny język ma znacznie większy ciężar gatunkowy. Można to potraktować albo jako coś, co jest historycznie uzasadnione, albo jako wykraczanie poza funkcję jednego z wielu nauczycieli Kursu. Paul Ferrini, redaktor *Miracles Magazine* pyta: „Czy może być jakiś inny oficjalny nauczyciel Kursu poza Jezusem?”

Jeśli przyjrzeć się toczącej się przez stulecia ewolucji wszystkich duchowych tradycji, można przewidzieć, że ta schizma konserwatyzm/liberalizm i towarzyszące jej kontrowersje co do relatywnego autorytetu nauczycieli, nie będzie szybko zlikwidowana. Robert Perry jest zdania, że „najpoważniejszym błędem każdej strony jest to, że zupełnie wyklucza tę drugą” i sugeruje, że „poprzez fuzję obu tych prawd, możemy dojść do bardziej całościowego i odmiennego obrazu tego, czym jest Kurs Cudów”. (8) Z tego mało konkretnego, idealistycznego podejścia nie bardzo wynika, jak można by rozwiązać problem tych różnych podejść do Kursu. Jak społeczność Kursu poradzi sobie z taką „fuzją” odmiennych perspektyw, czy sobie nie poradzi, będzie dowodem na to, czy nauki Kursu mogą znaleźć równie dobre zastosowanie w polityce, o czym jest przekonanych wielu ludzi.

### **Robią to, co mówią**

Jeśli pominie się politykę dotyczącą Kursu, widać, że Ken Wapnick wzbudza duży szacunek wśród większości studentów, którzy mieli z nim kontakty, czy poznali jego pisma. Tom Leach z Hodgkiss w stanie Kolorado, który spędził dwa lata jako pracownik Fundacji i cały czas regularnie wraca do Roscoe na lekcje, wyraźnie przemawia w imieniu

wielu osób, kiedy mówi: „Ken i Gloria Wapnickowie naprawdę robią to, co mówią”, mając na myśli to, że ich codzienne zachowanie może służyć jako egzemplifikacja zasad Kursu. Być może naturalna rezerwa Kena wzmacnia jeszcze powszechne wrażenie, które często słyszałem z różnych ust, że „on się nigdy nie złości”. Jedną ze studentek, którą poznałem w FACIM mówi, że widziała Kena w akcji, który „jeśli musi, potrafi być w sali bardzo stanowczy. Słyszałam, jak mówił ludziom, by się zamknęli, ale nie robił tego z gniewem”. Wapnick twierdzi, że czasami wpada w złość. „Oczywiście, że się denerwuję, Ale na ogół jestem cierpliwy”. Leach uważa, że Gloria jest „bardziej otwarta i bezpośrednia” i bardzo wysoko ocenia jej spójność wewnętrzną i wierność oryginalnym zamysłom Kursu. Ze względu na nienarzucające się zachowanie i spokojny styl życia, Wapnicków można by raczej wziąć za nauczycieli z miasteczkowego college’u a nie za czołowych przedstawicieli ezoterycznej duchowej filozofii. Na ogół udawało im się uniknąć nadania przez studentów statusu „guru”, ale że nie było tak zawsze, wspomina Ken w swej opublikowanej historii:

„...pewien bardzo szczerzy młodzieniec.... podszedł do mnie po seminarium mówiąc: ‘Wiem, że musi pan być naprawdę świętą osobą, ponieważ nie pali pan papierosów, nie pije kawy i nie biega co chwila do łazienki’. Cały czas nie pojmuję, jak zaobserwował ten ostani element z triady, ale byłoby wspaniale, gdyby nasze zbawienie było zależne jedynie od spełnienia tych trzech kryteriów duchowego rozwoju”. (9)

Widać jednak, że Ken Wapnick chciałby wyrzucić trwały wpływ na dziedzictwo Kursu. Spośród jego wielu książek rozważających różne aspekty Kursu Cudów, najambitniejsze liczące sześćset stron dzieło zatytułowane jest: *Love Does Not Condemn: The World, the Flesh, and the Devil According to Platonism, Christianity, Gnosticism, and A Course in Miracles* (Miłość nie potępia: świat, ciało i diabeł w filozofii platońskiej, chrześcijaństwie i Kursie Cudów). Mimo iż jest to imponująca rozprawa naukowa w zakresie religii porównawczej, prawdopodobnie w najbliższej przyszłości nie wejdzie do kanonu lektur akademickich zarówno ze względu na nowość Kursu Cudów jak i jego współczesną, niestety nietrafną, reputację popularnej nauki Nowej Ery.

Kiedy zadaję Kenowi pytanie, czy jako naukowiec i autor nieuznawany przez większość kolegów zajmujących się tradycyjnymi studiami religioznawczymi, nie czuje się jak w „getcie”, odpowiada tylko, że *Love Does Not Condemn* „zostało napisane dla przyszłości, kiedy naukowcy i historycy będą chcieli zobaczyć, jak wygląda Kurs w porównaniu z innymi wielkimi naukami”. W tonie jego głosu słychać spokojną pewność człowieka, który tak jak wielu innych adeptów Kursu Cudów, rozglądał się tu i tam za duchową podporą, zanim znalazł to, czego szukał w zupełnie nieoczekiwanym miejscu.

## Rozdział 6

### **Gdzie psychologia styka się z filozofią wieczystą: Rozmowy z Rogerem Walshem i Frances Vaughan.**

Roger Walsh kończył studia psychiatryczne w 1976 roku, kiedy po raz pierwszy zobaczył Kurs Cudów. Dostał go od swej przyszłej żony - Frances Vaughan. „Otworzyłem, zobaczyłem słowa Bóg i Duch Święty, natychmiast więc zamknąłem książkę i przez dwa lata nie chciałem mieć z nią nic do czynienia” mówi Walsh. „Ale spotykałem ludzi, których szanowałem, a oni wyrażali się z szacunkiem o Kursie. Ostatnią kroplą było poznanie w 1978 roku Billa Thetforda, który miał referat na zjeździe Amerykańskiego Stowarzyszenia Ortopsychiatrycznego (American Orthopsychiatric Association). Pamiętam, że pomyślałem wtedy ‘Jeżeli ten gość się tym interesuje, to ja też’. Zacząłem od nowa czytać Kurs i dopiero po około trzech miesiącach przewyciężyłem niechęć do języka, jakim jest napisany. I nagle Kurs z czegoś ohydneho stał się piękny i jego nauka naprawdę stanęła przede mną otworem. Od tej pory nieustannie studiuję Kurs”.

Walsh, profesor psychiatrii, antropologii i filozofii w Kalifornijskim Uniwersytecie w Irvine, oraz Frances Vaughan, terapeutka mająca prywatną praktykę i była przewodnicząca Stowarzyszenia Psychologii Transpersonalnej (Association for Transpersonal Psychology), reprezentują tę grupę adeptów Kursu, która zaprzecza sceptycznemu pogładowi na Kurs, że jest to beztroska doktryna miłości (zobacz Rozdział 8). Ponieważ intelektualistami z najwyższymi tytułami akademickimi i wykształceniem w zakresie psychologii byli też Helen Schucman i Bill Thetford, być może ta grupa jest bardziej reprezentatywna dla rodowodu Kursu Cudów niż jakkolwiek inna formacja.

Walsh i Vaughan nie są postrzegani głównie jako nauczyciele Kursu, są oni jednak wiarygodnymi źródłami informacji na temat dwu ważnych aspektów dziedzictwa filozoficznego Kursu Cudów: jego ciągłości wobec psychoterapii i wspólnoty z pewnymi kardynalnymi aspektami światowych wielkich tradycji filozoficznych, czyli z tym, co jest nazywane „wieczystą filozofią”. Autorzy w sumie piętnastu książek na takie tematy jak terapia, intuicja i szamanizm, Walsh i Vaughan zredagowali także trzy popularne kompilacje wyjątków z Kursu, obecnie połączonych w antologię wydaną pod tytułem *Gifts from A Course in Miracles* (Dary z Kursu Cudów) (Tarcher/Putnam).

Frances Vaughan, wychowana w religii anglikańskiej, mówi, że już jako studentka Uniwersytetu Stanforda interesowała się religią porównawczą. W uniwersytecie tym studiowała pod kierunkiem Fredericka Spiegelberga, który pierwszy zapoznał ją z myślą Wschodu. W 1975 roku zetknęła się z Kursem, którego fotokopię oryginalnego rękopisu dostała od Jerry'ego Jampolsky'ego, w tym czasie studiowała buddyzm i miała pewne doświadczenia w zakresie medytacji Zen. „W 1975 roku rozwodziłam się” wspomina Frances „i Kurs bardzo pomógł mi uporać się z poczuciem winy i złością”.

W przeciwieństwie do wielu studentów, którzy przyszli do Kursu po zerwaniu ze swymi chrześcijańskimi korzeniami, Frances Vaughan odkryła, że filozofia Kursu jest podobna do nauki Kościoła anglikańskiego. „Sednem przesłania, które tam słyszałam, było nauczanie Jezusa, że ‘Bóg jest miłością’. Dobrą nowiną z Nowego Testamentu było to, że grzechy są wybaczone. Pozostała część przesłania brzmiała: ‘Poznaj prawdę, a staniesz się wolny’. To wszystko. I jest to w stu procentach zgodne z nauką Kursu”.

Przed Kursem Cudów Frances Vaughan wypróbowała szereg ścieżek duchowych; jak mówi: w Kursie „podało mi się to, że żeby zacząć studia nie trzeba było się do niczego przyłączać, należeć do żadnej grupy lub przyrzekać lojalności nauczycielowi”, „Miałeś po prostu teksty i mogłeś je studiować samodzielnie”. Chociaż na początku pewną trudność sprawiał jej męski ton tych materiałów, Frances Vaughan mówi, że wkrótce „poczułam się z Kursem bardzo swojsko”.

Roger Walsh, Australijczyk z urodzenia, na którego najwcześniejszy wpływ wywarł Kościół anglikański, mówi, że był „właściwie agnostykiem”, kiedy przyjechał do Stanford University na studia psychiatryczne. „Byłem neurologiem wierzącym bez zastrzeżeń w naukę, nastawionym na terapię modyfikacji zachowania”.

Punktem zwrotnym w jego życiu było poddanie się psychoterapii w 1974 roku, która „otworzyła przede mną cały nowy świat wewnętrznych uczuć i wyobraźni, z którym do tej pory nie miałem żadnego kontaktu”. Próbując różnorodnych typów szkolenia i seminariów, a jednocześnie kontynuując studia psychiatryczne, a następnie badania po doktoracie, Walsh zaczął skłaniać się ku praktyce medytacji i tradycjom kontemplacyjnym - „mimo że nie bardzo wiedziałem dlaczego, skoro religię cały czas uważałem za opium dla mas”.

I wtedy doszło do kolejnego zwrotu. „Przeżyłem oślepiający moment objawienia” wspomina Walsh „kiedy zrozumiałem, że kontemplacyjny trzon największych światowych tradycji duchowych oferuje techniki wywołania transcendentnych stanów umysłu”.

Jak mówi Walsh w swojej książce *The Spirit of Shamanism* (Duch szamanizmu) jeszcze do niedawna te „odmienne stany świadomości” były przeważnie traktowane przez psychologów jak zaburzenia patologiczne. Teraz psychologia humanistyczna,



transpersonalna i Jungowska z większym szacunkiem wyrażają się o takich odmiennych stanach świadomości jak sen, medytacja i doświadczenia mistyczne. Walsh pisze, że „Rezultatem netto jest to, że mówiąc najogólniej, zachodnia psychologia potrafi dzisiaj lepiej zrozumieć i doceniać religijne doświadczenia, a nie uważać ich za patologię, i oczerniać... „(1)

Z tej perspektywy, pojawienie się we wczesnych latach siedemdziesiątych Kursu Cudów, z jego unikalną mieszaniną psychologicznego i duchowego języka i wyraźnym nakazem „treningu umysłu”, nie mogło przyjść w odpowiedniejszej porze. Ale w opinii Rogera Walsha skuteczność Kursu leży nie tylko w jego współczesności, ale także w pewnych cechach, które są wspólne jemu i światowym najstarszym i najbardziej czczonym tradycjom religijnym.

### **„Wyższe poziomy istotności”**

*Common Boundary* to pismo o krajowym zasięgu wydawane w Bethesda w stanie Maryland, które najogólniej mówiąc bada pogranicza psychoterapii i duchowości. W jego radzie redakcyjnej zasiadają zarówno Walsh jak i Frances Vaughan. Na początku 1989 roku *Common Boundary* opublikowało na pierwszych stronach reportaż Rogera Walsha o Kursie Cudów, reportaż który sprowokuje wybitnego psychologa do napisania wrogiej odpowiedzi na tych samych łamach (zobacz Rozdział 8). Walsh przedstawiał Kurs w samych superlatywach.

„Jedną z cech charakterystycznych każdej głębokiej nauki jest to, że kiedy studiujesz ją po raz drugi, odkrywasz to, co filozofowie nazywają ‘wyższymi poziomami istotności’”, pisał Walsh. „Przytrafia mi się to zawsze, kiedy czytam Kurs. Jestem teraz w takim momencie, kiedy czuję, że jest on równorzędny wszystkim innym tekstom lub dyscyplinom, z którymi miałem do czynienia... Skłaniam się do poglądu, że ten dokument może być duchowym arcydziełem.” (2)

Walsh wymienia dalej trzy nurty we współczesnym rozumieniu religii porównawczej, które pomagają zrozumieć, jak Kurs wpasowuje się w najważniejsze światowe tradycje duchowe. Pierwszym nurtem jest to, co niektórzy sarkastycznie nazywają „supermarketem duchowości” końca XX wieku, czyli bezprecedensowej popularności, zwłaszcza na Zachodzie, różnorodnych ścieżek i perspektyw duchowych. „Kilkaset lat temu nie było kaset, książek też jeszcze niewiele i ludzie byli wystawieni na wpływy jednej tylko religii” zauważa Walsh. „Próby wgrzyzenia się w inną nie były szczególnie popularne i mogły zakończyć się na stosie”. (3)

Drugim nurtem było odkrycie w 1945 r. Gnostyckich Ewangelii lub zbiorów z Nag Hammadi, dzięki której dowiedziano się o istnieniu paru wczesnych szkół mistyków chrześcijańskich, którzy generalnie w bardziej metafizyczny sposób patrzyli na Chrystusa i jego nauki niż tradycyjna szkoła, która zdominowała myśl religijną Zachodu. Walsh cytując popularną książkę Elaine Pagel *The Gnostic Gospels* (Gnostyckie Ewangelie) streszcza ważniejsze problemy w nauce gnostyków, które na pewno zabrzmią znajomo wszystkim adeptom Kursu:

„Implikacje dla chrześcijaństwa są nadzwyczajne. Po pierwsze, [gnostycki] wizerunek Jezusa nie przedstawia go jak kogoś, kto by twierdził, że jest jedyny lub w jakikolwiek sposób ontologicznie odrębny i na zawsze oddzielony od gatunku ludzkiego. Mówi raczej po prostu, że przybył w takim stanie, który jest ukryty w nas wszystkich. Mówi nie o grzechu i winie, ale o ciemności i iluzji. Mówi o sobie jak o kimś przebudzonym, i o tych, którzy gdy będą pić jego słowa i naśladować czyny, staną się podobni do Niego, zjednoczą się z Nim. ‘Ten kto będzie pił z mych ust, stanie się taki jak ja’. I nagle, po raz pierwszy mamy obraz chrześcijaństwa zgodny z mistycznymi postaciami innych religii”. (4)

Ostatnim nurtem jest zmiana opinii psychologii na temat odmiennych stanów świadomości. Opinia ta uległa ewolucji - od uporczywego uznawania tych stanów za

rodzące iluzje po uznawanie ich za stany, dzięki którym można czasem zyskać unikalny dostęp do niezwykłego wglądu i mądrości. Walsh pisze: „To znaczy, że najgłębsza duchowa mądrość może być dla nas nie w pełni zrozumiała, o ile nie zaczniemy się ćwiczyć w doznawaniu odpowiednich stanów umysłu” (5) poprzez takie tradycyjne techniki duchowe jak medytacja, joga, kontemplacja i praktyki dewocyjne.

W rzeczywistości, Walsh jest przekonany, że światowe tradycje duchowe były częściowo inspirowane odmiennymi stanami świadomości wielkich nauczycieli i proroków takich jak Jezus, Budda i Mahomet. Jeśli tak było, na ironię losu zakrawa fakt, że dzisiaj religii często używa się do obrony przez niezwykłymi doświadczeniami. (Byłem wychowany jako metodysta w Północnej Karolinie i nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego okoliczni fundamentaliści zakazywali urządzania tańców - z pewnością jednego z łagodniejszych sposobów na wprawienie się w odmienny stan świadomości).

Według Walsh'a zatem, autentyczne tradycje duchowe są to te, które są w stanie wywołać odmienny stan świadomości, transcendencję lub wyższy rozwój”. (6) Kurs Cudów jest, jego zdaniem, pod co najmniej czterema względami podobny do innych starszych nauk:

- Sposób objawienia nauk
- Co nauki te mówią o kondycji człowieka
- Co nauki te mówią o naszym potencjale
- Co nauki te mówią o środkach do zrealizowania naszego potencjału (7)

### **Sposób objawienia nauki**

„Cały czas jestem okropnie zażenowany, że mam do czynienia z czymś, co zostało przekazane drogą channelingu” wyznaje Walsh. „Tak samo zresztą jak Bill Thetford i Helen Schucman. Ale o ile wiem, religie zazwyczaj wywodziły się z bardzo mało szacownych źródeł. Jezus został skazany na śmierć jak pospolity przestępca, Lao-Tsy powędrował na pustynię jako ktoś zupełnie nieznan, Konfucjusz nie był w stanie utrzymać się na posadzie, a Mahomet był podejrzanym przewodnikiem wielbłądów, przeciw któremu wystąpiły masy ludzi”.

Walsh przyznaje, że w „tekstach przekazywanych drogą channelingu jest cała masa bzdur. Problem polega na tym, że jest w nich również trochę wartościowego materiału. Zdarza się on znacznie rzadziej, ale stawia pod znakiem zapytania wyjaśnienia zdroworozsądkowe. Wydaje się całkiem jasne, że niektóre części Biblii powstały w ten sposób, a także pewne partie Koranu. W judaizmie było grono mistyków, którzy tworzyli dzieła pod wewnętrzne dyktando, a w buddyzmie wiele hinduskich i tybetańskich tekstów powstało w ten sposób. „Nawet na Zachodzie” dodaje Walsh, „wyrocznie delfickie w Grecji - kolejne kapłanki, które jakoby przemawiały w imieniu boga Apolla funkcjonowały przez dziewięćset lat”. Walsh jest szczególnie pod silnym wrażeniem „głosu”, dyktującego Kurs, gdy go porównuje z innymi „nauczycielami”. „Kiedy staram się wczuć w umysł Emmanuela, na przykład, czuję cudowną, pełną współczucia obecność, ale cały czas mam poczucie indywidualności. Przeciwnie, umysł stojący za Kursem, wydaje się nie mieć żadnych granic”.

Co nauki mówią o kondycji człowieka. Prawdopodobnie najczęstszą cechą wielkich tradycji duchowych jest ich pesymistyczne spojrzenie na dolę człowieka w jego codziennym nieuduchowionym stanie. „Z nauk tych jasno wynika, że nie jest dobrze, że jest niewyobrażalnie dużo cierpienia” mówi Walsh. „Wskazują na smutek i krótkość życia, nieuchronność chorób, starości i śmierci, niekończące się konfrontacje z sensem, celem, pytania o związki międzyludzkie i samotność, niepewność i kaprysy losu”. Pierwsza szlachetna prawda Buddy mówi o nieuchronności cierpienia w życiu. Walsh cytuje ją razem z fragmentem Psalmów: „W ogromie świata jesteśmy jak pył. Nasze życie jest



znojem i pasmem kłopotów i szybko się kończy. Kończy się jak oddech, jak sen. Czyż można żyć i nie widzieć śmierci?”

„Kurs Cudów w pełni się z tym zgadza” zauważa Walsh. „Mówi, że ten świat jest szalonym światem smutku i śmierci i że w ostateczności nie należysz do niego. Po co zatem tu jesteście? Zarówno Kurs Cudów jak i kontemplacyjny nurt wielkich tradycji mówi, że problem, jaki przedstawia świat, jest naprawdę stanem naszych umysłów. Jesteśmy napędzani i zdominowani przez niezdrowe żądze i obawy, opętani chęcią gromadzenia coraz to nowych i intensywniejszych wrażeń i uczuć. A na dodatek jesteście zdominowani przez egocentryczne troski, kierują nami bliźniacze siły uzależnienia i awersji. To z nich wyrasta siedem grzechów głównych chrześcijaństwa, przeszkody buddyjskie, bolesne opory jogi - wszystko to są różne nazwy dla tych samych dolegliwości”.

Buddyzm i Kurs są do siebie bardzo podobne w sugerowaniu, że nasz sposób myślenia dosłownie kreuje świat, który widzimy, mówi Walsh. Przesłanie Kursu Cudów brzmi ”jesteś tak szalony, że nawet nie wiesz o tym, że jesteś szalony. Cierpisz z powodu wspólnego złego psychotycznego snu, a Kurs oferuje odmienny system myślenia, którym możesz zastąpić ten sen”.

„Ten fragment o śnie jest bardzo istotny” mówi dalej Walsh, „ponieważ nie dotrzesz do olbrzymich pokładów głębszego znaczenia wielkich tradycji, o ile nie zrozumiesz skutków tego przesłania: to, co zazwyczaj traktujemy jako stan pełnego czuwania, naprawdę jest snem”. Walsh uważa, że wyjaśnienie podane w Kursie naszych halucynacji budzenia się, należy do najlepszych spośród tych, które istnieją w światowych tradycjach:

„Sny pokazują ci, że masz moc, żeby zmienić ten świat tak, jak chcesz i widzisz go, ponieważ chcesz tego. A ponieważ go widzisz, nie wątpisz w to, że jest prawdziwy. A jednak jest jeszcze świat wewnątrz twego umysłu, który wydaje się istnieć gdzieś poza... Wydaje ci się, że się budzisz i sen pierzcha.

... A to do czego się budzisz, jest tylko jeszcze jedną postacią tego samego świata, który widzisz w snach. Całe życie spędzasz śniąc. Twoje sny o śnie i sny o przebudzeniu mają różne formy i to wszystko.” (8)

### **Co nauki mówią o naszym potencjale**

„Możemy zyskać pewne pojęcie o naszej prawdziwej naturze, gdy przyjrzymy się temu, co jest przeciwieństwem naszej zazwyczaj nieoświeconej kondycji” mówi Walsh. „Zamiast skończoności i granic znajdziemy opis nieskończoności i bezkresnego istnienia. Zamiast czasu i zmian znajdziemy opis wieczności i niezmienności. Zamiast narodzin i śmierci mamy nienarodzenie i nieśmiertelność. Tam gdzie jest niepokój i strach, mamy miłość, szczęście i radość”.

Podobnie, twierdzi Walsh, wielkie tradycje sugerują, że umysł ma olbrzymi potencjał.

„Oświecony umysł ma być wolny od wszelkich spustoszeń, jakie czynią strach, chciwość, nienawiść i złość. Chrystus nazwał go ‘spokojem, który wykracza poza rozumienie’, Budda nazwał ten stan *nirwaną*, w jodze jest rozkosz *samadhi*. Jak mówi Kurs, ‘Spokojny umysł nie jest małym darem’ .(9) Uniwersalne przesłanie brzmi tutaj, że do jakiego stopnia uda nam się wyciszyć hałaśliwą pracę naszych niewycwiczonych umysłów, do takiego stopnia znajdziemy nasze prawdziwe ja, miejsce bezgranicznego spokoju i szczęścia. Budda mówi o tym *anatta*, jest to świadomość, że ego jest od początku do końca iluzją. Jest to cel jogi, czyli ‘jedność jaźni z Jaźnią’. To jest taoistyczne poznanie Tao, a dla chrześcijańskich mistyków - deifikacja, świadomość Chrystusa lub jedność z Bogiem. Według słów Kursu brzmi to tak: ‘Pozwól mi pamiętać, że jestem jednym z Bogiem, jednym ze wszystkimi moimi braćmi i Sobą, w wiecznej świętości i pokoju’ .(10)

To wszystko wygląda bardzo ładnie”, konkluduje Walsh. „Pytanie tylko, jak możemy to osiągnąć?”

## **Co nauki mówią o środkach realizowania naszego potencjału.**

Według Walsh autentyczne duchowe tradycje oferują nie tylko system wierzeń, ale także wyraźne wskazania, jak ćwiczyć umysł, by można było otworzyć się na wyższe stany bytu i świadomości. Zatem wszystkie wielkie drogi oferują to, co Walsh nazywa „techniką transcendencji. Porównując tę technikę we wszystkich drogach Walsh stwierdza, że występuje w niej pięć wspólnych elementów:

1. *Trening etyczny*
2. *Trening koncentracji*
3. *Przemiana emocjonalna*
4. *Zmiana motywacji*
5. *Kultywowanie mądrości*

### **1. Trening etyczny**

„Moralność religijna sprowadza się na ogół do powszechnego przekonania: ‘Zrób coś, bo inaczej Bóg cię skarze’” mówi Walsh. „To nie jest spojrzenie wieczystej mądrości, która widzi w etyce środek treningu umysłu. Jeśli przyjrzymy się uważniej, stwierdzimy, że nieetyczne zachowanie nie tylko wynika z bolesnych i destrukcyjnych stanów umysłu takich jak złość, strach, chciwość, nienawiść i zazdrość, ale też je wzmacnia. Z drugiej strony, zachowanie etyczne nie umacnia tych stanów umysłu, raczej je pomniejsza, a kultywuje ich przeciwieństwa: szlachetność, miłość, radość. Zatem człowiek zachowuje się etycznie nie ze strachu czy z poczucia winy, ale po prostu dlatego, że widzi, że i on i inni mają dzięki temu lepsze samopoczucie. Etyka jest zręczną strategią”.

### **2. Trening koncentracji**

„W naszych umysłach panuje bałagan!” stwierdza Walsh. „Jeśli kiedykolwiek usiłowałeś medytować, znasz to doświadczenie: siadasz i koncentrujesz się na tym, jak oddychasz, a po dwudziestu minutach zdajesz sobie sprawę, że na pewno musiałeś oddychać, ale ciebie tam nie było. *Bhagavad-Gita* mówi: ‘Umysł człowieka nie zna spokoju. Jest silnie targany zmysłami, zatwardziały i zapiekły w upartym pożądaniu rzeczy z tego świata; jak go poskromić? Zaprawdę myślę, że wiatr nie może być bardziej dziki’. Ramana Maharshi powiedział ‘Wszystkie święte pisma bez żadnego wyjątku głoszą, że aby osiągnąć zbawienie należy pokonać umysł.’ I wreszcie wiemy, że Kurs mówi ‘Jesteście zbyt tolerancyjni wobec błędzenia umysłu’.., (11)

Walsh uważa, że bez względu na to, jaką drogę duchową się wybierze, metoda ćwiczenia koncentracji jest zasadniczo taka sama: „jest to nieustające sprowadzanie uwagi na z góry określony obiekt. Jogini nakazują myślom wracać do oddechu. Ćwiczenia Kursu proszą, byśmy pamiętali o myśli na dany dzień. Wszystko to ma na celu stałe pilnowanie umysłu, przypominanie mu, że ma wracać myślami do tego, na czym postanowiliśmy się koncentrować - a to daje moc.

„W buddyzmie istnieją cztery ‘imponderabilia’” dodaje Walsh. „Są to cztery rzeczy, których nie możesz pojąć, to jest: początek, czyli jak świat się zaczął; przyczyna lub karma, czyli jakie przyczyny mają rzeczy; zakres umysłu Buddy, wreszcie moc w pełni skoncentrowanego umysłu. Wydaje się, że w pełni skoncentrowany umysł ma do swej dyspozycji zatrważającą moc”.

### **3. Przemiana emocjonalna**

Walsh wymienia dwa składniki tego elementu: redukcja negatywnych „nieumiejętnych” emocji, natomiast pielęgnowanie tych pozytywnych i pożytecznych. Jak wspomniałem wcześniej, wieczysta filozofia uważa, że wszystkie „niezręczne” emocje emanują z obsesji uzależnienia i awersji.

„W Kursie można znaleźć różne podejścia do zmniejszania naszego przywiązania do tego, co nazywa się tam ‘idolami’, czyli do wszystkich rzeczy, których pożądamy” mówi Walsh.

„W Ćwiczeniach jest cała seria lekcji na ten temat, w tym także ‘W świecie, który widzę, nie ma nic, czego bym pragnął’. (12) To nie znaczy, że tutaj w tym świecie nie możemy żyć radośnie i z miłością, bo z Kursu i innych tradycji wynika niezbicie, że możemy. Ale tak długo, jak myślimy, że spełnienie naszych pragnień da nam szczęście, zmierzamy ku braku szczęścia”.

Dwie główne emocje zakorzenione w awersji to gniew i nienawiść, mówi Walsh i przytacza budzący wstręt buddyjski obraz gniewu: „Mówią, że powinniśmy patrzeć na gniew jak na zatęchłą urynę zmieszaną z trucizną. Kurs utrzymuje, że *złość* ‘nigdy nie jest usprawiedliwiona. Atak *nie ma* podstaw’ (13). Narzędziem, którym Kurs każe się posługiwać do redukcji złości jest przebaczenie” dodaje Walsh „I podaje niesłychanie szczegółowe i różnorodne podejścia do przebaczenia, takiej ich wielości nie ma w żadnej pozostałej odkrytej przeze mnie drodze”.

Drugim składnikiem transformacji emocjonalnej jest pielęgnowanie pozytywnych lub umiejętnych emocji, które jak się wierzy prowadzą duchowego aspiranta do stanów nieograniczonej miłości i współczucia. „Stany te buddyzm nazywa „boskimi siedzibami” mówi Walsh, „chrześcijaństwo - *agape*, a tradycja bhakti [drogi zbawienia] - boską miłością. Kurs w jednej z lekcji wysuwa podobną sugestię: ‘Wolą Boga dla mnie jest doskonałe szczęście’”(14)

#### 4. *Zmiana motywacji*

Walsh wierzy, że wieczysta filozofia zachęca człowieka do dokonania szeregu zmian w najgłębszych motywacjach. Najważniejszą jest zrezygnowanie z pragnienia zdobywania rzeczy, uwagi lub władzy na rzecz dążenia do rozwoju duchowego jako jedynego trwałego środka przynoszącego zadowolenie. Kolejną zmianą jest po prostu nastawienie nie na „branie” lecz „dawanie”.

„Tradycyjnie było to nazywane oczyszczeniem” informuje Walsh. „Psychologowie nazwaliby to poruszaniem się w górę po hierarchii potrzeb Masłowa. U Kierkegarda zawierało się ono w powiedzeniu ‘Czystość serca polega na pragnieniu jednej rzeczy’. Jezus powiedział: ‘Szukajcie najpierw królestwa niebieskiego, a wszystko inne będzie wam dane’. Czym jest więc ta najwyższa motywacja, na jakim najwyższym pragnieniu mamy się skupić? W buddyzmie mahajana istnieje ideał *bodhisattwa*, jest to przebudzenie się, którego celem jest wykorzystanie tego przebudzenia się do pomocy i ratowania wszystkich istot. To może być najwyższy ideał, jaki powstał kiedykolwiek w umyśle ludzkim; buddyści uważają, że proces ten może trwać przez wiele wcieleń, by wyzwolić wszystkie czujące istoty”.

Kurs Cudów jest także drogą do bodhisattwy, twierdzi Walsh, ponieważ „uzmysławia nam bardzo wyraźnie, że żadne z nas nie będzie mogło skończyć gry, dopóki wszyscy jej nie skończą. Nie możesz oczyścić tylko swojego umysłu, ponieważ wszystkie umysły są jednym i są ze sobą połączone, głosi Kurs. Bardzo wyraźnie też jest w nim mowa o tym, że włożony w to wysiłek nie jest żadnym poświęceniem, ponieważ, jak mówi jedna lekcja ”Wszystko co daję, dam też otrzymuję”. (15)

#### 5. *Kultywowanie mądrości*

Walsh rozróżnia dwa rodzaje mądrości, które odgrywają rolę w realizowaniu naszego duchowego potencjału: *wstępną* i *ostateczną*. „Wstępna mądrość to ta, która każe nam wejść na jakąś ścieżkę - próbujemy wtedy medytować, czytamy Kurs, czy robimy cokolwiek innego. Człowiek widzi cierpienie i niedoskonałość świata i myśli, tak jak Bill Thetford, że musi być jakaś lepsza droga. W buddyzmie nazywa się to uznawaniem *duhkha*, co oznacza, że nieoświecone życie prowadzi rzeczywiście do cierpienia”.

„Ostateczna mądrość daje głęboki wgląd w naturę umysłu, jaźni i rzeczywistości” ciągnie dalej Walsh. „Jest to bezpośrednia, transcendentna intuicja, nie wywodząca się z umysłu

ani intelektu. Na Wschodzie jest ona nazywana *prajna*, na Zachodzie *gnozą*, a w Kursie *wiedzą* (knowledge). Wiadomo, że ta mądrość daje wielką moc i wyzwolenie. W chrześcijaństwie to jest 'Królestwo niebieskie jest w was', w upanisadach: 'poprzez rozumienie jaźni, dochodzisz do rozumienia całego świata', w Siddha joga: „Bóg mieszka w tobie jako ty”.

„To jest oświecenie, *satori*, *moksha*, *wu*, wyzwolenie, zbawienie” mówi Walsh „różne słowa na ten sam proces. Przesłanie wielkich tradycji tak samo jak przesłanie Kursu można zatem streścić bardzo prosto: Przebudź się!”

### **Czy Kurs jest psychoterapią?**

„Cel psychoterapii jest bardzo prosty: usunięcie przeszkód uniemożliwiających dotarcie do prawdy. Ma ona pomóc pacjentowi w rozstaniu się ze skostniałym systemem złudzeń i w zrewidowaniu fałszywych związków przyczyn i skutków leżących u jego podłoża. Nikt na świecie nie zdoła uciec przed lękiem, ale każdy może na nowo przyjrzeć się jego przyczynom i nauczyć się je prawidłowo oceniać. Bóg dał każdemu Nauczyciela, Którego mądrość i pomoc dalece wykracza poza wszelką pomoc, jakiej może udzielić ziemski terapeuta. Jednak są okresy i sytuacje, kiedy ziemski stosunek między pacjentem a psychoterapeutą staje się środkiem, poprzez który Bóg obdarowuje ich obu Swoimi największymi darami”. (16)

Fragment ten pochodzi z broszury zatytułowanej *Psychotherapy: Purpose, Process and Practice* (Psychoterapia: cel, proces i praktyka), jednego z dwóch krótkich dodatków do materiałów właściwego Kursu, który Helen Schucman zapisała po ukończeniu spisywania Tekstu, Ćwiczeń i Podręcznika dla Nauczycieli (zobacz Rozdział 1). Istnienie *Psychotherapy* umacnia jeszcze paradoksalny związek Kursu, bez wątpliwości dyscypliny duchowej, z metodą uzdrawiania wywodzącą się z niewątpliwie anty-religijnych teorii ludzkiego zachowania, w tym również teorii Zygmunta Freuda. W istocie główny nurt psychologii historycznie był poświęcony zgłębianiu tajemnicom naszego umysłu i zachowania w ściśle naukowych kategoriach, chociaż przedstawiciele „twardszych” nauk o dłuższym rodowodzie, często patrzyli z ukosa na całą tę psychologię.

Takie podejście wynika częściowo z faktu, że za plecami psychologii zawsze czaiła się duchowość, jej, efemerycznej co prawda, obecności nie można było zaprzeczyć. Jeśli prześledzi się na przykład semantyczne korzenie słowa *psychoterapia*, odkryje się „uzdrawianie duszy”. Najwybitniejszy uczeń Freuda, Carl Jung, zerwał ze swym mistrzem z powodu zasadniczo duchowych kwestii. I wiele razy zauważano, że czysto analityczny model terapii pozostawia coś do życzenia pod względem zmiany na lepsze ludzkich zachowań i związków.

Zbyt często „pacjenci” poddający się psychoanalizie po latach kuracji stwierdzają, że potrafią lepiej zrozumieć swoje neurotyczne i destrukcyjne postępowanie, ale cały czas nie są w stanie go zmienić. Prawdziwa zmiana, kiedy już do niej dochodzi, często jest następstwem przeżycia „poddania się” nieznanemu wcześniej źródłu mądrości - mądrości, z której wewnątrz zdajemy sobie sprawę, a która mimo to jest bez żadnych wątpliwości różna od uprzedniego, zwykłego zakresu świadomości.

To zrozumienie na ogół świadczy o przejściu od samo-poznania psychologicznego do poszukiwań duchowych. Dopiero od paru dziesiątków lat psychologia, i to głównie jej bardziej postępową gałąź, nazywaną generalnie psychologią „transpersonalną”, zaczęła badać arenę, na której dokonuje się to przejście, gdzie zgłębianie ego krzyżuje się ze zgłębianiem duszy, ducha i jeszcze wyższych form świadomości. Jak Frances Vaughan komentuje w swej książce *The Inward Arc* (Duchowy łuk): „Rozwój psychologiczny i poszukiwania duchowe były tradycyjnie postrzegane jako odrębne i zasadniczo sprzeczne zadania. Zachodnia psychologia w większości odrzuca poszukiwania duchowe jako



eskapistyczne, stwarzające złudzenia, lub w najlepszym razie widzi w nich psychologiczną protezę. Z drugiej strony, dyscypliny duchowe miały tendencję do traktowania psychologii jak nieistotnej przeszkody na drodze do duchowego przebudzenia się. Tutaj [w transpersonalnej psychologii] te dwa pozornie rozbieżne podejścia do ulżenia ludzkiemu cierpieniu są postrzegane jako uzupełniające się i wzajemnie od siebie zależne aspekty uzdrawiania i podróży do osiągnięcia pełni.” (17)

Frances Vaughan i Roger Walsh, współredaktorzy antologii zatytułowanej *Paths Beyond Ego: The Transpersonal Vision* (Ścieżki poza ego: transpersonalna wizja) (J.P. Tarcher), są oboje uważani za wiodące postaci w tym, co się czasami nazywa „czwartą siłą” nowoczesnej psychologii (po psychoanalizie Freuda, behawioryzmie i psychologii humanistycznej). Para ta, którą łączy nie tylko małżeństwo, ale i zawodowe zainteresowania, nie jest jednak zgodna co do niektórych subtelniejszych aspektów psychologii transpersonalnej. Jednym z nich jest to, czy Kurs Cudów jest sam w sobie psychoterapią.

„Kurs jest wyraźnie pomyślany tak, by wywierać wpływ nie tylko na psychologiczne uzdrowienie, ale także na duchowe dojrzewanie na poziomie wyższym niż te, do których zmierza większość psychoterapii” mówi Walsh. „Można by powiedzieć, że główny akcent jest położony na element poznawczy, co znaczy, że jego nauki przychodzą do nas zapisane w księgach i słowach, ale zawiera on również silny element relacyjny, element służby, element *bhakti* [drogi zbawienia] - zawiera on bowiem te wszystkie strategie. Jest to zatem jedna z istniejących obecnie terapii mających największy zakres”.

„Mam inne zdanie na ten temat” mówi Vaughan. „W jungowskim sensie, w którym ‘wszystkie religie są terapiami duszy’, powiedziałabym, że Kurs można zakwalifikować do terapii. Ale psychoterapia to dla mnie coś, co opiera się na relacji dwojga ludzi. Z takiego punktu widzenia Kurs jest skuteczną metodą samorozwoju, ale nie psychoterapią. Tak samo, chociaż w Kursie często mówi się o tym, by uwolnić się od przeszłości, nie ma żadnych wskazówek, ‘jak to zrobić’. Myślę, że my psychoterapeuci zajmujemy się w szczególności tym, o czym Kurs mówi ogólnie”.

„Kurczowe trzymanie się poczucia winy, chronienie się w jego objęcia, jego kochającą i czujną obronę - wszystko to jest tylko posępną odmową przebaczenia. ‘Bóg nie ma tu wstępu’ powtarzają nieustannie chorzy, i oplakują swoją stratę, a jednocześnie czerpią z niej satysfakcję. Uzdrowienie ma miejsce wtedy, gdy pacjent zaczyna słyszeć pieśni żałobne, które śpiewa i zaczyna kwestionować ich prawomocność. Dopóki ich nie usłyszy, nie będzie w stanie zrozumieć, że śpiewa je sam sobie. Usłyszenie ich jest pierwszym krokiem do uzdrowienia. Zakwestionowanie ich musi stać się zatem jego wyborem”. (18) O ile w terapii prowadzonej przez Frances Vaughan widoczne są liczne wpływy, w jej słowach pobrzmiwa echo zasad przedstawionych w *Psychotherapy*. Patrzy ona inaczej na proces terapii. Zamiast klasycznej „transferencji” w psychoanalizie - procesu, w którym pacjentowi pozwala się, a nawet wręcz go zachęca do uzależnienia się od terapeuty, co przypomina trochę relację rodzic - dziecko - wolałaby coś, „co klient i ja robimy razem, wzajemne odkrywanie się, dzięki któremu można zobaczyć, co w każdym konkretnym przypadku wymaga uzdrowienia. Dla mnie ważne jest szczere porozumienie z tą osobą i taka przy niej obecność i transparentność, jak to tylko możliwe. Ja nie robię nic klientowi, to znaczy, nie stosuję żadnych psychologicznych sztuczek czy technik. Staram się tylko umożliwić, by zaszło między nami coś, co pozwala ludziom zmieniać się, rozwijać i uzdrawiać.”

„Idealna psychoterapia jest serią świętych spotkań, podczas których bracia spotykają się po to, by przekazać sobie nawzajem błogosławieństwo i otrzymać spokój Boga. I któregoś dnia stanie się tak z każdym ‘pacjentem’ chodzącym po tej ziemi, gdyż kto poza pacjentem, mógłby na nią przyjść? Terapeuta jest jedynie trochę bardziej wyspecjalizowanym nauczycielem Boga. Uczy się poprzez nauczanie i im bardziej jest

zaawansowany, tym więcej uczy innych i siebie. Ale bez względu na to, na jakim etapie się właśnie znajduje, są pacjenci, którzy go potrzebują takiego, jakim jest. Nie mogą wziąć od niego więcej, niż on jest w stanie obecnie dać. A oboje w końcu odnajdą zdrowie psychiczne”. (19)

Czy Frances Vaughan kiedykolwiek otwarcie zapoznaje swych klientów z ideą „wewnętrznego przewodnictwa” lub wyraźnie rekomenduje duchowe dyscypliny takie jak Kurs? „Nie wprowadzam duchowości, o ile ludzie mnie o to nie proszą, albo sami nie podejmą tego wątku” odpowiada. „Przede wszystkim staram się słuchać. Jako terapeutka prawie nie przejmuję inicjatywy, robię to natomiast wtedy, kiedy piszę książki lub prowadzę wykłady. Ale w terapii indywidualnej pozwalam, by klient prowadził, to znaczy, żeby powiedział mi, czego potrzebuje. Jeśli chodzi o Kurs, mogę zaspokoić czyjąś ciekawość na jego temat, to znaczy odpowiedzieć na pytania, ale nie polecałabym go nikomu, kto nie wyraziłby nim zainteresowania. Jak mawiał Bill Thetford, to nie jest kurs dla każdego”.

„Pacjent nie musi myśleć o prawdzie jako o Bogu po to, żeby pójść do przodu na drodze do zbawienia. Ale musi zacząć oddzielać prawdę od iluzji, widzieć, że nie są tym samym i coraz bardziej pragnąć zrozumieć, że iluzje są fałszem, a prawda prawdą. Jego Nauczyciel poprowadzi go tak daleko, jak uczeń będzie gotów iść. Psychoterapia może mu tylko zaoszczędzić czasu. Duch Święty używa czasu jak uważa, że jest najlepiej, a On nigdy się nie myli. Psychoterapia pod Jego kierunkiem jest jednym ze sposobów, jakich używa, by zaoszczędzić czas i przygotować dodatkowych nauczycieli do Jego pracy. Nie ma końca pomocy, którą On zaczyna i którą On kieruje. Bez względu na to, jaką drogę wybierze, psychoterapia zawsze w końcu prowadzi do Boga. Ale to zależy tylko od Niego. Wszyscy jesteśmy Jego psychoterapeutami, ponieważ On chce, byśmy wszyscy zostali w Nim uzdrowieni”. (20)

„Myśl zawarta w Kursie, którą uważam za najużyteczniejszą w psychoterapii, brzmi ‘Niech wszystko będzie dokładnie takie, jakie jest’”, (21) uważa Vaughan. „Fritz Perls mawiał, że największą przeszkodą zmiany jest chęć zmiany. Tak długo, jak starasz się dopasować rzeczywistość do swojego wyobrażenia o tym, jak świat powinien wyglądać, masz niezliczoną ilość problemów. Celem psychoterapii jest przede wszystkim to, byś zaakceptował rzeczy takimi, jakie są. Jak mówi Modlitwa o Spokój (Serenity Prayer): akceptować to, czego nie możesz zmienić i starać się zmienić to, co możesz. A możesz zmienić swoje poczucie oddzielenia, zmienisz je uświadamiając sobie, że nie jesteś oddzielony od Boga.”

„Ale są bardzo różne koncepcje Boga. Nie próbuję narzucić ludziom żadnej wiary ani mówić im, co jest złe. Nauczyciel duchowy może powiedzieć: ‘Tak się sprawy mają’, ale psychoterapeuta zapyta: ‘jak się mają twoje sprawy?’ Łącząc się z klientką jestem w stanie pomóc jej zobaczyć rzeczy inaczej, zmienić to, co może zmienić i zaakceptować to, czego nie może zmienić. Nasza praca zmierza ku przebaczeniu samemu sobie. Kiedy klienci zaczynają leczyć własne poczucie winy, mogą wtedy wobec innych stać się bardziej współczujący, kochający i wybaczący”.

„Nikt, kto uczy się przebaczać, nie może zapomnieć o Bogu. Wszystkiego czego trzeba zatem nauczać jest przebaczenie, bo tylko tego trzeba się nauczyć. Wszystko to, co blokuje nam pamięć o Bogu to różne formy niewybaczenia, nic innego. Pacjent nigdy tego nie rozumie, a terapeuta bardzo rzadko. Świat zgromadził wszystkie swoje siły przeciw świadomości tej jednej jedynej prawdy, bo w niej leży koniec świata i tego, co on sobą reprezentuje.” (22)

Ponieważ Kurs Cudów bezkompromisowo łączy przebaczenie z radykalną zmianą percepcji, czy za jego studia nie powinny się zabierać tylko osoby mające za sobą pewne doświadczenia z psychoterapią?



„Nie chcę powiedzieć, że są ludzie, którzy nie powinni pracować z Kursem” odpowiada Frances Vaughan, „ale na pewno myślę, że psychoterapia w tym pomaga. Często mówi się, że przed przystąpieniem do dowolnej duchowej praktyki lepiej jest mieć silne ego, bo musisz najpierw być kimś, żeby nauczyć się być nikim. I na pewno lepiej jest mieć już za sobą proces rozwoju i dojrzenia, bo wtedy nie kusi cię „duchowy objazd”, który może zaciemnić nierozwiązane problemy psychologiczne”.

Roger Walsh dodaje, że badania w zakresie psychoterapii dowodzą, iż „największe korzyści odnoszą z niej ludzie, którym jest najmniej potrzebna. Można powiedzieć, że to samo odnosi się do praktyki duchowej. Im więcej umiejętności i dojrzałości w nią wniesiesz, tym większe jest prawdopodobieństwo, że z niej skorzystasz, chociaż to wydaje się trochę niesprawiedliwe.”

„Ale bardzo trudno przewidzieć, jakie postępy będą ludzie robili” zastanawia się Walsh. „Bill Thetford zawsze mówił, że jest zdumiony, że tak wiele ludzi tak skorzystało z Kursu, gdyż na wstępie zakładał, że Kurs jest zbyt intelektualny, by przemawiać do mas. Był zaskoczony widząc stosunkowo słabo wykształconych ludzi, którym Kurs świetnie służył, czasami lepiej niż studentom z silniejszym zapleczem intelektualnym czy psychologicznym”.

Frances Vaughan konkluduje, że Kurs działa w przypadku tak wielu ludzi, ponieważ, bez względu na język, czy trudności, „naprawdę pomaga ludziom zmniejszyć strach, poczucie winy i gniew, a zwiększa ich doświadczanie spokoju, miłości i radości. Nie spotkałam się z nikim w żadnej kulturze, kto by nie chciał móc dawać i otrzymywać więcej miłości. Kurs jest po prostu skuteczną drogą do tego”.

„Nikt nie jest uzdrowiony sam. Jest to radosna pieśń, którą zbawienie śpiewa dla wszystkich, którzy słyszą jego Głos. Ci, którzy się mają za terapeutów, nigdy nie mogą o tym nie pamiętać. Ich pacjenci mogą być uważani za dawców przebaczenia, ponieważ to oni przyszli zademonstrować swoją bezgrzeszność w oczach tych, którzy stale wierzą, że grzech jest. A ten dowód bezgrzeszności, widziany w pacjencie i akceptowany w terapii, oferuje umysłowi jednego i drugiego miejsce, w którym się spotykają, łączą i stają jednym”. (23)

## **Rozdział 7**

### **Dlaczego Kurs nie jest chrześcijański - czy może jest?**

Mocno schryścianizowany język Kursu Cudów, który często odwołuje się do Boga Ojca, Syna Bożego i Ducha Świętego, jest powodem poważnych nieporozumień co do jego przesłania i orientacji. Przypadkowi czytelnicy i krytycy, którzy prześlizgnęli się tylko po wierzchu, mylnie biorą Kurs za współcześnie zredagowaną wersję tradycyjnej chrześcijańskiej teologii. I na pewno niektórzy nowi adepci zadowoleni zanosili Kurs do kościoła tylko po to, żeby przekonać się, że jest on mniej niż ciepło przyjmowany przez kapłanów.

Powierzchnowe podobieństwo języka Kursu do prozy biblijnej traci natychmiast znaczenie, gdy natrafia się na zdania, których sens jest całkowitą odwrotnością współczesnej myśli chrześcijańskiej. Jeśli doda się do tego fakt, że głos, który wysuwa te niezwykle sugestie, twierdzi, że jest samym Jezusem Chrystusem, przestanie dziwić, że każdego tradycyjnego chrześcijanina, który postanawia dokładnie przyjrzeć się tej grubej niebieskiej księżce, drukowanej zazwyczaj na dobrze znanym cienkim „bibijnym” papierze, czeka przykra niespodzianka. Porównajmy na przykład przesłanie ze znanego wersu Biblii, którego uczyły się na pamięć całe pokolenia uczniów szkółek niedzielnych. z tym, co mówi Kurs Cudów na ten sam temat:

„Bóg tak umiłował świat, że dał mu swego jedyne Syna i ktokolwiek uwierzy w niego, nie umrze, ale żyć będzie wiecznie”.

Jan 3:16

„Nie zaznacie pokoju, dopóki nie usuniecie gwoździ z dłoni Syna Bożego i nie wyjmiecie ostatniego ciernia z Jego czoła. Miłość Boga otacza Jego Syna, którego bóg ukrzyżowania potępia. Nie uczcie, że umarłem na próżno. Uczcie raczej, że nie umarłem, pokazując, że żyję w was. Bowiem zniweczenie ukrzyżowania Syna Bożego jest dziełem odkupienia, w którym każdy ma udział tak samo cenny. Bóg nie osądza swego Syna bez winy. Dawszy Mu Siebie samego, jakżeby mógł inaczej?”

Kurs Cudów : T-11.VI.7:1-7

Te twierdzenia Jezusa z Kursu, że „nie umarł” i że każdy ma taki sam udział w „zniweczeniu” ukrzyżowania, są tylko dwoma z wielu zaskakujących teologicznych odstępstw Kursu od biblijnej ortodoksji. Mówiąc słowami Jona Mundy’ego ”W wielu momentach Kurs nie porusza się w tradycyjnym chrześcijańskim kontekście. Kurs mówi, że nie ma piekła ani szatana. Cała koncepcja zadośćuczynienia jest inna. Wszystko o krzyżu i zmartwychwstaniu jest inne. To po prostu nie jest tradycyjne chrześcijaństwo”. Jednak to wszystko nie powstrzymało Mundy’ego przed przymiarką do Kursu. Od 1975 roku kiedy zetknął się z Kursem, do 1989 kiedy to definitywnie rozstał się z amboną metodystów, Mundy próbował podzielić się nową nauką Kursu ze swoimi wiernymi. „To trwało bardzo długo” wspomina „i bardzo aktywnie przekazywałem naukę Kursu z ambony. Wcale nie kryłem, skąd pochodzą moje informacje. Mówiłem o tym całkiem otwarcie.” Ale koniec eksperymentu Mundy’ego z przekazywaniem Kursu w kościele chrześcijańskim, nie był wcale spowodowany dostrzeżeniem, że te dwie perspektywy są nie do pogodzenia. „Do mojego kościoła przenieśli się po prostu jacyś fundamentaliści i zdali sobie sprawę, że nie mówię ich językiem. I to był koniec”.

Dla ewangelickich krytyków Kursu Cudów, dwóch z nich zacytuję dalej w tym rozdziale, taki obrót spraw na pewno wydaje się sprawiedliwy i satysfakcjonujący. W przyszłości fundamentaliści będą mieli najprawdopodobniej znacznie więcej możliwości, żeby usunąć z ławek i ambon kościołów głównego nurtu chrześcijaństwa wkraczający tam Kurs. Ale każda ewangelicka krucjata przeciw wyznawcom Kursu tocząca się na gruncie chrześcijaństwa, będzie musiała wziąć pod uwagę nieoczekiwanego sprzymierzeńca. Bowiem „rewolwerowiec” ruchu Kursu, jak jeden z krytyków ewangelickich nazwał doktora Kennetha Wapnicka, też wcale nie uważa, że miejsce Kursu jest w Kościele.

### **Uwagi z dżentelmeńskiej dyskusji**

W 1989 roku Wapnick i ojciec W. Norris Clarke, jezuicki ksiądz i filozof, zasiedli wspólnie do długiej, grzecznej rozmowy na temat doktrynalnych różnic pomiędzy Kursem a biblijnym chrześcijaństwem. Clarke, który, jak Wapnick przyznaje, ma „wolne od uprzedzeń i nie osądzające podejście do nauk nie-katolickich” (1), przed przejściem na emeryturę w roku 1985, spędził trzydzieści jeden lat jako profesor filozofii w Fordham University, był również założycielem i przez ponad dwadzieścia lat redaktorem pisma *International Philosophical Quarterly*. Clarke, wieloletni przyjaciel Wapnicka, wystąpił również w dokumentalnym filmie z 1987 r. pt. *The Story of A Course in Miracles* (Historia Kursu Cudów), w którym wyjaśniał najistotniejsze różnice między Kursem a Biblią.

Ich dyskusja z 1989 roku została nagrana na kasetę wideo; Fundacja Kursu Cudów miała ją rozpowszechnić, ale z powodu problemu natury technicznej nie dało się jej kopiować, więc Wapnick opublikował zapis tej rozmowy w 1989 roku w stustronicowej książce wydanej przez FACIM. *A Course in Miracles and Christianity: A Dialogue* (Kurs Cudów a chrześcijaństwo: dialog) stanowi intrygującą debatę między łagodnym starszym księdzem katolickim - który wygląda na zdeorientowanego innością tej radykalnej nowej nauki - a elokwentnym heretykiem, o równie wytwornym tonie, który przy tym jest tak pewny siebie, jak tego można by oczekiwać od „rewolwerowca”.

We wstępie do *Dialogue* Wapnick nakreśla cztery najważniejsze różnice tematyczne pomiędzy Biblią a Kurs Cudów :

- 1) Kurs Cudów naucza, że Bóg nie stworzył fizycznego świata, który obejmuje całą materię, formę i ciało; Biblia twierdzi, że Bóg stworzył materialny świat.
- 2) Bóg z Kursu Cudów nie wie nic o grzechu oddzielenia (ponieważ gdyby wiedział o nim, stałby się on realny), ani nań nie reaguje; Bóg z Biblii widzi wyraźnie grzech i Jego reakcje nań bywają gwałtowne, dramatyczne, czasem, mówiąc delikatnie, karcące.
- 3) Jezus w Kursie Cudów jest równy wszystkim, jest częścią jedyne Syna Bożego lub Chrystusem; w Biblii Jezus jest traktowany jako ktoś szczególny, odrębny, a zatem różniący się ontologicznie od wszystkich, gdyż jest jedynym Synem Bożym, drugą osobą z Trójcy Świętej.
- 4) Jezus w Kursie Cudów nie jest zesłany przez Boga po to, by cierpieć i umrzeć na krzyżu w akcie odkupienia za grzechy, ale naucza, że nie ma grzechu, pokazując, że w rzeczywistości nic mu się złego nie stało, ponieważ grzech nie wywiera wpływu na miłość Boga; Jezus z Biblii zadręcza się, cierpi i umiera za grzechy świata w akcie, który przynosi pośrednio doznawane zbawienie ludzkości, uznaje tym samym grzech i śmierć za realne, a co więcej, wyraźnie odzwierciedla, że grzech Adama dotyka jednak Boga, który musi zareagować na rzeczywistą obecność grzechu w świecie poświęcając swego umiłowanego Syna". (2)

Konkludując krótko, że „w żaden sposób” nie da się pogodzić teologii biblijnej z teologią Kursu, Wapnick przyznaje, że „nieustająco wprawia mnie w zdumienie... przyglądanie się, jak często takie próby pogodzenia są czynione”. (3) Zatem Wapnick będąc jak najdalej od próby podczepienia Kursu pod chrześcijańskie instytucje o ustalonej renomie i szerokim zasięgu, wyraźnie mówi, że jeśli chodzi o niego, to on będzie się na pewno starał, żeby Kurs przecierał swoje własne szlaki.

*Dialogue* przedstawia dyskusję między Clarke’iem a Wapnickiem na temat licznych konkretnych problemów, takich jak początek świata, natura Jezusa, znaczenie Eucharystii i różnic, jakie występują między Kursem a chrześcijaństwem w ujmowaniu wyzwań codziennego życia. Dwa z nich streszczone są dalej.

Pierwszym problemem jest problem zła, za który Kurs jest przez wszystkich ostro potępiany. W zbiorze wykładów zatytułowanym *Further Along the Road Less Traveled* (Dalej drogą mniej uczęszczaną) M. Scott Peck, szanowany psychoterapeuta chrześcijański cytuje Kurs jako „bardzo dobrą książkę, niezwykle mądrą z psychiatrycznego punktu widzenia”, a zarazem atakuje ją jako duchową „pół-prawdę”, która nie umie radzić sobie z problemem zła. (4) (Peck, który jest obecnie na emeryturze, odmówił szerszego skomentowania swoich uwag do tej książki).

W *Dialogue* Clarke i Wapnick objaśniają następująco ujęcie zła w Biblii i Kursie: Clarke: Bądźmy całkiem uczciwi. Problem zła jest istotnie przepełniony tajemnicą, którą trudno objąć ludzkim ograniczonym umysłem, którego nie możemy rozgryźć ograniczonym widzeniem historii świata i tego, co Bóg planuje dla nas po śmierci. Ale myślę, że wiara chrześcijańska może rzucić na ten problem trochę światła. Po pierwsze, zło moralne świata wywodzące się z wolnych złych moralnych decyzji istot ludzkich i ich konsekwencje takie jak nienawiść, egoizm, wyzysk innych itp. są wyłącznie naszą odpowiedzialnością, nie są wcale spowodowane przez Boga, który pozwala na nie tylko dlatego, żeby nie pozbawiać nas wolności i możliwości czynienia także dobra. Miłość i przysługi ofiarowane dobrowolnie przez ludzi są dobrem tak wielkim, że Bóg jest gotów zaryzykować, że mając wolną wolę wybierzemy zło a nie dobro...

Jest w tym jeszcze jedna tajemnica, którą, jak sądzę, doświadczenie ludzkie potwierdza nam wszystkim, którzy żyjemy już dość długo, że duchy mające ciała tak jak my, z jakiegoś powodu nie mogą osiągnąć pełnej głębi i bogactwa charakteru, o ile nie zostaną

poddane próbom, oczyszczeniu i transformacji, jakie daje cierpienie. W tym leży tajemnica Krzyża i męki samego Jezusa...

Wapnick: ... W kategoriach stworzenia, w widzeniu rzeczywistości przez Kurs nie może być i dobra, i zła, ponieważ istnieje tylko jeden Bóg. Fenomen przeciwieństw istnieje tylko w iluzorycznym świecie percepcji i materii, którego Bóg nie stworzył. A jak mówi Kurs Cudów we Wprowadzeniu do tekstu: „Przeciwieństwem miłości jest strach, ale coś, co obejmuje wszystko, nie może mieć przeciwieństwa”. Zatem nie-dualistycznym Bogiem stworzenia z Kursu jest tylko Miłość, co znaczy, że zło nie istnieje, ponieważ nie może istnieć nic poza Miłością Boga.

Jednakże zło, które w Kursie Cudów odpowiada wierze w grzech i oddzielenie od naszego źródła - Boga - z pewnością istnieje w dualistycznym, post-separacyjnym świecie snów. Ale skoro wszystko to dzieje się wyłącznie w ramach wspólnych i indywidualnych snów świata, grzech i zło nie mogą istnieć i nie istnieją w rzeczywistości, ponieważ tylko błędna myśl zrodzona w śniącym umyśle jest przekonana, że może mieć swoją wolę przeciwną Woli Boga i spowodować zaistnienie świata wielości. Zatem w swym gorączkowym śnie o grzechu, Syn naprawdę wierzy, że zniszczył jedność Rzeczywistości, który to czyn osądza jako zły i zasługujący tylko na karę”. (5)

Zatem o ile Clarke i Wapnick zgadzają się, że zło ma miejsce w codziennym świecie, ich różna perspektywa sprawia, że mają różne poglądy na temat jego ostatecznej natury. A co można zrobić ze złem? W zależności od tego, czy ma się do czynienia z konserwatywną czy liberalną odnogą chrześcijaństwa, Bóg grzesznikowi wybacza lub go karze za to, że z wolnej woli wybrał zło. Grzesznik na pewno ryzykuje karę, łącznie z życiem wiecznym w piekle, jeśli nie wyrazi skruchy. Według Kursu, żeby przebudzić się ze snu, w którym zło (nie wspominając już o czasie, przestrzeni i materii) wydaje się być prawdziwe, każdy musi uczyć się przyjmowania i udzielania przebaczenia. (Warto zauważyć, że według Kursu jedynym piekłem jest piekło, które nieustannie sobie stwarza ego nie znające przebaczenie: koszmar senny o oddzieleniu od Boga, chociaż jest to koszmar przyprawiony taką dozą przyjemności i doczesnej miłości, żeby większość ludzi pozostawała od niego uzależniona).

Temat Eucharystii poruszony w dyskusji w *Dialogue*, odkrywa z kolei podstawową różnicę między Kursem a chrześcijaństwem (a szczególnie rzymskim katolicyzmem), jeśli chodzi o znaczenie symboliki i rytuałów:

Clarke: Zgodnie z tą doktryną, której tradycje sięgają do najwcześniejszych dni kościoła chrześcijańskiego, liturgia eucharystyczna jest powtórnym odegraniem w symbolicznej formie oryginalnej odkupieniowej ofiary Jezusa, jest naśladowaniem zachowania Jezusa podczas Ostatniej Wieczerzy, kiedy prosił uczniów, by czynili to na jego pamiątkę. Ma to miejsce wtedy, kiedy wyświęcony kapłan, przemawiając w imieniu Chrystusa Najwyższego Kapłana wiecznie żywego teraz jako zmartwychwstałego i obecnego w każdej mszy wypowiada naśladowując Jezusa „słowa poświęcenia”, które naprawdę i rzeczywiście przekształcają wewnętrzną rzeczywistość chleba i wina w ciało i krew Chrystusa, ale są ukryte pod zasłoną tajemnicy pod postaciami chleba i wina... Zatem podczas Komunii, która następuje zaraz potem, wierni przyjmują ciało i krew ukrzyżowanego a teraz zmartwychwstałego Chrystusa pod postacią chleba i wina, wyrażając tym posłuszeństwo wobec przykazania Jezusa: „Dopóki nie będziesz jadł mego ciała i pił mojej krwi, nie będziesz mieć w sobie życia...” (Jan 6:53)...

Wapnick: Z punktu widzenia Kursu Cudów poszukiwanie zbawienia poza samym sobą jest główną cechą wyjątkowości... Wyjątkowy związek miłości to taki, kiedy jesteśmy przekonani, że jakaś osoba czy jakiś obiekt znajdujące się poza nami ma to coś, czego nam brak: zdolność do dania nam szczęścia i spokoju lub zdolność do zbawienia nas. I tak dążymy do przejęcia tych wyjątkowych osób lub rzeczy i przejęcia na własność ich świętości lub mocy, w ten sposób dopełniamy naszą niekompletność czymś spoza nas, co



tak naprawdę nie jest nasze własne. W tym sensie, wyjątkowy związek mógłby zachodzić, bez względu na to, czy ktoś bierze pod uwagę obiekt miłości, jedzenie, alkohol czy ciało Chrystusa. Zatem słuchając głosu wyjątkowości, uwierzmy, że brakuje nam świętości i niewinności Chrystusa, naszego prawdziwego Ja, ale Jezus ma to, czego my nie mamy. Zatem jeśli mamy to mieć, musimy to dostać od niego poprzez wzięcie udziału w sakramencie eucharystii, procesie, który tylko wzmacnia ten brak, ale go nie likwiduje ani nie uzdrawia.

... Jezus nie różni się od nas, on raczej wzywa nas do tego, byśmy wybrali tak jak on, ale przez połączenie się z jego umysłem a nie ciałem. Zatem z punktu widzenia Kursu nie ma sensu, żeby Jezus dzielił się z nami w komunii swym iluzorycznym ciałem”. (6)

Trzeba dodać, że Kurs zajmuje podobne stanowisko wobec wszystkich rytuałów, bez względu na to, czy są one chrześcijańskie, buddyjskie, islamskie czy New Age. „Twoje prawo do cudów nie bierze się z iluzji, jakie masz co do siebie. Nie jest uzależnione od żadnych magicznych mocy, które sobie przypisujesz ani od rytuałów, które wymyślasz. Jest ono nierozdzielnie związane z prawdą o tym, kim jesteś”. (7) Zatem Kurs Cudów zajmuje stanowisko, które różni się od powszechnych wierzeń religijnych, a mianowicie, że żaden rytuał ani praktyka duchowa nie mają znaczenia same w sobie, ich wartość można zmierzyć wyłącznie tym, czy pomagają temu, który je praktykuje zmienić zdanie na temat rzeczywistości.

Pomimo licznych doktrynalnych różnic, jakie odnotowali, Ojciec Clarke i Ken Wapnick kończą dialog nutą religijnego braterstwa:

Clarke: Jak Jezus powiedział, Przyszedłem, żebyście mogli mieć pokój, przyszedłem, żeby dać wam mój pokój.

Wapnick: Jezus z Kurs Cudów na pewno mógłby powiedzieć to samo.

Clarke: Różnimy się więc w wielu kwestiach, ale w wielu innych jesteśmy zgodni. Na zakończenie chciałbym zacytować jeszcze raz słowa Charlesa Morgana, powieściopisarza: „Nie ma bardziej magicznej niespodzianki niż to, że jest się kochanym; to tak, jakby Bóg dotknął palcem twego ramienia”.

Wapnick: Piękne słowa. Jeśli mógłbym coś jeszcze dodać a propos: Kurs Cudów powiedziałby, że nie ma większej radości na świecie niż radość ze świadomości, że wszystko zostało przebaczone i że przebaczenie może wziąć się tylko z doświadczenia Miłości Bożej za pośrednictwem Jezusa lub Ducha Świętego”. (8)

Gdyby ta przyjazna rozmowa między łagodnym księdzem a duchowym psychologiem naprawdę była podsumowaniem schizmy między Kursem a współczesnym chrześcijaństwem, to cała ta dyskusja byłaby niepotrzebna. Ale Kurs Cudów zwrócił na siebie uwagę paru krytyków chrześcijańskich zdecydowanie mniej liberalnych od ojca Clarke’a. A gdy tylko Kurs przyciągał *ich* uwagę, jego „rewolwerowiec” otwierał ogień.

### **Zdemaskowanie „Jezusa z Kursu”**

Spiritual Counterfeits Project (SCP -Program [wykrywania] duchowych fałszerstw] jest organizacją, której zmaterializowanie się trudno byłoby sobie wyobrazić gdziekolwiek poza jej politycznie kontrowersyjną bazą w Berkeley w Kalifornii. SCP stanowi wyraz tego, co można by nazwać „kontr-kontrkulturą”, w jego skład wchozą głównie ewangelicy, których łączy wspólna przeszłość - znajomość lub nawet bezpośrednie doświadczenia z religiami Wschodu lub duchowością New Age, którzy powrócili do Biblii jako jedynego kryterium prawdy.

SCP wysłał do swojego kręgu pierwsze ostrzegawcze sygnały na temat Kursu Cudów w biuletynie z czerwca/lipca 1981 roku, w którym Frances Adeney zauważa, że Kurs dokonuje pewnych „zamachów” na kościół chrześcijański, podając jako przykład między innymi występ Jerry’ego Jampolsky’ego w telewizyjnym programie ewangelika Roberta Schullea *Hour of Power*. „Nowa ‘zrób-to-sam’ duchowość dr Schucman nie jest niczym

nowym” komentuje Adeney. „Hinduiści od wieków mówią, że ten świat jest iluzją, że wszystko jest jednością i że ucieka się od bólu negując jego rzeczywistość... ‘Głos’, który przemawia z tych tomów może lub nie być głosem Helen Schucman. Z pewnością nie jest to głos Jezusa Chrystusa” (9) kończy Adeney.

Ale SCP dobrał się na poważnie do Kursu dopiero siedem lat później, kiedy jego pismo *Journal* zatytułowane „Spiritism: The Medium and the Message” (Spirytyzm: medium i przeszłość) poświęciło swoje strony na kilkanaście sążnistych artykułów na temat Kursu Cudów napisanych przez naukowca z SCP Deana C. Halversona. Są to między innymi długi wywiad z Kenem Wapnickiem, interpretacyjny esej zatytułowany „Seeing Yourself as Sinless” (Patrzenie na Siebie jak na istotę bez grzechu) i tabela porównująca fragmenty z Kursu z wersami z Biblii (zobacz strony ).

Halverson przystąpił do drobiazgowych badań Kursu, współpracował nawet w pewnym sensie z Wapnickiem na długo przedtem, zanim przeprowadził z nim wywiad. Wiele lat przed opublikowaniem swych artykułów w *Journal*, Halverson przesłał Wapnickowi rękopis z krytyką Kursu, którą Wapnick uznał za „zupełnie nietrafioną” w przedstawianiu zasad Kursu Cudów. Udzielił obszernej odpowiedzi, sugerując kilka punktów, gdzie, jak sądził, Halverson „mógłby w sposób uzasadniony skrytykować Kurs z perspektywy chrześcijańskiego fundamentalizmu. Dean w odpowiedzi napisał bardzo miły list zawierający kolejne pytania” wspomina Wapnick.

Halverson powiedział mi, że zapisał dwa zeszyty fragmentami Kursu, zanim przygotował wstępną wersję rękopisu, którą wysłał Wapnickowi, potem wziął udział w seminarium prowadzonym przez oboje Wapnicków i przeprowadził z nimi wywiad w czasie przerwy na lunch. Kiedy później stwierdził, że jego magnetofon nie działał, poprosił Kena o powtórzenie wywiadu, na co ten się zgodził i to ten wywiad ukazał się potem w *Journal*. Wydrukowana rozmowa była serdeczna i wydawało się, że Halverson jest głównie zainteresowany tym, żeby wyciągnąć z Wapnicka jak najwięcej informacji na temat zasad Kursu. W pewnym momencie zarzucił jednak Wapnickowi selektywny dobór cytatów z Biblii w książce *Forgiveness and Jesus*, (Przebaczenie i Jezus) która nosi podtytuł *The Meeting Place of A Course in Miracles and Christianity* (Miejsce, gdzie Kurs Cudów spotyka się z chrześcijaństwem). Po oskarżeniu Halversona, że Wapnick nie wspominał o tych fragmentach Biblii, które nie pasowały do jego koncepcji tego „miejsca styku” doszło do następującej wymiany zdań:

Wapnick: Ma pan absolutnie rację. Byłem selektywny w swojej książce. Wybierałem to, co mi się podobało. Wszystko to, co zgadza się z Kursem, przyjąłem za wartościowe, a cokolwiek się nie zgadzało, odrzucałem.

... Źródłem pewnych części Biblii jest Duch Święty. Innych - ego. Wszystkie fragmenty mówiące o karze lub piekle traktowałem jako te wywodzące się z ego. Wszystkie fragmenty mówiące o przebaczeniu, miłości, nierzeczywistości ciała itp. uznałem za słowa Ducha Świętego. Nie potraktowałem Biblii jako czegoś w całości prawdziwego albo w całości fałszywego. Powiedziałem: tutaj niektóre rzeczy zdają mi się prawdziwe, a tutaj - fałszywe.

Halverson: Dokonał pan powtórnej interpretacji?

Wapnick: Tak, to nie ulega kwestii. Właśnie to zrobiłem. (10)

W odpowiedzi na artykuły Halversona Wapnick napisał list, wydrukowany w kolejnym numerze *Journal*, w którym wyraża podziw dla Halversona za „szczerze próby uczciwego zaprezentowania materiału, z którym się tak zdecydowanie nie zgadza”. (11) Pomimo wszystkich różnic zdań, Wapnick i Halverson zdają się darzyć wzajemnie głębokim szacunkiem; chrześcijański pisarz przedstawiał mi wydawcę Kursu jako „bardzo eleganckiego człowieka. On i ja bardzo szybko doszliśmy do porozumienia”. Wapnick wspomina Halversona jako „bardzo miłego, poważnego, łagodnego mężczyznę, wcale nie takiego, jakiego bym oczekiwał w Spiritual Counterfeits Project”.



Ale zarzuty stawiane przez Halversona samemu Kursowi nie były już wcale tak łagodne. W zakończeniu artykułu „Seeing Yourself as Sinless” Halverson sugeruje, że spojrzenie Kursu na rzeczywistość, grzech i odkupienie ma niebezpieczne skazy:

„Grzech, według Kursu, jest to fałszywa wiara w oddzielenie, które jest nieprawdziwe. To właśnie z tego fałszywego przekonania wynika świat fizyczny. Również z tego samego fałszywego przekonania wynika jednostkowość osoby. Ponieważ być osobą to to samo, co być jednostką, odrębną i odróżniającą się od innych i od Boga. Uznając oddzielenie za iluzoryczne, Kurs obala wartość zarówno świata fizycznego jak i jednostkowości osoby. Deklarując, że cała jednostkowość osoby jest nierzeczywista, Bóg z Kursu popełnia najsurowszą formę osądu...

Bóg z Biblii jednakże oferuje prawdziwą dobrą nowinę: nie tę, że zbawienie jest przywróconą więzią z bezosobowym Umysłem, ale że zbawienie jest przywróconą komunią z osobowym Bogiem. I tylko dlatego, że Bóg jest osobowy i odrębny, nasze istnienie jako odrębnych osób ma wartość i znaczenie...

Bóg z Biblii rozwiązał problem grzechu nie przez unicestwienie ale przez rekonyliację, nie przez wymazywanie oddzielenia, ale przez przywrócenie związku. W Kursie problem ten sprowadza się do percepcji, a rozwiązanie jest bezosobowe. W Biblii jest to problem relacji, a rozwiązanie interpersonalne. Pismo Święte zatem potwierdza wartość jednostkowości osoby. Biblijna rekonyliacja dąży do tego, by przywrócić i zachować wartość osoby.” (12)

Końcowa opinia Halversona na temat Kursu Cudów jest taka, że jego autorem nie był ani Jezus Chrystus, ani Helen Schucman:

„Dobra nowina z Kursu, gdy się jej bliżej przyjrzeć, okazuje się gorzka. Ale to nie powinno nikogo dziwić. Bowiem Jezus z Kursu nie jest Jezusem z Biblii, ale aniołem śmierci i ciemności przebrany za anioła życia i światła (2 Cor. 11:14)” (13)

### **Osobiste spotkanie**

Z Deanem Halversonem skontaktowałem się dwa lata po opublikowaniu jego artykułów przez SCP, gdy zbierałem materiały do swojego pierwszego artykułu na temat Kursu Cudów. W owym czasie był on pracownikiem International Students, Inc., ewangelickiej organizacji w Colorado Springs, gdzie mieszka do dzisiaj. Na samym początku naszej rozmowy przyznałem się Halversonowi, że Kursem jako społecznym zjawiskiem zajmuję się jako dziennikarz, ale również jestem jego adeptem. Cały czas bardzo się pilnowałem, żeby nie sprzeciwiać się jego stwierdzeniu, że Kurs Cudów jest wyszukaną oszukańczą strategią szatana. Moim jedynym celem było zweryfikowanie aktualności opublikowanych uwag Halversona. Wydawało mi się, że najlepiej zrobić to z chłodnym profesjonalizmem reportera, nie afiszującego się ze swoimi osobistymi reakcjami, po to żeby wydobyć maksimum informacji nie dając się przy tym wciągnąć w lepkie argumenty.

Jednak Halverson szykował się na mnie. Kiedy podziękowałem mu za poświęcony mi czas i pomoc, zapytał: „Chce pan powiedzieć, że to już wszystko?”

Odpowiedziałem, że tak, że zadałem mu wszystkie pytania i że w chwili obecnej nie potrzebuję więcej informacji. Na to on tonem który był jednocześnie w jakiś sposób i zaczepny, i życzliwy, zapytał: „To znaczy, że nie porozmawiamy o nim *naprawdę*?”

No więc porozmawialiśmy naprawdę i ta trwająca następnie dwie godziny, już znacznie bardziej osobista dyskusja, była momentami prawdziwie rzeczowa i poznawcza, a momentami znów irytująco kręciła się w kółko. Halverson, który nie życzył sobie, żebym go przedstawiał jako „fundamentalistę” ponieważ słowo to ma „anty-intelektualną konotację w popularnych środkach przekazu”, wracał raz po raz do Biblii jako normy, według której należy oceniać wszystkie idee i przekonania. Raz oskarżyłem go o tautologiczne myślenie:

„Powtarza pan że Biblia jest prawdziwa, dlatego, że jest prawdziwa”.

„Nie” zaprzeczył „jest prawdziwa, ponieważ pasuje do rzeczywistości”.  
 Ponieważ nie mogę przypisywać sobie istotnej wiedzy na temat Biblii, nie miałem skutecznego kontrargumentu, poza uwagą, że Biblia jest inspiracją dla bardzo różnych interpretacji i praktyk, które, razem wzięte, zdecydowanie nie odzwierciedlają całościowego i jednolitego obrazu rzeczywistości. Sam Halverson zgodził się z charakterystyką Chrześcijańskiej Nauki, Kościoła Współczesnych Świętych i Świadków Jehowy dokonanej przez SCP jako „ważnych religii”, które zniekształcają sens Pisma Świętego. Te zniekształcenia, zdaniem Halversona, wzięły się od chrześcijan, którzy błędnie interpretowali Słowo. Odpowiedziałem, że mam wrażenie, że przedstawiciele innych nurtów chrześcijaństwa mogliby to samo powiedzieć o jego spojrzeniu, pozostawiając niewinnego obserwatora bez odpowiedzi na pytanie Którym chrześcijanom mam wierzyć?

Dla mnie najbardziej odkrywczą była ta część naszej rozmowy, która dotyczyła etyczności Kursu Cudów. Zdumiało mnie jego zdanie, że osoba studiująca Kurs i osoba studiująca Biblię mogą na krótką metę podejmować podobne etyczne decyzje co do dylematów moralnych, ale że w dłuższej perspektywie student Kursu może zacząć błędzić, ponieważ wracając do fragmentu z Listu do Koryntian, który sparafrazował w swym artykule „Biblia mówi nam, że Szatan stanie przed nami przebrany jako anioł światła”. Zaprzeczyłem podpierając się sugestią z Kursu, że istnieją tylko dwa uczucia - miłość i strach - i że jedno z nich jest niepotrzebne i iluzoryczne.

„Czy zechce Pan rozważyć możliwość, że w ostateczności ‘nie ma się czego lękać’” (14) zapytałem.

Jego odpowiedź była poważnym ostrzeżeniem przed przedstawicielem zła, który, jak wierzy, porusza się swobodnie po naszym świecie. „A czy Pan zechce rozważyć możliwość, że z pewnością jest się czego lękać?”

### **Analiza Kursu**

(kompilacja Deana C.Halversona)

Kurs	Biblia
Bóg i świat	
Świat, który widzicie jest iluzją świata. niebo i ziemię.	Na początku Bóg stworzył
Bóg nie stworzył świata, ponieważ wszystko, co On tworzy, musi być wieczne jak On. C-4.1:1-2.	<i>Księga Rodzaju 1:1</i>
Jezus	
Nie ma we mnie [Jezusie] niczego takiego, czego wy byście nie mogli osiągnąć. T-1.II.3.:10	Na dźwięk imienia Jezusa powinno się zgiąć każde kolano ..... a każdy język wyznać, że Jezus Chrystus jest Panem. List do Filipian 2:10-11
Chrystus	
Chrystus czeka, byś Go zaakceptował jako siebie. T-11.IV.7:3	Jezus odpowiedział: „Uważajcie, by nikt was nie oszukał. Gdyż wielu przyjdzie w moim imieniu, twierdząc „Jestem Chrystusem” i oszuka wielu. Mateusz 24.4-5
Czy [Jezus] jest Chrystusem? O tak, tak samo jak wy. C-5.5:1-2	

[Jan Chrzciciel] nie wahał się  
wyznać: „Ja nie jestem Chrystusem”  
Jan 1:20

#### Zadośćuczynienie

Ja [Jezus] nie byłem „ukarany” za to, że  
jesteście źli. Wszystko, czego uczy nas łagodna  
lekcja Zadośćuczynienia, idzie na marne, jeśli  
jest zbrukane tego rodzaju wypaczeniami.  
T-3.1.2:10-11

To, czego się dowiedziałem [  
Paweł] przekazałem wam, jak rzecz  
największej wagi, że Chrystus umarł  
za nasze grzechy, jak głosi Pismo.  
1 List do Koryntian 15-3

#### Źródło zbawienia

Moja świętość jest moim zbawieniem. Ćwiczenia  
Lekcja nr 39  
Moje zbawienie wywodzi się ze mnie.  
Nie może przyjść znikąd inąd” W-pl.70.7.:3-

W nikim innym [poza Jezusem  
Chrystusem] nie znajdziemy zbawienia,  
ponieważ nie ma pod niebem żadnego  
innego imienia... w którym możemy  
być zbawieni Acts 4:10-12; por. Jan  
3:14; -19, 14:6

#### Przesłanie Ducha Świętego

Duch Święty rozwiewa [winę] przez spokojne  
uznanie, że nigdy jej nie było. T-13.I.11:4

Kiedy [Duch Święty] zstąpi, przekona  
świat o związku winy z grzechem. Jan  
16:8-9

#### Duchowa tożsamość ludzkości

Uznanie Boga jest uznaniem ciebie samego.  
Bóg nie jest oddzielony od Jego stworzenia.  
T-8.V.2:7-8  
Jesteś częścią Jego, Który jest mocą i chwałą,  
jesteś zatem tak samo nieskończony jak On.  
T-8.II.7:7  
nie

Zamienili prawdę o Bogu na kłamstwo  
i czcili i służyli stworzonym rzeczom, a  
nie Stwórcy. List do Rzymian 1:25

W pysze swego serca mówisz „Jestem  
bogiem...” Ale jesteś człowiekiem, a

bogiem. Ezechiel 28:2

#### Grzech

Wszystkie nasze grzechy znikają, gdy  
zrozumiemy, że są one tylko pomyłkami.  
W-pl.98.2:6  
...wszystkie twoje grzechy zostały wybaczone,  
bo nie miały żadnych skutków. I były one niczym  
innym jak snem. C-5.4:1-2

Jeśli twierdzimy, że jesteśmy bez  
grzechu, oszukujemy siebie i nie ma w  
nas prawdy.

Jeśli wyznają swoje grzechy, on jest  
wierny swemu słowu i sprawiedliwy i  
oczyści nas z wszelkiej nieprawości.

Jeśli twierdzimy, że nie

zgrzeszyliśmy,  
Nikt nie jest ukarany za grzechy, a Synowie  
kłamcą Boży nie są grzesznikami. T-6I.16  
miejsca na  
cf. List do  
do Efezjan

mówimy tym samym, że on jest  
i w naszym życiu nie ma  
jego słowo. Jan 1:8-10  
Rzymian 3:23; 6:23, List  
4:18

#### Potępienie

Potępiłeś siebie sam, ale potępienie nie pochodzi  
od Boga. Zatem nie może być prawdą.  
T-8.VII.15:4-5

Gniew Boży obraca się przeciw całej  
bezbożności i złości ludzi, którzy  
niszczą prawdę swą złością. List do  
Rzymian 1:12

## Koniec świata

Drugie Nadejście nie oznacza nic innego jak  
niebios w  
koniec rządów ego i uzdrowienie umysłu.  
T-4.IV.10:2

Kiedy Pan Jezus zstąpi z

płonącym ogniu ze swymi  
potężnymi pomocnikami [wtedy]  
ukarze wszystkich, którzy nie wierzą w  
Boga i nie są posłuszni słowu Jezusa  
naszego Pana.  
Drugi list do Tesjan 1:7-8.

Copyright 1987 by Spiritual Counterfeits Project. Fragmenty z SCP Journal vol. 7 nr 1, za zgodą SCP i Deana C. Halversona.

### **„Kurs jest bezużyteczny i wewnętrznie spreczny”**

Kiedy zbierałem materiały potrzebne mi do tej książki, jeszcze raz skontaktowałem się z Deanem Halversonem, żeby go zapytać, czy on lub ktokolwiek inny nie przeprowadził nowszych prac nad Kursem. Halverson skierował mnie do Donalda Dicksa, który prowadzi w Georgii duszpasterstwo pod nazwą Atlanta Christian Apologetics Project (Ośrodek Apologetyki Chrześcijańskiej w Atlancie). Słowo apologetyka jest teologicznym terminem oznaczającym „obronę wiary”. Dicks jest z wykształcenia sądowym toksykologiem, ma poza tym trzy stopnie master's w dziedzinie religii i filozofii, uczęszcza do Kościoła prezbiteriańskiego, ale określa się sam jako Południowy Baptysta. Nie opublikował żadnej krytyki Kursu, ale wypowiadał się na jego temat w Pierwszym Kościele Baptystów w Atlancie, na chrześcijańskich konferencjach dotyczących kultyzmu i przed innymi konserwatywnymi ewangelickimi grupami. Uważa, że Kurs nie jest szeroko znany w kręgach ewangelickich, ale jednak „na pewno wdziera się do liberalnego chrześcijaństwa - co zresztą uważam za oksymoron”. Dicks ma nadzieję, że kiedyś napisze książkę o Kursie Cudów, co by sugerowało, że spodziewa się, że w przyszłości wpływy Kursu się rozszerzą.

Dicks przedstawiając swoją krytykę jako opartą „bardziej na gruncie filozoficznym, mniej biblijnym” niż prace Halversona, definiuje „cztery filary”, na których opiera się roszczenie sobie przez Kurs prawa do prawdy: intuicyjna wiedza (odnosząca się do powstania Kursu Cudów za pośrednictwem channelingu); monizm (czyli brak dualizmu), idea braku uczciwości Biblii i Kościoła oraz ezoteryczna interpretacja Biblii.

„Możemy się tylko opierać na słowie Helen Schucman” mówi Dicks. „Ona powiedziała, że Kurs jest głosem Jezusa. Ale kim jest ten Jezus? To ma być jakoby Jezus z Biblii, ale to znaczyłoby, że Biblia mówi nieprawdę. Koncepcja ta pochodzi z liberalnej teologii, która przyjmuje anty-nadprzyrodzone stanowisko, kiedy zaczyna krytykować Biblię”.

Skąd Dicks wie, że Biblia jest nieomylna? „Można wykazać, że mówi prawdę poprzez analizę tekstu i obiektywne spojrzenie na rękopisy, które posiadamy.... Biblia udowodniła, że jest Słowem Bożym poprzez spełnione proroctwa, wiarygodność świadectwa i opowieści naocznych świadków”.

I przeciwnie, mówi dalej Dicks, „Kurs jest bezużyteczny i pełen sprzeczności. Nie jest ani konsekwentny, ani logiczny, mimo że Ken Wapnick może twierdzić, że jest inaczej.”

(Dicks studiował pisma Wapnicka tak samo jak sam Kurs; to on zgłosił się do Fundacji Wewnętrzny Spokoju, prosząc o kontakt z „rewolwerowcem” nauczania Kursu). Jako przykład niekonsekwencji i sprzeczności Kursu Dicks podaje ideę, że „Kurs patrzy na świat fizyczny jak na coś iluzorycznego, a przecież czytamy Kurs fizycznymi oczami i mamy w niego wierzyć. Z idei iluzoryczności świata fizycznego, która jest też obecna w hinduizmie i scjentyzmie - po prostu nic nie wynika. Czy złudzenie bólu nie jest tak samo prawdziwe jak sam ból?”

Jakby powtarzając krytykę Halversona, że Bóg w Kursie Cudów jest „bezosobowy”, Dicks dodaje, że „Bóg z Kursu Cudów nie wie, co się dzieje we śnie Syna Bożego, czyli o niczym, czego doświadczamy. Proszę porównać to Bogiem biblijnym, który wie, ile mamy włosów na głowie i który kocha nas tak bardzo, że zesłał swojego jedyne Syna, by ten umarł za nasze grzechy, który troszczy się o wszystko, o co my się troszczymy. Widoczny tu kontrast jest olbrzymi. Bóg z Kursu Cudów jest bez serca”.

Dicks uważa również, że Kurs nie jest dobry do czytania. „Biblia jest znacznie łatwiejsza. Jest jakaś narracja, coś się tam dzieje. Kurs jest bardziej eteryczny i trudniejszy do śledzenia, zwłaszcza tam, gdzie na nowo definiuje dobrze znane terminy. Zaczynasz wtedy drapać się w głowę i zadawać sobie pytanie „O czym on u licha mówi?” (Wielu studentów Kursu zgodziłoby się z nim w tym miejscu.)

Dicks, który wziął udział w sześciotygodniowym programie studiowania Kursu, jest także zdania, że ta nauka skłania studentów do rezygnacji z kwestionowania i stawiania pytań. „Jest tak, jakby trzeba było prosić o pozwolenie skrytykowania Kursu” skarży się Dicks. „To jest bardzo defensywne dzieło: mówi, że ego, które jest czymś złym, analizuje, podczas gdy Duch Święty akceptuje”. (15) Dicks mówi, że widział zastosowanie tej zasady w swej grupie studyjnej, kiedy jego pytania i wątpliwości były odrzucane przez prowadzącego. „Nauczyciel powiedział mi, że wszystkie pytania biorą się z ego. Kiedyś, gdy powiedziałem, że potrzebuję trochę czasu na sformułowanie myśli, on powiedział: ‘No tak, tylko ego potrzebuje czasu’ A on sam mówił przez pięć dwudziestopięciominutowych sesji!”

Wreszcie Dicks uważa, że Kurs wywodzi ludzi na manowce radząc im, by zagłębiali się w siebie i wsłuchiwali w głos Ducha Świętego. „To znaczy, że nie ma ostatecznego autorytetu” wskazuje. „Zatem mogę interpretować Kurs, tak jak mi się podoba. To jest to samo, co tworzenie własnej rzeczywistości w New Age. Nie widzę żadnej różnicy. No i nie widzę, jak można by żyć zgodnie z nim w naszym świecie. On po prostu nie jest życiowy. A historyczne ortodoksyjne chrześcijaństwo jest życiowe i jest prawdziwe”.

Kiedy zadaję Dicksowi pytanie, dlaczego Kurs stał się tak popularny mimo tych poważnych skaz, które ujawnił, zgadza się, że „musi być coś dobrego w tych wszystkich alternatywnych religiach, bez względu na to czy jakaś religia jest prawdziwa w całości, czy nie”. Kiedy pytam, czy zgodziłby się zatem ze zdaniem Halversona, że osoba studiująca Kurs, chociaż w dłuższej perspektywie czasu może błędzić, na krótką metę może postępować dobrze, chwilę milczy, a potem pyta chichocząc, „Na jak krótką?”

### **Uniwersalne doświadczenie?**

Anegdota o znanym psychologu głębi Carlu Jungu mówi, że kiedy przyjrzał się różnorodnemu polu badań naukowych i terapii, jakim dały początek jego pionierskie prace, powiedział: „Dzięki Bogu, że jestem Jungiem, a nie jungistą”. Jestem bardzo ciekawy, czy Jezus Chrystus mógłby powiedzieć to samo, gdyby pojawił się znów dzisiaj i ujrzął obszerny zbiór wierzeń, praktyk i niezaprzeczalnych wypaczeń, które wzięły początek z jego pierwotnych nauk, a teraz funkcjonują pod rozłożystym parasolem „chrześcijaństwa” - przy czym wiele z nich rości sobie pretensję do tego, że są jedyną prawdziwą interpretacją jego kredo.

„Chrześcijański to jedno z bardziej niejasnych słów, jakie istnieją” sędzi Robert Perry, nauczyciel Kursu, wskazując, że „nawet Kurs używa słów ‘prawdziwy chrześcijanin’, żeby scharakteryzować kogoś, kto postępuje zgodnie z jego nauką”. Oczywiście istnieje poważna niezgodność nie tylko co do właściwej interpretacji przesłania i przykładu Jezusa Chrystusa, ale także co do autentyczności i historyczności wielu części Biblii. Richard Smoley, naukowiec zajmujący się zachodnimi tradycjami duchowymi, który jest zarówno studentem, jak i krytykiem Kursu (zobacz Rozdział 8) przyznaje, że „nieliczne nauki fundamentalistyczne mają wiele wspólnego z chrześcijaństwem z Nowego Testamentu,



gdyż często bazują na przekłamanym tłumaczeniu oryginału. Czytałem pewne partie Biblii po grecku i hebrajsku i za każdym razem wykrzykiwałem ‘Mój Boże! To naprawdę chodzi o to?’”

Interpretacyjne rozbieżności i schizmy doktrynalne powstawały w każdej głównej tradycji duchowej tuż po śmierci twórcy lub pierwszego proroka danej tradycji, a czasem nawet jeszcze za jego życia. Jak widać z tej książki, już dzisiaj istnieją poważne różnice w interpretacji Kursu Cudów a nauka ta ma zaledwie dwadzieścia lat. Robert Perry zauważa, że „stosunek Kursu do chrześcijaństwa i Biblii ma wiele obliczy”, odnotowując, że stanowisko Kena Wapnicka, iż Kurs nie jest kontynuacją chrześcijaństwa uważane jest przez innych ekspertów Kursu za ekstremistyczne.

Ale sam Kurs sugeruje, że wszystkie teologiczne różnice mają ograniczone znaczenie: „Wszystkie terminy są potencjalnie kontrowersyjne i ci, którzy szukają sprzeczności, znajdują je. Jednakże ci, którzy szukają jasności, też ją znajdują. Muszą jednak być gotowi do przymyknięcia oczu na sprzeczności, uznając je za manewr opóźniający, broniący dostępu do prawdy. Teologiczne rozważania jako takie muszą być sprzeczne, ponieważ polegają na wierze, można zatem je przyjąć bądź odrzucić. Teologia uniwersalna nie jest możliwa, ale uniwersalne doświadczenie jest nie tylko możliwe, ale i konieczne. Kurs kieruje się ku takiemu właśnie doświadczeniu”. (17)

Jaki charakter może mieć to „uniwersalne doświadczenie”, ku któremu skierowywani są studenci Kursu? Jon Mundy mówi, że kiedy poczuł, że nadeszła dla niego pora dokonania wyboru między kościelną ortodoksją a nauką Kursu, wybrał Kurs, ponieważ wie, że w jego i w przypadku wielu innych osób, które zna „To działa. Odmienia życie ludzi. Naprawdę zaczynasz patrzeć na rzeczy w inny sposób. Zaczynasz widzieć, że liczy się tylko uczciwość, cierpliwość i przebaczenie, a całą resztę sobie darowujesz.”

Z moich krótkich rozmów z ewangelickimi krytykami Kursu takimi jak Dean Halverson i Donald Dicks trudno mi było zrozumieć dokładnie, jak ich dosłowne, konserwatywne interpretacje Biblii mają ich doprowadzić do duchowego przeznaczenia. Ale w ich gotowości do dzielenia się ideami i sumiennego analizowania duchowego nurtu, który uznali w końcu za bezużyteczny a wręcz niebezpieczny, odkrywam te same cechy, które Jon Mundy przypisuje nauce Kursu: uczciwość, cierpliwość a nawet gotowość przebaczenia.

Gdy można podzielać takie wartości i wzmacniać taki charakter wzajemnych stosunków, to nawet wśród namiętnych waśni, można niezmiernie zmniejszyć odległość od swojego duchowego przeznaczenia. Być może do tego właśnie zmierza Kurs Cudów, gdy sugeruje, że podróż do Boga jest „podróżą bez odległości do celu, który zawsze pozostanie niezmienny”. (18)

## **Rozdział 8**

### **Krytycy Kursu**

„Nienawidzę Kursu Cudów i zamierzam coś z nim zrobić”. (1) Te pełne złości słowa wyszły z ust najwybitniejszego żyjącego dziś krytyka Kursu i są symbolem pewnej zagadkowej sprawy niezbyt gęsto zaludnionego terytorium krytyków Kursu.

O ile ewangelickich krytyków Kursu cytowanych w poprzednim rozdziale można podejrzewać o wyciąganie zbyt daleko idących wniosków z ich rozważań, to jednak widać wyraźnie, że odrobili sumiennie swoje lekcje i oceniają Kurs dość dokładnie rozumiejąc, o czym jest w nim mowa. Są również gotowi do żarliwej dyskusji na temat swych przemyśleń. O dziwo, równie zajadła krytyka Kursu wywodzi się ze zdecydowanie przeciwnego obozu myślicieli anty-autorytarnych. A ci krytycy przeprowadzili znacznie mniej dogłębne analizy i nie chcą rozmawiać na temat wniosków, które opublikowali.



Jednocześnie niektórzy wybitni teologowie i popularni filozofowie, od których można by oczekiwać przemyślanej oceny tego tak szybko rozwijającego się nurtu duchowego, nie mają nic do powiedzenia. Po to, żeby znaleźć najbardziej przekonujące nie-teoretyczne oceny problemów związanych z nauką Kursu, trzeba się zatem zwrócić do osób, które studiowały Kurs wiele lat i które mają z pierwszej ręki doświadczenia z jego trudnościami i pułapkami.

W tym rozdziale spróbuję dokonać oceny tej zagadkowej areny niechrześcijańskiej krytyki Kursu Cudów, zakończę go swoimi uwagami krytycznymi opartymi na dziesięcioletnim doświadczeniu studenta i niemal tyloletnim obserwowaniu tego zjawiska z pozycji dziennikarza. Mam nadzieję, że to podsumowanie stanie się punktem wyjścia do dalszych wyczerpujących analiz nauki Kursu przez uczonych zajmujących się porównawczą religią i filozofią, którzy nie identyfikują się z Kursem. Bowiem o ile jest jasne, że pierwsze reakcje na Kurs Cudów są na ogół wrogie, wrażeń tych nie można potraktować jak dogłębnej krytyki.

Teraz, gdy piszę tę książkę, niektórzy najbardziej znani eksperci wyżej wymienionych dziedzin nie chcą oficjalnie wyrażać opinii na temat Kursu Cudów. Osoby, z którymi się kontaktowałem, a które albo nie odpowiedziały, albo odmówiły udzielenia mi wywiadu na temat Kursu to między innymi Harvey Cox z Uniwersytetu Harvarda, Martin E. Marty z Uniwersytetu Chicago, Scott Peck (zobacz poprzedni rozdział), Thomas Moore autor *Care of the Soul* (Troska o duszę), Wade Clark Roof z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara, Huston Smith z UC -Bekeley i profesor Elaine Pagels z Princeton University, autorka *The Gnostic Gospels* (Gnostycka Ewangelia) i *The Origins of Satan* (Pochodzenie szatana).

W liście, w którym odmawia mojej prośbie, Elaine Pagels pisze: „oczywiście widziałam Kurs Cudów i znalazłam w nim kilka interesujących elementów, ale leży on daleko poza centrum moich zainteresowań”. Smith autor *The Illustrated World's Religions* (Ilustrowane religie świata) odpowiedział, że „szanuję to, co przeczytałem w Kursie, ale ponieważ nie pracowałem z nim, nie czuję się zatem kompetentny do wyrażania opinii”.

Ale pewni krytycy, którzy zajęli stanowisko na temat Kursu, najwyraźniej uważali, że nie muszą nawet zapoznać się z nim, żeby wyciągnąć dramatyczne wnioski. Najlepiej znanym wśród nich jest psycholog archetypalny James Hillman - człowiek, który nienawidzi Kursu Cudów.

### **Kurs jako „wszechmocna fantazja”**

Na początku 1989 roku pismo *Common Boundary* opublikowało esej Rogera Walsha streszczający filozofię Kursu (zobacz Rozdział 6). Esaj ten zwrócił uwagę Hillmana, autora licznych książek, w tym także niedawnego bestsellera *The Soul's Code* (Kod duszy) wydanego przez Random House. To jego filozofia zainspirowała doskonale sprzedające się prace jego ucznia Thomasa Moore'a, a sam Hillman jest powszechnie szanowany jako jeden z najbardziej oryginalnych i prowokacyjnych interpretatorów spuścizny psychologii głębi Junga.

W odpowiedzi na esej Walsha w numerze *Common Boundary* z października - listopada 1989 roku ukazał się artykuł Hillmana pod tytułem „A Course in Miracles: Spiritual Path or Omnipotent Fantasy” (Kurs Cudów: ścieżka duchowa, czy wszechmocna fantazja), w którym przedstawia swoje bez pardonowe opinie na temat Kursu. Trzeba zauważyć, że artykuł ten nie powstał od początku jako pisany tekst, ale był skutkiem rozmowy ze współpracującą redaktorką *Common Boundary* Barbarą Goodrich-Dunn i zawierał wyłącznie reakcje Hillmana na stwierdzenia Walsha. Jak wynika z dalszych rozmów, nie jest pewne, czy Hillman wziął kiedykolwiek do ręki materiały samego Kursu.

Hillman mówiąc, że był „zaszokowany i rozwścieczony” tym, że *Common Boundary* „opublikował artykuł, który nie ma żadnych wspólnych granic z psychologią” zaatakował

Walsha, że przedstawione przez niego idee Kursu są „staroświeckim, samo-oszukującym się chrześcijaństwem”, dodając, że „filozofia Kursu ma korzenie faszystowskie.... Każdy chciałby uczynić z tego świata, to co mu się podoba. Ale próby zdobycia w tym celu władzy są jakimś szaleństwem. To jest to, co mieli Mussolini i Hitler: wszechmocna fantazja”. (2)

Hillman utrzymywał również, że Kurs agituje za pozbyciem się silnych emocji i namiętnych przekonań. W odpowiedzi na stwierdzenie Walsha, że Kurs tak jak inne tradycje duchowe, opowiada się za wyrzeczeniem się strachu, gniewu, zazdrości i nienawiści, Hillman występuje w obronie każdego z tych uczuć:

„Strach jest absolutnie niezbędny do tego, by pozostać przy życiu. Gdybym pozbył się strachu, byłoby dla mnie lepiej, żebym nie wychodził z domu na ulicę, bo natychmiast coś by mnie rozjechało. Gdybym nie miał w sobie zazdrości, straciłbym wszystkie uczucia związane z łączeniem się w pary i tworzeniem związków, które istnieją u ptaków i zwierząt. Zazdrość łączy się z poczuciem bliskości. Gdybym nie miał w sobie gniewu, straciłbym wyczulenie społeczne. Nie wiedziałbym, co to niesprawiedliwość, nadużycia, terror polityczny, ponieważ by mnie już nie złościły. Gdybym pozbył się nienawiści, pozbyłbym się całej kultury, bo kultura opiera się nie tylko na miłości, ale i na nienawiści... Zatem co nam zostanie, jeśli Kurs wytepi te gwałtowne uczucia? Uczucia z kartek świątecznych? Bezpieczne, letnie, bierne emocje? Higieniczne środki przeciwbólowe?” (3)

Hillman zakończył, że wynikiem odrzucania przez nas silniejszych emocji ma być to, że będziemy się „trzymać z dala od zajmowania stanowiska politycznego. Kurs powstrzymuje nas przed protestem, ponieważ cały ten bałagan ‘na zewnątrz’ jest wyłącznie poznawczą iluzją... Kurs Cudów pod płaszczykiem reformacji duchowej reprezentuje, republikański pravicowy nurt polityczny. Nie można nawet powiedzieć, że jest to porządny konserwatyzm. To jest reakcjonizm”. (4)

W kolejnych numerach *Common Boundary* rozgorzała gwałtowna listowna dyskusja, ale odpowiedź Rogera Walsha, wydrukowana obok artykułu Jamesa Hillmana była krótka: „Niestety, krytyka Jamesa Hillmana nie jest oparta na rzetelnych informacjach i błędnie przedstawia Kurs. Przypisuje mu stanowiska, które większości przypadków są nie tylko nieprawdziwe, ale często diametralnie różne od tego, co Kurs głosi naprawdę” (5) napisał Walsh.

Trudno ocenić wiedzę Hillmana na temat Kursu, tak bezpośrednio zakwestionowaną przez Walsha, ponieważ Hillman konsekwentnie odmawia jej udokumentowania. W odpowiedzi na mój list z 1990 roku, w którym prosiłem go o wywiad i o podanie, które konkretnie fragmenty Kursu ilustrują jego niektóre stwierdzenia, Hillman przysłał mi kartkę z takimi słowami: „Nie mam na to ochoty. Powiedziałem to, co chciałem powiedzieć i nie mam nic do dodania”. Barbara Goodrich-Dunn powiedziała mi, że ona nie wie, w jakim zakresie Hillman studiował Kurs, ale wie, że na pewno „nie był niezadowolony z kontrowersji, jakie wzbudził ich artykuł”.

„Wiem, że Hillman jest bardzo zatroskany brakiem krytycznej myśli w psychologii Nowej Ery” wyjaśniła. Kiedy powtórzyłem tę uwagę Walshowi, usłyszałem: „No cóż, w tej kwestii na pewno się z nim zgadzam”.

Podczas kiedy przeprowadzałem badania do tej książki, napisałem jeszcze raz do Jamesa Hillmana z prośbą o skomentowanie jego krytyki Kursu. Pisząc, że jego uwagi z 1989 roku są cały czas najbardziej nieprzychylną recenzją Kursu, jaka ukazała się drukiem, poprosiłem go o dowody na poparcie jego głównych tez - albo o cytaty z samego Kursu, albo inne dowody, jakie zgromadził przed lub po opublikowaniu swego artykułu. Szczególnie zależało mi, by zacytował te fragmenty Kursu, które propagują faszystowskie idee i programy, by napisał, czy zna wielu adeptów Kursu, którzy byliby pasywni i apolityczni i czy mógłby wymienić jakiegokolwiek znanego lub wpływowego prawoskrzydłowego republikańczyka, który opowiada się za nauką Kursu.

Jego pisemna odpowiedź była zwięzła: „Nie mam odpowiedzi na Pana pytania i nie jestem nimi zainteresowany. Może pan zinterpretować ten fakt, jak się Panu podoba”.

### **Kurs jako „zamaskowany autorytaryzm”**

Celniejsza krytyka Kursu Cudów ukazała się w szeroko recenzowanej książce z 1993 roku zatytułowanej *The Guru Papers: Masks of Authoritarian Power*, (Księgi guru: maski autorytarnej władzy) pióra Diany Alstad i Joela Kramera. Alstad, wykładowczyni przedmiotów humanistycznych i studiów kobiecych, posiadająca doktorat z Yale i Kramer, adept jogi i były nauczyciel w Instytucie Esalen, napisali tę książkę, żeby wyeksponować „autorytarną strukturę”, która, jak im się zdaje, jest „wpleciona i ukryta w większości wzajemnych międzyludzkich stosunków, łącznie z religią, moralnością, władzą, instytucjami, rodziną, intymnością a nawet w stosunkach seksualnych i osobistych problemach takich jak uzależnienie.” (8)

Na ogół autorzy *The Guru Papers* wystrzegają się krytykowania poszczególnych instytucji, ruchów czy ludzi, przedstawiają natomiast ogólniejszą analizę takich tematów jak „Powaby wyrzeczeń”, „Fundamentalizm a potrzeba pewności” czy „Miłość a kontrola”. Dwoma wyjątkami w ich „zasadniczo strukturalnej” krytyce są pięciostronicowe uwagi na temat wielbnego Jima Jones’a i zbiorowego samobójstwa w Jamestown, oraz dziesięć stron na temat Kursu Cudów.

Kramer i Alstad skoncentrowali się na Kursie, „ponieważ głosi, że jest nieautorytarny, a jednocześnie twierdzi, że został przekazany metodą channelingu przez autorytet nie mniejszy niż duch Jezusa Chrystusa...”

Przyglądamy się szczególnie uważnie Kursowi, ponieważ jest to klasyczny przykład programowania umysłów w celu wyrzeczenia się przekonań”. (7) Większa część następującej potem krytyki skupia się na Ćwiczeniach, które według Kramera i Alstad przeprowadzają coś w rodzaju prania mózgow, posługując się trzema następującymi sposobami:

1. obwieszając oderwanie się od świata poprzez zaprzeczenie jego realności;
2. dekretując przebaczenie i uwolnienie się od uraz jako jedynej drogi do miłości i zbawienia;
3. obiecując nieśmiertelność i wyeliminowanie wszelkiego zła poprzez identyfikowanie się tylko z tym, co jest określone jako boski aspekt w swoim ja”. (8)

Autorzy zauważają również, że obranym celem Ćwiczeń jest „przywołanie swojego ‘Wewnętrznego Nauczyciela’, który z kolei, bez pomocy żadnych autorytetów z zewnątrz, poprowadzi człowieka do prawdy.

... Warto zanalizować to twierdzenie, ponieważ pod przykrywką prezentowania obiektywnej prawdy, którą może znaleźć każdy, kto jej poszukuje, naprawdę mamy do czynienia z odwiecznym chwytem autorytarnej indoktrynacji: Jakiś światopogląd jest przedstawiany przez niekwestionowany autorytet jako prawda, której należy szukać... Nie ma czegoś, co byłoby bardziej autorytarne, gdyż kto mógłby sprzeczać się z bezcielesnym duchem mającym listy uwierzytelniającego tradycyjnego Boga?” (9)

Takim kimś, kosię tu sam narzuca, jest Helen Schucman, channel Kursu, która spierała się z domniemanym głosem bezcielesnego ducha w swej głowie aż do końca życia (zobacz Rozdziały 1 i 2). Zarzut Alstad i Kramera co do autorytarności Kursu podważają dwa kolejne fakty. Pierwszy to ten, że systemy autorytarne opierają się na organizacji lub wcielonej postaci autorytetu a nie na autorytecie ukrytym. Drugi - wielu studentów Kursu kłóci się z jego głosem nawet wtedy, gdy studiują jego przesłanie.

Wielu współczesnych adeptów Kursu, łącznie z takimi wiodącymi jego rzecznikami jak Jerry Jampolsky, Marianne Williamson, Ken Wapnick i Judy Skutch ma pochodzenie żydowskie, zatem nie są to ludzie szczególnie skłonni, by traktować głos Jezusa jako boski czy bezstronny autorytet. Prawdopodobnie większość studentów stanowią wyjadacze

innych dyscyplin duchowych - również bardziej tradycyjnych i otwarcie autorytarnych struktur, a twierdzą oni, że Kursie podoba im się jego dostępność typu „możesz przyjąć albo odrzucić”. Jeszcze inni o orientacji agnostycznej opowiadają historie podobne do historii Rogera Walsha (zobacz Rozdział 6), który zamknął swój egzemplarz Kursu, jak tylko natknął się na zdanie o jego duchowym autorstwie i nie otwierał go przez następne dwa lata, do czasu kiedy częste pochwały znajomych nie przekonały go do ponownego zajrzenia do książki. „Słyszałem niezliczoną ilość razy, jak Kurs stał przez wiele lat w domowych biblioteczkach, zanim właściciele przeczytali w nim coś, co nagle do nich przemówiło” relacjonuje Ken Wapnick.

A zatem krytyka Kramera i Alstad opiera się na niewielkiej wiedzy na temat tego, jacy naprawdę są studenci Kursu lub co mają do powiedzenia o wpływie jego nauki na ich życie. Nawet wtedy kiedy autorzy *The Guru Papers* przytaczają wypowiedzi samych studentów, żeby interpretować jakoś wpływ Kursu, ich metodologia i wnioski budzą poważne wątpliwości.

„Teraz czuje się lepiej”

Aby zilustrować swoje założenie, że „ci, którzy chcą być zaprogramowani, są zaprogramowani”, Kramer i Alstad uważają, że należy przyjrzeć się dokładnie nie tylko zawartości Ćwiczeń Kursu, „ale także naturze umysłu człowieka, który jest gotowy i zdolny wykonywać je codziennie przez dłuższy okres czasu”. (10)

„Dla przykładu sparafrazujemy i zacytujemy słowa pewnego entuzjasty i nauczyciela Kursu. Przytaczamy jego wypowiedź tylko po to, żeby zaprezentować pewne stanowisko, które, jak sądzimy (a i on także) nie jest odosobnione. W związku z tym, jesteśmy zdania, że tożsamość tego mężczyzny nie jest istotna. Na początku dowiadujemy się, że przed przystąpieniem do pracy z Kursem, był bardzo rozczarowany życiem, ponieważ widział, że ważne dla niego ideały nie będą lub nie będą mogły być osiągnięte w tym świecie. „Im bardziej stawiałem twarzą w twarz z ‘prawdziwym światem’, tym mniej realnie się czułem” Miał on „podzielone poczucie swego ja, które do niczego nie pasowało”; jego „fragmentaryczny idealizm” był „skażony sprzecznymi ambicjami”.

Oto człowiek, który chce, żeby świat przystawał do poeńnegoideału czystości, gdzie rządziłyby łagodność, współczucie, altruizm i miłość. Nic więc dziwnego, że ten człowiek będzie ciężył ku takiemu światopoglądowi, który przedstawia te cztery elementy jako rzeczywiście sprawujące najwyższą władzę, zaprzeczając realności świata, którym rządzi co innego. Ten sam człowiek mówi dalej:

*Po latach miotania się w bezsensownym świecie, który sprzeciwiał się moim najwyższym aspiracjom, po prostu przebaczyłem temu światu... Nie martwię się już o zdefiniowanie tego, czym jest „realny świat” - być może, jak utrzymuje Kurs, świat w ogóle nie istnieje. ale wiem, że zyskałem osobiste poczucie autentyczności.*

Na zakończenie oświadcza, że teraz czuje się lepiej niż kiedykolwiek przedtem”. (11)

Kramer i Alstad wyjaśniają, że olbrzymim niebezpieczeństwem tego rodzaju lepszego samopoczucia jest „wielkie złudzenie... że poprzez uprawianie zaprzeczania można wykroczyć poza to, czego się człowiek boi - śmierć lub samotność.... Wszystkie światopoglądy opierające się na negowaniu świata, jak między innymi Kurs Cudów, tworzą jedynie wiecznie rozdartych ludzi, którzy potrzebują zewnętrznego autorytetu do pomocy w sprawowaniu kontroli nad ich niechcianymi fragmentami [osobowości]”. (12)

Kramer i Alstad nie podali swego źródła ani nie umieścili go w przypisach, przez co czytelnik ma kłopoty ze sprawdzeniem ich informacji czy zakwestionowaniem konkluzji. Czytając ich krytykę, jako dziennikarz postanowiłem, że postaram się sam skontaktować z cytowanym przez nich studentem. Kiedy drugi raz przeczytałem wybrane fragmenty, zdałem sobie sprawę, że nie będzie to wymagało z mojej strony dużego zachodu,



ponieważ ten coraz bardziej znajomy mi język owego „zaprogramowanego” studenta należał do mnie.

W istocie słowa zacytowane przez Kramera i Alstad oryginalnie ukazały się w moim pierwszym osobistym eseju na temat Kursu Cudów, opublikowanym w 1988 roku przez *The Sun: A Magazine of Ideas*. Aby przedstawić własną interpretację tego, co napisałem, - na temat czego mogę się autorytatywnie wypowiadać - muszę przytoczyć w całości urywek, przeredagowany przez Kramera i Alstad. Kursywą zaznaczyłem te fragmenty, które usunęli lub których nie włączyli do swego tekstu:

„Po latach miotania się w bezsensownym świecie, który sprzeciwiał się moim najwyższym aspiracjom, po prostu przebaczyłem temu światu *zdawszy sobie sprawę, że jest on w dużej mierze określony i ograniczony moim własnym pesymizmem*. Nie martwię się już o zdefiniowanie tego, czym jest „realny świat” - być może, jak utrzymuje Kurs, świat w ogóle nie istnieje, ale wiem, że zyskałem osobiste poczucie autentyczności. *Wiem, że jestem tutaj po to, by się uczyć i poprzez moje pisanie uczyć innych tego, co odkryję, zarejestruję i zsyntetyzuję. Nie potrzebna jest mi żadna inna definicja siebie.*” (13)

Ten esej napisany podczas rekonwalescencji po długotrwałej chorobie, w trakcie której zetknąłem się z Kursem Cudów i zakończyłem pierwszy etap studiów, stanowił pewnego rodzaju osobiste wyznanie. Zastanawiałem się w nim, jak swoją niedawno zdobytą wiedzę z pożytkiem przekazać światu, od którego przez tyle lat czułem się odcięty z powodu zmagania z fizycznym cierpieniem, psychologiczną konfrontacją z sobą samym i kryzysem duchowym.

Ucząc się wyrzekania się długoletnich nawyków popadania w pesymizm i cynizm, czułem, że „uwalniam świat”, jak to określa Kurs, od moich żądań i sądów. (14) Przestałem oczekiwać, że świat będzie pasował do ideałów „łagodności, współczucia, altruizmu i miłości”, co sugerują Kramer i Alstad, raczej uświadomiłem sobie, że wypełnianie i przekazywanie tych szczytnych ideałów jest odpowiedzialnością, która spoczywa na mnie. Aby to zrealizować, musiałem polegać na większym poczuciu przewodnictwa, niż to które oferowało mi moje zwykłe ego - ja. Kurs Cudów okazał się bezcenny, gdyż pomógł mi odkryć i skontaktować się takim poczuciem przewodnictwa.

Gdy czytałem *The Guru Papers*, ogarnęła mnie ciekawość, dlaczego tak anty-autorytarni autorzy jak Kramer i Alstad pozwolili sobie na interpretowanie mojego tekstu nie kontaktując się ze mną, żeby przedyskutować uczciwie i partnersko swój punkt widzenia. (Dotarcie do mnie nie było trudne; *The Sun Magazine* obok mego eseju podawał mój adres, co wyraźnie zapraszało czytelników do nadsyłania uwag.) Chciałem również przed wydaniem tej książki omówić z nimi swoje uwagi na temat ich książki.

W liście, w którym poprosiłem ich o współpracę, zakomunikowałem im, że przed opublikowaniem tej książki będą mieli okazję przeczytać to, co napisałem o nich w rękopisie, poprawić wszelkie faktograficzne niedokładności i omówić te punkty, w których ich zdaniem doszło do mylnej interpretacji. (Postępowałem w ten sposób od dziesięciu lat w pracy dziennikarskiej i tę standardową procedurę zastosowałem wobec wszystkich osób z tej książki, które wyraziły zgodę na rozmowę.)

W pisemnej odpowiedzi Diana Alstad stwierdziła, że jest im „naprawdę bardzo przykro, jeśli uważa Pan, że błędnie przedstawiliśmy Pana poglądy”. Nie wyjaśniła dlaczego ona i Kramer woleli nie dyskutować ze mną na temat moich doświadczeń z Kursem przed podaniem ich interpretacji do druku. Odmówiła również wywiadu, stwierdzając, że nie są „zainteresowani angażowaniem się w dialog na temat wartości Kursu Cudów”. Ta odmowa angażowania się w dyskusję na temat Kursu ma, najdelikatniej mówiąc, ironiczny wydźwięk, ponieważ autorzy *The Guru Papers* piszą tam, że „ręczą i są pewni tego, co mówią. Ale pewność siebie nie musi być autorytarna sama w sobie, jeśli jest się otwartym na wytknięcie błędów. Istotą ideologicznego autorytaryzmu jest niekwestionowalność, a nie pewność siebie”. (15)

### **„Jeszcze jedna negująca świat, eskapistyczna filozofia duchowa”**

Kolejnej rundzie krytyki pod adresem Kursu dał początek wywiad z Kenem i Gloria Wapnickami (materiał źródłowy Rozdziału 5 tej książki), jaki w 1995 roku opublikowałem w *The Sun*. Chociaż wywiad ten był zamówiony i zaakceptowany przez redaktora naczelnego Sy Safransky'ego (który też studiował Kurs), w następnym numerze pisma ukazał się list redaktora wydania Setha Mirsky'ego, w którym autor wyznaje, że był przeciwny jego publikacji.

„Boli mnie, gdy widzę, że *The Sun* propaguje filozofię duchową będącą antytezą tego wszystkiego, co tak wysoko cenię w tym piśmie” pisał Mirsky, włączając w to „odmowę [*The Sun*] kupowania jakiegokolwiek zestawu dóbr duchowych, bez względu na ich opakowanie”. Mirsky twierdził, że jeśli „spojrzy się, co się kryje za defensywnymi protestami Kennetha Wapnicka... w Kursie dostrzeże się coś, co można by uczciwie opisać jako odmianę chrześcijańskiego fundamentalizmu... jawną wrogość wobec wolnej myśli i krytycznego rozumu [oraz] nienawiść dla świata... „

„W tych czasach galopującej degradacji środowiska” konkludował Mirsky, „gdy na świecie szaleje tyle wojen, a w naszej krajowej kulturze politycznej triumfuje podłość i egoizm, Kurs Cudów darowuje nam to, czego z całą pewnością nie potrzebujemy: jeszcze jedną negującą świat, eskapistyczną filozofię duchową - pocieszenie dla tych, którym jest dobrze, smutek dla nieszczęśliwych.” (16)

Jednak kiedy poprosiłem Mirsky'ego o rozmowę, żeby uzasadnił swoją krytykę, odmówił mi. „Nie roszczę sobie pretensji do jakiejś szczególnej znajomości Kursu” napisał w liście, w którym nie wyraża zgody na wywiad, przyznając, że o Kursie Cudów wie jedynie tyle, ile przeczytał w wywiadzie z Wapnickami i z kilkunastu wierszy fragmentów Kursu opublikowanych obok.

Prawdziwą tajemnicą Kursu jest dlaczego wzbudza tak zajadłe ataki krytyków i to tych, którzy wyraźnie poświęcili bardzo mało czasu, albo wcale, na samodzielne studiowanie go lub na rozmowę z adeptami na temat jego wpływu. Klucz do tej zagadki leży w historycznym postrzeganiu ścieżek duchowych, które są traktowane, właściwie lub nie, jako namawiające do „wyrzeczenia się świata”.

„Trzeba zrozumieć, że zarzuty co do apolityczności i nienawiści do świata wysuwane są pod adresem najróżniejszych tradycji duchowych” zauważa Roger Walsh. „Już dawno temu niektórzy ludzie, Karol Marx jest chyba najlepszym ich przykładem, obawiali się, że poszukiwania duchowe utrwalają tylko społeczne patologie i nierówności i mogą czasami powodować permanentne wycofanie się ze spraw tego świata. Jednak wiele osób szukających duchowej ścieżki, wycofuje się na trochę, a potem wraca, by podzielić się tym, czego się nauczyli po to, by pomóc światu. Cykl ten Arnold Toynbee, historyk, nazwał ‘cyklem wycofywania się i powrotu’. Odkrył, że jest to charakterystyczna cecha życia tych ludzi, którzy wnieśli najistotniejszy wkład w dobrobyt ludzkości”.

Marc Polonsky, student Kursu z długą historią aktywności politycznej, twierdzi, że polityka i poszukiwanie wewnętrznego spokoju nie muszą być ze sobą sprzeczne. „Nie rozumiem logiki myślenia, że gdy czujemy wewnętrzny spokój i nie poddajemy się nienawiści i oskarżaniu innych, nie mamy wtedy ochoty na zrobienie czegokolwiek konstruktywnego w tym świecie. W ciągu piętnastu lat byłem aresztowany, organizowałem coś, pisałem petycje, nawet przeszedłem cały kraj w związku ze swoimi przekonaniem. Pośrodku tego wszystkiego Kurs był jak łagodzący balsam dla mego umysłu i duszy.

„Sądzę, że jeśli ktoś chce być bierny, znajdzie wymówkę dla swej bierności, natomiast ktoś, kto chce zmieniać ten świat, znajdzie we wszystkim coś, co będzie umacniało w nim ten impuls” konkluduje Polonsky.

Chociaż moje osobiste doświadczenia mogą nie być typowe, dodałbym, że Kurs umożliwił mi większe polityczne zaangażowanie - nie dlatego, że niesie w sobie jakieś polityczne



treści, ale dlatego, że dzięki niemu mogłem stać się mniej neurotyczny i pochłonięty sobą, a zatem poświęcać więcej czasu, energii i pieniędzy na sprawy jeszcze inne niż moje osobiste przetrwanie i dobrobyt. Uważam również, że centralna doktryna Kursu czyli wymóg przebaczenia, ma głębokie polityczne implikacje, nawet jeśli nie ma o nich wyraźnie mowy w samej nauce. (Krytyczną opinie studenta na temat apolityczności Kursu, znajdziecie w Rozdziale 9 w wypowiedzi Teda Grabowskiego.)

Wreszcie, przegląd publikacji krytycznych zawierających wrogie reakcje wobec Kursu Cudów nie byłby kompletny, gdybym nie wspomniał o pełnym frontalnym ataku, jaki przypuścił na Kurs Martin Gardner, autor i zawodowy sceptyk, w jesiennym numerze z 1992 roku *The Skeptical Inquirer*, opublikowanego przez Committee for the Scientific Investigation of Claims of the Paranormal (Komitet Badań Naukowych Zjawisk Podawanych za Paranormalne).

Esej Gardniera pt. „Marianne Williamson i Kurs Cudów” roi się od merytorycznych nieścisłości, łącznie z tą powtarzaną błędną informacją o Helen Schucman, której źródłem jest Michael Murphy (zobacz rozdział 2), twierdzeniem, że Ken Wapnick „usilnie dąży do pogodzenia Kursu z doktryną chrześcijańską”, a także lekko seksistowskim opisem Marianne Williamson jako „kruchej brunetki” - to chyba pierwszy raz na setki publikacji w mediach, kiedy to o Marianne Williamson nie mówi się najłagodniej, że jest dynamiczna. Gardner opierając się na brukowcu *New York Post*, wysuwa najpikantniejsze oskarżenia pod jej adresem, że jest „zapatrzona w siebie i pławi się w swej powierzchownej sławie”. Pod koniec artykułu język sceptycznych inwestygacji Gardniera osiąga szczyty retoryki w tym pytaniu: „Czy mała seksowna guru odnajdzie znów słodką miłość? A czy jej wyznawcom, oraz innym adeptom Kursu, uda się kiedyś odnaleźć piątę klepki?” (17)

### **Nie jest to właściwie łatwa lektura**

Częstą uwagą krytyczną wygłaszaną pod adresem Kursu przez jego studentów i inne osoby, które próbowały go uważnie czytać, jest ta, że patriarchalny, chrześcijański i po prostu trudny język Kursu, stanowi barierę do studiów. Rick Fields, wybitny autor piszący o amerykańskim buddyźmie i zarazem redaktor *Yoga Journal*, przemawia prawdopodobnie w imieniu tysięcy, kiedy twierdzi, że „ten chrześcijański język był dla mnie po prostu niestrawny”.

Frances Vaughan, psychoterapeutka i także studentka Kursu mówi, że konsekwentnie męski ton książki „był tym, co mi się w Kursie na początku bardzo nie podobało i w trakcie czytania przekładałam terminy takie jak *Syn Boży* na *Dziecię Boże*. Zamieniałam także *oświecenie* na *zbawienie* i tak dalej. Szło mi najlepiej, kiedy brałam to, co mi pasowało, a pomijałam pozostałe rzeczy”. Jednak wraz z upływem czasu Vaughan twierdzi, że jej techniczne kłopoty z terminologią Kursu zmniejszyły się na tyle, że przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Prezes Institute of Noetic Sciences - IONS (Instytut Noetyki) Willis Harman na wczesnym etapie studiowania Kursu, zauważył, że budzi on w nim trudny do zdefiniowania opór. „Usiłowałem codziennie studiować, ale po pierwszych sześciu miesiącach, dotarło do mnie, że nie udało mi się doczytać do końca nawet jednej stroniczki. Za każdym razem, kiedy zabierałem się do lektury, kończyłem przy lodówce szukając czegoś do zjedzenia, albo nużyłem się i zasypiałem. Kiedy uświadomiłem sobie, że dzieje się coś dziwnego, zacząłem go poważniej traktować”.

Charles T. Tart, Ph.D., jest pracownikiem naukowym w IONS, i emerytowanym profesorem Kalifornijskiego Uniwersytetu w Davis, a także był redaktorem *Altered States of Consciousness*, (Odmienne stany świadomości) książki będącej kamieniem milowym w tej dziedzinie i zarazem rzadkim bestsellerem wśród antologii naukowych. Tart wspomina, że dla umysłu wyćwiczonego w naukowym podejściu do rzeczywistości Kurs przedstawiał szczególne trudności.

„Kurs naprawdę przystaje do większości moich prac naukowych” zauważa Tart.  
„Znalazłem w nim masę rzeczy, które są zgodne z moim pojmowaniem tego, jak ‘żyjemy w iluzji’, to znaczy, jak korzystamy z psychologicznych mechanizmów obronnych, które zniekształcają nasze postrzeganie i tworzą nasze problemy. Ale zasadniczo Kurs przemawia prosto do serca, a serce nie jest standardowym narzędziem dociekań naukowych. Dlatego było mi ciężko”.

W słowach Judy Skutch, wydawcy Kursu, pobrzmiewa echo częstych twierdzeń Kena Wapnicka, że nie powinno się mylić Kursu Cudów z łatwą ścieżką osobistego rozwoju czy duchowego oświecenia. Judy mówi: „Nie sądzę, żeby poważnym studentom Kursu wydawał się łatwy. Wszyscy wywodzimy się z takiego samego systemu myślowego, który jest prostą antytezą Kursu. Niektórzy ludzie docierają do Kursu szukając w nim potwierdzenia się w uczuciach spokoju, miłości i światła i to w nim znajdują. Ale mogą wytrzeszczyć oczy, kiedy dojdą do definicji ego, jaką podaje Kurs, że ego jest zbrodniarzem. Jest wiele ścieżek duchowych, gdzie możesz się dowiedzieć, że twój duch jest doskonały i że jesteś kochany. Kurs też to głosi, ale nie musi być najlepszym miejscem, w którym można by szukać takich zapewnień”.

Najbardziej przekonujące opublikowane podsumowanie trudności, na jakie napotyka student Kursu, ukazało się w jesiennym numerze *Gnosis* z 1987 roku, „pisma zachodnich tradycji duchowych”, które wychodzi raz na kwartał w San Francisco. Richard Smoley, autor, który został redaktorem *Gnosis*, napisał w swym eseju „Pitfalls of A Course in Miracles” (Pułapki Kursu Cudów), że na podstawie kilkuletniej pracy z Kursem, może stwierdzić, że jest to „skuteczne narzędzie duchowego rozwoju. Wydaje się, że jest szczególnie użyteczny dla intelektualistów, którzy czują potrzebę pogłębienia współczucia i miłości... A jednak tak jak wszystkie duchowe ścieżki, Kurs ma swoje pułapki”. (18) Jedną z nich, paradoksalnie wywodzi się z cnoty Kursu, to jest nakłaniania studentów, by wsłuchiwali się w swym wnętrzu w głos Ducha Świętego. „Niezależność, na jaką pozwala takie podejście, jest cudowna dla rozwoju poczucia odpowiedzialności za siebie” (19) uznaje Smoley. Ale wskazuje również na destrukcyjny głos ego, który łatwo pomylić z autentycznym duchowym przewodnictwem, a który może łatwo wywieść adepta na manowce. Smoley pisze:

„Normalnie, jeśli dochodzi do czegoś takiego, równowagę przywraca reakcja innych ludzi. Ale Kurs podkreśla na każdym kroku, że nie powinniśmy sądzić innych: ‘Aby móc cokolwiek ocenić prawidłowo, trzeba by być świadomym niepojmowalnie szerokiego zakresu rzeczy przeszłych, obecnych i tych, które nadejdą... Kto jest w stanie coś takiego zrobić? Kto, poza kimś, kto ma manię wielkości, mógłby tak o sobie powiedzieć?’ (Kurs Cudów : M-10.3:3-7). Zatem jakkolwiek krytyka ze strony innej osoby, może być natychmiast zwrócona przeciwko niej, ‘Osądzasz mnie!’ - co wśród adeptów Kursu często zamyka całą sprawę, chociaż rzadko w sposób satysfakcjonujący. Z doświadczenia wiem, że takie podejście sprawia, że uprawnione pytania i problemy [pozostawione bez odpowiedzi], mogą się przekształcić w coś naprawdę groźnego, a można by temu łatwo zaradzić, gdyby jeden student zechciał wysłuchać ‘osądu’ innego”. (20)

Częściowo z tego powodu Smoley uważa, że Kurs Cudów nie bardzo nadaje się do studiowania w grupie. Jak pisze: „Grupa lub jakaś organizacja, która będzie chciała żyć zgodnie z nauką Kursu, może podejmować decyzje wspólnie. Ale jeden z jej członków, wybrany do realizacji tej decyzji, może postąpić na odwrót, twierdząc, że Duch Święty poradził mu później co innego. I kto mu powie, że nie ma racji?” (21)

Troska Smoley’a o błędne identyfikowanie boskiego przewodnictwa wydaje się uzasadniona. Nie trzeba wcale długo odwiedzać dyskusyjnych stron internetowych Kursu, żeby zobaczyć, że o Duchu Świętym mówi się jak o wewnętrznym brokerze dosłownie każdej decyzji, błysku intuicji czy szczęśliwego wydarzenia, poczynając od decyzji o rozwodzie lub wygranej na loterii po znalezienie upatrzonego miejsca na zaparkowanie

samochodu. Generalnie znacznie mniej uwagi poświęca się tam zagadnieniu, czy to naprawdę Duch Święty działa przy tych wszystkich okazjach; doraźne korzyści często są traktowane jako dowód na boskie przewodnictwo.

Ken Wapnick zauważa, że jednym z kluczowych błędów rozumowania występującego u studentów Kursu jest „idea, że nie ma nic łatwiejszego od usłyszenia głosu Ducha Świętego, że wystarczy troszkę pomedytować, żeby Duch Święty powiedział, co masz zrobić. Ale powodem, dla którego Kurs istnieje jako całość, jest to, że ma on nam pomóc w usunięciu przeszkód, które blokują dostęp Ducha Świętego. Te przeszkody są olbrzymie i nie jest łatwo ich się pozbyć. Ego nie zaniknie natychmiast tylko dlatego, że po prostu zaczniesz myśleć, że chcesz, by zaniknęło”.

Richard Smoley sugeruje także, że pewne lekcje z Ćwiczeń, takie jak lekcja nr 97 „Jestem duchem” i nr 199 „Nie jestem ciałem. Jestem wolny” mogą zachęcać studentów Kursu do uwolnienia się od „poczucia silnego zakorzenienia w świecie fizycznym... U wielu studentów Kursu można wyczuć pewne oderwanie od rzeczywistości, jakąś eteryczność, czy rozmarzenie, które mogą być przyjemne dla otoczenia, ale mogą też świadczyć o zabrnięciu w duchową ślepą uliczkę”. (23) Wapnick postrzega tę cechę jako tendencję częstą u nowicjuszy: „To prawda, że wielu nowych studentów Kursu ma tendencję do pewnego marzycielstwa i wyłączenia się. Mój przyjaciel nazywa ich ‘błogimi ciamajdami’...”

Wapnick mówi dalej: „Widzę, że często muszę mówić ludziom: Nie zapominajcie być normalni. Studenci mogą dojść do przekonania, że nie powinni zamykać drzwi na noc, ponieważ Kurs każe im ufać, że powinni zrezygnować z ubezpieczenia, bo Kurs każe im nie planować przyszłości i że powinni czuć się winni, gdy kichają, bo Kurs mówi ‘Choroba jest obroną przed prawdą’. (23) Muszę im zatem przypominać, że mają być normalni. Oczywiście, masz się odnoić ze współczuciem do chorego. Nie praw mu kazań o tym, że jego choroba jest obroną”.

„Ludzie chętniej zaprzeczają temu, gdzie się znajdują” wyjaśnia Wapnick „albo próbują *reinterpretować* swoje aktualne zachowanie zgodnie z intelektualnymi wytycznymi Kursu, niż chcą się *zmienić* zgodnie z tym, co mówi wewnętrzne przewodnictwo. Kurs nie każe nam negocjować swoich uczuć i doświadczeń. Wręcz przeciwnie, mówi, że powinniśmy się dobrze przyglądać naszym uczuciom po to, żeby ‘wprowadzić do nich prawdę’. Nie możesz zrobić tego drugiego, jeżeli nie zrobisz pierwszego, jeżeli nie będziesz w pełni świadom tego, co czujesz”.

Skłonność do wypierania się własnych niedoskonałości i sprzeczności wewnętrznych oraz do uciekania przed niewygodną prawdą jest prawdopodobnie uniwersalną cechą ludzkości, a na pewno nie cechuje wyłącznie studentów Kursu. Ale też na pewno niektórzy studenci Kursu wykorzystują idee przebaczenia i iluzorycznej natury świata jako nowy mechanizm zaprzeczania. Kiedy trzeba stanąć oko w oko ze swoimi błędami, bardzo łatwo powiedzieć, że „przecież i tak wszystko jest iluzją” albo „wszystkim nam przebaczone”. Żadna z tych wymówek nie miałaby żadnego znaczenia poza kręgami Kursu. Ale jak wskazał Richard Smoley, kultura wewnątrz grup studyjnych może stać się na tyle hermetyczna, że takie protesty mogą skutecznie ucinać wszelkie dyskusje i spory. Na skutek tego prawda i prawdziwe zrozumienie mogą zostać poświęcone na ołtarzu fałszywej harmonii i mdłej religijności.

Ale studenci Kursu w takim samym stopniu jak stosują zaprzeczanie, zamykają także oczy na wyraźne zalecenia Kursu takie jak:

„Uczciwość nie dotyczy tylko tego, co mówisz. Słowo to oznacza konsekwencję. Nic co mówisz, nie jest sprzeczne z tym, co myślisz lub co robisz; żadna myśl nie zaprzecza innej myśli; żaden czyn nie kłamie twym słowom; żadne słowo nie kłóci się z innym. Tacy są prawdziwie uczciwi ludzie. Na żadnym poziomie nie są ze sobą skonfliktowani. Zatem nie

mogą być w konflikcie z nikim ani z niczym... Konflikt jest nieuniknionym skutkiem samooszukiwania się, a samooszukiwanie się jest nieuczciwością.” (24)

„Każda myśl, którą skrywasz, zamyka drogę do porozumienia, bo ty tak chcesz. Nie można poznać doskonałego porozumienia, gdy łamie się jego zasady. Zapytaj siebie uczciwie: ‘Czy chciałbym mieć się idealnie porozumiewać i czy byłbym gotowy pozbyć się raz na zawsze wszystkiego, co mi je uniemożliwia?’ Jeśli odpowiedź brzmi nie, nie wystarczy sama chęć Ducha Świętego, by ci je podarować, ponieważ ty nie jesteś gotów, by je z Nim dzielić...

Nie będziesz w stanie przyjąć idealnego porozumienia tak długo, jak będziesz ukrywał je przed sobą samym. Bowiem to co skrywasz, *jest* ukryte przed tobą”. (25)

### **Problem maksymalizmu**

Z Kursem wiążą się jednak znacznie głębsze problemy niż możliwości jego niewłaściwego wykorzystania. Jego fundamentalne zakwestionowanie rzeczywistości, którą widzimy, słyszymy i czujemy w naszym normalnym stanie świadomości, może dezorientować niektórych studentów i tej dezorientacji nie sposób szybko zaradzić. Pewna kobieta, która przedstawiła się jako studentka Kursu od ponad roku, wysłała następującą pełną pasji wiadomość do jednej z internetowych grup dyskusyjnych:

„Jeśli mamy patrzeć na świat inaczej, jeśli to co widzimy, nie jest rzeczywiste, jak mamy sobie radzić z codziennymi czynnościami? Czy mamy zrezygnować z pracy i tylko siedzieć i kontemplować? Czy każdą wolną chwilę mamy wypełniać aktywnie fragmentami i praktykami kursu?

Dlaczego tyle dzieci codziennie umiera z głodu i na skutek przemocy? Czy mamy patrzeć na ich śmierć jak na coś nierzeczywistego?...

A co z dziećmi, które nie rozumieją jeszcze niczego na pewnym wyższym poziomie? Czy pozbawiamy ich zbawienia? Czy mamy uczyć dwulatkę, że wszystko, co widzą jest nierzeczywiste? Że powinny zmienić percepcję?... Naprawdę nie wiem, co mam myśleć; w dążeniu do zbawienia, zwracając się do Boga, doszłam do tych pytań i nie dostałam na nie żadnych odpowiedzi. To prawie niemożliwe udawać, że nie jesteśmy tym, kim jesteśmy. Choćbym wyskoczyła ze skóry i tak muszę pracować, żeby się utrzymać, a jednak w niektóre dni trudno mi rano wstać i przygotować się, mając przy tym świadomość, że wszystko co robię jest w oczach Boga nierzeczywiste, a co więcej, nieważne... Naprawdę czuję, że staje się to moją obsesją, która prowadzi do depresji, tym bardziej, że tyle czasu inwestuję w zrozumienie koncepcji Kursu Cudów .”

Na ten list jeden z uczestników grupy dyskusyjnej odpisał: „Doskonale cię rozumiem. Sam wyrzuciłem swoje książki Kursu Cudów ”. Ale inny odpowiedział: „Znam to, sam przechodziłem przez jakiś czas taką fazę bierności i poczucia bezsensowności, ale ono mija, gdy się pracuje z Kursem”.

Aby zrozumieć, dlaczego i w jaki sposób Kurs Cudów może zapętląć swych studentów, że niektórzy nawet z niego rezygnują, trzeba zobaczyć, jaka jest różnica między zwykłą religią związaną z chodzeniem do kościoła, a ezoterycznymi mistycznymi ścieżkami takimi jak Kurs. Według Jacoba Needlemana, profesora filozofii z Uniwersytetu San Francisco i autora klasycznego dzieła z 1970 roku *The New Religions* (Nowe religie) oraz takich nowszych książek jak *Lost Christianity* (Zgubione chrześcijaństwo), *The Heart of Philosophy* (Serce filozofii) i *Money and the Meaning of Life* (Pieniądze a sens życia), największe tradycje religijne zawsze składały się z zewnętrznej powłoki moralnych nauk i zalecanych przekonań oraz wewnętrznego rdzenia bardziej wymagających praktyk transformacyjnych. W wywiadzie z 1989 roku Needleman powiedział mi:

„Chrześcijaństwo, judaizm i islam, wszystkie te religie dają ludziom moralne recepty: sposób życia, jakiemu mają być posłuszne masy. Każdy taki sposób życia opiera się na konkretnej wizji natury człowieka i społeczeństwa, a jego celem jest nadanie równowagi i



niezmienności naszym doświadczeniom. Jego celem nie jest nasza *transformacja* duchowa, osiągnięcie przez nas *nirwany*, czy uświadomienie sobie istnienia Boga. Ale jeśli się go autentycznie przestrzega, garstka ludzi, którzy szukają czegoś więcej, może dzięki niemu wejść na „ścieżkę” w stosunkowo dobrej formie. Ich psyche nie jest rozdarta ani tak strasznie neurotyczna. To jest sedno egzotycznej funkcji wielkich religii, w islamie jest to *szari'at*, są to prawa, zwyczaje i tradycje. Jest bardzo ważny element, który wprowadza równowagę w ludzkim życiu, w najlepszym razie, zasady te podają dyrektywy, jak z wzajemną troską i szacunkiem kierować naszymi różnymi energiami.

W ramach *szari'atu* funkcjonuje *tarikát*: droga lub ścieżka. W islamie tę ezoteryczną funkcję wcielają sufi. Wielcy nauczyciele mówili, że ich praca ezoteryczna jest jedynie dla tych, którzy przeszli przez egzoterykę i osiągnęli pożądaną równowagę. To prawda, że przesłanie wielkich tradycji ezoterycznych brzmi, że jedynie wewnętrzna przemiana może prawdziwie przesylić nasze zewnętrzne działania prawdą, miłością i mocą. Ale większość tych technik transformacyjnych była pomyślana dla tych osób, które żyją w równowadze z tradycją. A ostatnio na Zachodzie mamy często do czynienia z mnóstwem informacji na temat praktyk wewnętrznych, dostępnych dla ludzi, którzy nie przeszli żadnych praktyk *zewnątrznych*”. (26)

Co się może stać ludziom, którzy zetkną się z wewnętrzną praktyką transformacyjną bez uprzedniej praktyki zewnętrznej? Needleman mówi: „Jeżeli praktyka duchowa jest zbyt intensywna, ‘rozsadza głowę’, staje się zbyt absorbująca lub prowadzi w świat fantazji. Można by porównać ezoteryczny rdzeń religii do bardzo czystego wysokooktanowego paliwa. Jeśli naleje się taką benzynę do starego volkswagena, auto będzie parę kilometrów pędziło jak wicher, a potem się rozleci”. (27)

Ten przemawiający do wyobraźni obraz może wyjaśniać dezorientacyjny skutek, jaki Kurs wywiera na studentów (i być może zapalny skutek, jaki wywiera na niektórych krytykach). Jeśli spojrzeć się na Kurs z punktu widzenia analizy Needlemana, zadziwiające jest w nim to, że okazuje się on transformacyjną praktyką wewnętrzną, która pojawiła się *bez* towarzyszącej jej praktyki zewnętrznej, to znaczy bez przykazań co do moralnego zachowania i bez prostych bezpośrednich sądów na temat różnych wyzwań codziennego życia.

Zatem za jedną z największych trudności Kursu Cudów można uznać problem jego maksymalizmu. Funkcjonuje on jako najwyższa nauka na temat natury świadomości rzeczywistości w świecie, w którym tylu ludzi potrzebuje prostszych, bardziej bezpośrednich odpowiedzi na ich codzienne problemy. Z własnego doświadczenia wiem, że Kurs nie wystarcza do rozwiązywania problemów codziennego życia. Nie powinno się go mylić z substytutem psychoterapii, poradnictwa czy po prostu porozumienia się z innym człowiekiem w chwili rozpacz. Zwłaszcza we wczesnych fazach studiów, Kurs może być bardzo zdradliwy i kłopotliwy, jeśli się zechce zbyt dosłownie zastosować jego nauki do chronicznych lub powszednich problemów.

Kurs może wywołać całkiem głębokie zmiany w świadomości, ale zachodzą one niezauważalnie i stopniowo. Ci ludzie, dla których Kurs w końcu staje się ścieżką przemiany duchowej, którzy dzięki niemu naprawdę łączą się ze swym źródłem wiarygodnej, wykraczającej poza ego mądrości - mogą naprawdę nie potrzebować już bardziej konkretnych form moralnego lub osobistego przewodnictwa. Osiągają taki wysoki stan instynktownej moralności, o jakim prawdopodobnie mówił święty Augustyn, wygłaszając mistyczną dyrektywę: Kochaj i rób co chcesz”.

Ale wszystkie ścieżki wiodące do takiego stanu są najeżone niebezpieczeństwami i możliwościami złudzeń. Zatem każdemu, kto wkracza na ścieżkę taką jak Kurs Cudów, doradzałbym utrzymywanie stałego kontaktu z szanowanymi i życzliwymi osobami, które nie podążają tą ścieżką, nie wyznają jej założeń ani nie mówią jej językiem. Wiarygodni ludzie z zewnątrz mogą rozstawić na drodze poszukiwaczy ezoteryki cenne „punkty



kontroli rzeczywistości”, a wyrafinowani sceptycy mogą poddać koniecznym testom czyjeś duchowe nauki.

Oczywiście Kurs Cudów nie jest jedyną ezoteryczną ścieżką dostępną dla współczesnych poszukiwaczy w „supermarkecie spirytualizmu”. Bez względu na to, jakie niebezpieczeństwa może ze sobą nieść podejmowanie wewnętrznych praktyk bez uprzednich zewnętrznych, wydaje się, że zataczające coraz szersze kręgi zjawisko społeczne „poszukiwania wewnętrznego” już się raczej nie cofnie. Jak wykazała ankieta *Newsweeka* w 1994 roku pięćdziesiąt osiem procent Amerykanów odczuwa potrzebę duchowego rozwoju, a trzydzieści trzy procent podało, że miało jakieś religijne czy mistyczne doświadczenia”. (28) Bardziej wyczerpująca ankieta przeprowadzona w 1987 roku przez *Better Homes and Gardens* wykazała, że sześćdziesiąt dwa procent respondentów podjęło lub zintensyfikowało studia duchowe niedługo przed ankietą, a dwadzieścia trzy procent stwierdziło, że zbliżyło się do jakiejś religijnej organizacji. (29) Może ostatnio ezoteryczny spirytualizm przyciąga więcej ludzi, dlatego że zewnętrzne ścieżki wielkich tradycji religijnych nie kwapią się z dostosowaniem ich egzoterycznego przewodnictwa do potrzeb szybko zmieniającego się świata, czego dowodem są stresy i napięcia, jakie obecnie przechodzi Kościół Katolicki. A może dzieje się tak dlatego, że stare religie światowe oddaliły się za bardzo od swojego wewnętrznego transformacyjnego rdzenia - co przepowiedział przeszło dwadzieścia lat temu Jacob Needleman, kiedy w *The New Religions* omawiając kryzys zachodniej religii powiedział:

„Jest tak, jakby miliony ludzi cierpiących na jakąś bolesną dolegliwość miało się zgromadzić, żeby posłuchać, jak ktoś czyta medyczny podręcznik, w którym skrupulatnie wymienione są środki konieczne do uleczenia ich choroby. Wszyscy czerpaliby wielkie pocieszenie z tej książki i z tego co usłyszeli, zyskując świadomość, że ich choroba jest uleczalna, cytowałiby fragmenty przyjaciołom, wychwalali pod niebiosa tę wspaniałą księgę i od czasu do czasu powracali do zgromadzenia, żeby posłuchać kogoś, kto czyta im o diagnozie i leczeniu. A w międzyczasie ich choroba oczywiście się rozwija i w końcu umierają, uśmiechając się na łożu śmierci z błogą nadzieją, kiedy słyszą jeszcze kolejny fragment tekstu. I może niektórym, zanim zamkną na zawsze oczy, przemknie przez głowę frasobliwa myśl ‘Czy ja o czymś nie zapomniałem?. O czymś ważnym? Czy nie zapomniałem w końcu o poddaniu się kuracji?’” (30)

Gdy Needleman pisał te słowa, powstawał właśnie nowy „podręcznik” przedstawiający duchową kurację naszych wszystkich niedomagań, który niebawem miał ujrzeć światło dzienne. Jak widać z tego rozdziału cały czas brak jest wyczerpującej, możliwie bezstronnej oceny jakości tego przewodnika transformacji, chociaż rośnie liczba pozytywnych, anegdotycznych świadectw (niektóre z nich zawarte są w następnym rozdziale). W jaki stopniu Kurs Cudów okaże się skuteczną ezoteryczną terapią egzystencjalnej choroby ludzkości, której bolesnymi objawami są między innymi zgryzota, głębokie cierpienie, wrogość i wyzysk, dopiero się okaże.

### **Część III**

#### **Życie z Kursem**

#### **Rozdział 9**

#### **Głosy studentów**

W tym rozdziale głos mają niektórzy studenci Kursu Cudów. Ponieważ z moich badań wynika, że nie da się zaszufłakować studentów Kursu, przedstawiony tutaj wybór opinii ma raczej odzwierciedlać ich różnorodność, a nie jakąś „normę”. Te krótkie wypowiedzi

pochodzą z wielu źródeł, w tym również z grup dyskusyjnych on-line, oryginalnych wywiadów i paru zamówionych esejów. Od osób początkujących po weteranów, od tych dla których Kurs stał się najważniejszą rzeczą w życiu po tych, którzy akceptują tylko niektóre jego nauki, wszystkie te głosy na różny sposób świadczą o poważnym oddziaływaniu tej liczącej zaledwie dwadzieścia lat nauki.

Inna sieć

*Esej ten został napisany przez detektywa, byłego pracownika Wydziału Policji w Los Angeles, który po niedługim okresie studiowania Kursu, umieścił tę informację w dyskusyjnej grupie w internecie. Mówi on, że chociaż Kurs „nie jest pierwszą ścieżką duchową, przez którą próbuję przebrnąć, wydaje się, że z pewnością wszedłem na nią w samą porę”.*

Ze względu na mój zawód, na świecie widzę przeważnie nienawiść, złość, zachłanność i strach. Sprawa O. J. Simpsona oraz fakt, że pracuję w południowo-zachodnim Los Angeles, sprawiły, że taki pogląd na świat osiągnął punkt krytyczny.

Zaczynałem czuć, że sam nie różnię się od ludzi, których próbuję wsadzić do więzienia. Parę tygodni temu niemal nie zrezygnowałem z pracy. I wtedy w jakiejś księgarni zacząłem czytać Kurs. Kiedy go kartkowałem, uświadomiłem sobie nagle coś, co mną wstrząsnęło: Ja nie jestem inny niż ludzie, których próbuję wsadzić do więzienia. Być może zostałem policjantem po to, by w jakiś sposób uporać się z tym, co było wewnątrz mnie... co jest wewnątrz mnie. Nie mogę kłamać i powiedzieć, że nagle patrzę na ludzi, których oskarżam, jak na święte, kochające dzieci Boże. Musiałbym najpierw w taki sposób spojrzeć na siebie. Ale widzę, że to właśnie takie moje postrzeganie ludzi i świata kreuje ból, gniew, strach, zachłanność i nienawiść, z którymi żyłem przez tak długi okres. Jako detektyw pracowałem nad najokropniejszymi zbrodniami, jakie można sobie wyobrazić. Wiem, że bardzo trudno przebaczyć osobom molestującym dzieci i myśleć o nich jak o świętych i pełnych miłości. Jednak rozumiem, że Kurs mówi, że zło, które widzę w tych zbrodniach i ludziach, jest tylko moim spojrzeniem na świat. Naprawdę w to wierzę. Świat, który widzę, jest moim własnym tworem. Przemoc i nienawiść, które widzę, nie pochodzą od kochającego Boga. Wystarczy sobie to uświadomić, żeby wkroczyć na tę ścieżkę.

Wiem, że ta nauka będzie trwała całe życie i spodziewam się, że nie będzie łatwa. Gniew jest łatwy, spokój trudny. Nienawiść jest łatwa, miłość trudna. Mnie samemu najtrudniej było poradzić sobie ze strachem. Myślę, że jeśli przezwyciężę swoje lęki, będę w stanie zrobić wszystko.

### **Omyłkowy napad**

*Kathi J. Kemper, M.D. jest lekarką pediatrą mającą praktykę w Seattle, w stanie Waszyngton oraz autorką książki The Holistic Pediatrician (Holistyczny pediatra) (wydana przez HarperCollins). Ta historia jest jej relacją na temat „szczytowych doświadczeń” związanych ze stosowaniem nauki Kursu.*

Brałam udział w konferencji w Filadelfii. Po wieczornej sesji wróciłam do swojego pokoju hotelowego, żeby się odświeżyć przed następną rundą obrad. Kiedy stałam w łazience czesząc włosy, zauważyłam, że w wannie stoi duży mężczyzna ubrany w połowy mundur. Odwróciłam się, on złapał mnie za ramię i zaczął zamykać drzwi. Zdawało mi się, że umysł rozszczępił mi się na dwie połowy i wydarzenia zaczęły się toczyć jakby w zwolnionym tempie. Słyszałam własny krzyk i zdawałam sobie sprawę z grozy zbliżającego się nieuchronnie ataku. Ale druga część mego umysłu przestawiła się na Kurs: „Jesteś moim bratem. To jest pomyłka. Nie możesz mnie zaatakować. Między nami nie może być nic poza miłością.”

Te myśli raz po raz powtarzane były w mej głowie, chociaż przy tym cały czas słyszałam jakby z oddali swój krzyk. Przez cały ten czas patrzyliśmy sobie w oczy. Mężczyzna nie zamknął do końca drzwi, zatrzymał się i powiedział "Musiała zajść jakaś pomyłka. To chyba nie ten pokój". Puścił moje ramię i wybiegł z budynku.

To przeżycie jest dla mnie silnym potwierdzeniem prawdy miłości i tego, że wszyscy jesteśmy złączeni z tą prawdą nawet wtedy, kiedy nam się wydaje, że myślimy, mówimy, robimy, czy nawet krzyczymy co innego. Nieznajomemu zdawało się, że napada na mnie, mnie się zdawało, że wrzeszczę, a przecież gdzieś na głębszym poziomie uświadomiliśmy sobie naszą jednię i rozumieliśmy, że wszystko inne, co myślimy, robimy lub mówimy jest pomyłką.

Często myślę o tym zdarzeniu, kiedy ktoś zadaje mi pytanie "Co byś zrobiła, gdybyś stanęła twarzą w twarz z kimś uzbrojonym, kto zagrażałby tobie lub komuś bliskiemu?" Oczywiście, ludzie uważają, że w takiej sytuacji wychodzi szydło z worka i że albo byśmy sami strzelili do kogoś w obronie własnej albo dalibyśmy się postrzelić. Nie wiem, co powinno się zrobić w takiej sytuacji ani nie wiem co ja sama bym „zrobiła”, gdyby kiedykolwiek coś mi się jeszcze takiego zdarzyło. Modłę się tylko o to, żeby jakaś część mego umysłu pozostała na tyle normalna, żeby pamiętać prawdę o naszej jedni.

### **Dawanie i otrzymywanie**

*Charlie Cowan był założycielem Północnozachodniej Fundacji Kursu Cudów (Northwestern Foundation for A Course in Miracles). Obecnie Cowan mieszka w San Diego i prowadzi tygodniowe lekcje z Kursu w Kościele Unity /Jedności/.*

Od 1986 roku jestem pilnym studentem Kursu. Moja ukochana żona Shirley podziela moje przywiązanie do Kursu i jego zasad. Osiem lat temu wyzbyliśmy się wszystkiego: pracy, biznesu, domu, samochodów i całkowicie oddaliśmy się Kursowi. Podróżowaliśmy po Zachodzie USA rozmawiając ze studentami Kursu, a potem, jakieś trzy lata temu, osiedliliśmy się jako kierownicy parkingu domów na kółkach.

Oczywiście, mogę przemawiać tylko we własnym imieniu. Ale jeśli chodzi o mnie, zainwestowałem w Kurs i jego zasady wszystko, co zdawało mi się, że posiadam. Jedną z tych zasad brzmi: Dawanie i otrzymywanie są w rzeczywistości tym samym; możesz otrzymać tylko to, co sam dajesz. Ponieważ jestem okropnie samolubnym osobnikiem, musiałem oddać absolutnie *wszystko* tym zasadom, których nauczam po to, by się ich uczyć samemu.

A o to, co otrzymałem w zamian:

1. Wyleczenie z alkoholizmu
2. Kochaną i kochającą żonę, Shirley.
3. Przyjaciół, z którymi mogę śmiać się i płakać o każdej porze i z byle powodu.
4. Szczęście
5. Spokój ducha
6. Osobiste doświadczenie cudów w moim życiu i życiu otaczających mnie ludzi
7. Przywrócenie związku z Bogiem
8. Uświadomienie sobie miłości łączącej mnie z moją biologiczną rodziną
9. Przebaczenie mojego ojca
10. Przebaczenie sobie samemu
11. Pogodzenie z córką i synem

Ile mnie to kosztowało?

1. Moje poczucie winy
2. Mój strach
3. Mój ból
4. Moja samotność

Nienajgorzej dla starego pijaka, prawda? Niezły interes. Nawiasem mówiąc, w książce zainwestowałem zero dolarów ponieważ dostałem je w prezencie, a jakąś kasetę kupiłem za pół dolara na pchlim targu. Ale nie bardzo mi się podobała. Zamiast niej wolę słuchać wewnętrznego Głosu Spokoju.

### **Poślubić Kurs**

*Tom Davies z Orem w stanie Utah, był mormonem, zawodowo parął się neurologią, dyscypliną, która kiedyś przekonała go, że mózg jest siedliskiem wszystkich myśli i zachowań. Obecnie mówi, że dostrzega „potęgę umysłu zdolnego do wymyślania iluzji świata fizycznego”. Od 1986 student Kursu, Davies niedawno założył pismo Love and Forgiveness.*

Od kiedy zacząłem studiować Kurs dziesięć lat temu, stał się on solą w oku mojej żony. Na początku usiłowałem go jej narzucić i ona naprawdę uczciwie starała się go zrozumieć, ale bez powodzenia. Potem zaczęła mieć mi za złe, że spędzam za dużo czasu i pieniędzy na sprawy związane z Kursem takie jak organizowanie u nas w domu tygodniowych grup studyjnych i wydawanie biuletynu.

Zanim zaangażowałem się w studia, nie rozmawialiśmy dużo ze sobą. Ona robiła swoje, ja swoje. W miarę, jak coraz lepiej rozumiałem Kurs, zdałem sobie sprawę, w jakim stopniu nasz związek jest specjalny: ja wykorzystywałem żonę do zaspokojenia moich potrzeb i vice versa. Kiedy sobie to uświadomiłem, postanowiłem, że chcę zmienić ten specjalny związek w święty związek. Mogłem to zrobić tylko wtedy, gdybym naprawdę był gotowy kochać ją bezwarunkowo - widzieć w niej osobę bez winy bez względu na to, co może zrobić. Ponieważ byliśmy do siebie przywiązani, ta zmiana percepcji była stosunkowo łatwa.

Wraz ze zmianą mojego postrzegania, poprawiła się nasza zdolność porozumiewania się. Zaczęliśmy częściej mówić o naszych uczuciach. Nauczyłem się rozumieć jej uprawnione obawy o Kurs (i inne rzeczy), a ona nauczyła się akceptować (w miarę rozsądku) moje zaangażowanie w Kurs. Bardziej niż kiedykolwiek każde z nas jest pewne tego, że się nawzajem kochamy i że z rozmysłem się nie skrzywdzimy.

Już prawie przestałem złościć się na żonę, ponieważ teraz rozumiem ją i akceptuję taką, jaka jest. Kiedy czasami wpadam w złość, orientuję się, że wybieram strach nie miłość i staram się inaczej spojrzeć na to, co wywołało moje zdenerwowanie.

Z własnego doświadczenia wiem, że rozwód nie jest jedyną ani główną opcją wtedy, gdy małżeństwo nie zgadza się w sprawie Kursu (lub w jakiegokolwiek innej). Kiedy dwoje ludzi się kocha i szanuje nawzajem, mogą nie zwracać uwagi na dzielące ich różnice. Jednak, kiedy zaczynają tracić tę miłość i wzajemny szacunek, różnice te nagle zyskują na znaczeniu. Nie podobieństwa ani nie różnice przyczyniają się do powodzenia jakiegoś związku, ale miłość, którą się dzieli.

### **Widzieć światło**

*Ann (nazwisko nie podane) z Virginii:*

Jeszcze dwa i pół roku temu, kiedy natknęłam się, a raczej zostałam doprowadzona do Kursu, byłam ateistką. Do tamtej pory nie byłam w stanie uznać, że Bóg odgrywa jakąkolwiek rolę w moim życiu ani nie wierzyłam w „życie po śmierci”. Studiowanie Kursu zainspirowało mnie do wielu doświadczeń, przez które diametralnie odmieniłam swoje dotychczasowe przekonania.

Okazjonalnie, podczas medytacji, wzywałam i komunikowałam się „psychicznie” ze zmarłymi bliskimi. Wierzę, że to jest prawdziwe porozumiewanie się, a nie moja wyobraźnia, ponieważ treść tych przesłań jest bardzo szczególna i czasem zdumiewająca. Często były one kompletnym zaprzeczeniem moich „świętych” przekonań co do różnych sytuacji.

Ośmielona tymi doświadczeniami, wezwałam kiedyś ducha samej Helen Schucman i poprosiłam ją, nie sugerując żadnych odpowiedzi, o radę, jak studiować Kurs. I rzeczywiście usłyszałam radę, i to najcenniejszą jaką dostałam w całym życiu. Chociaż zadałam pytanie mało konkretnie, oczekiwałam i liczyłam na poradę, która pomogłaby mi w rozstrzygnięciu konkretnego problemu związanego z moją pracą zawodową. Zamiast tego usłyszałam, żeby się po prostu odprężyć i skoncentrować na „Świetle” tak długo, jak będę mogła. Było to bardzo jasne Światło wewnątrz mej głowy, które przepełniało mnie olbrzymim poczuciem komfortu psychicznego. Nie znałam nigdy dotąd takiego uczucia i od tej pory nieczęsto mi się ono zdarzało. Cały czas miałam nadzieję, że dostanę dokładną instrukcję odnośnie mej kariery, chciałam usłyszeć „słowa”. Ale żadne słowa nie zabrzmiały. Mimo to uczucie to było tak cudowne, że pozwoliłam, by przepływało przeze mnie możliwie jak najdłużej.

Po około dwudziestu minutach zaczęły nachodzić mnie rozpraszające myśli i światło zbladło, więc pozwoliłam, by się oddaliło. Byłam szczęśliwa, pewna siebie i spokojna. Mniej więcej po minucie zaczęła się dziać coś dziwnego: usłyszałam cichy, autorytatywny głos, to był mój głos, ale przemawiał bardziej zdecydowanie niż zazwyczaj. Udzielił mi przykrew wskazówki co do pewnych ważnych istniejących wówczas związków w moim życiu. Następnie opowiedział o moich trzech poprzednich wcieleniach i ich związku z problemami, przed którymi stałam obecnie. W owym czasie nie wierzyłam w reinkarnację. Informacje te przyszły do mnie od razu, ale w ciągu mniej więcej następnych dwóch dni przesaczyły się więcej informacji.

Żadna z tych rad nie dotyczyła bezpośrednio sprawy zawodowej, o której rozmyślałam i na pewno nie tego oczekiwałam. Gdyby jakaś przyjaciółka zaoferowała mi się nieproszona z takimi mądrościami, byłabym na pewno na nią głęboko obrażona. Ten wiedzący wszystko głos ujawnił sekrety, do których nie chciałam się przyznać sama przed sobą i naprawdę byłam zażenowana! Ale z czasem postanowiłam zastosować się do usłyszanych wskazówek.

Gdy patrzę wstecz, widzę, że posłuchanie tej rady stanowiło bardzo ważny punkt zwrotny w moim życiu. A jednak, usłyszawszy ten głos, zastanawiałam się, czy to naprawdę Helen Schucman pomogła mi w ten sposób. Później w książce Kena Wapnicka *Absence from Felicity* przeczytałam, że kiedy Helen proszono o radę, odpowiadała ludziom, że nie poprosi w ich imieniu Jezusa o pomoc, ale że będzie się modliła z nimi. Gdy to czytałam, uderzyła mnie myśl, że ja uzyskałam pomoc w taki właśnie sposób, kiedy zostałam poinstruowana, żeby utrzymać jak najdłużej świadomość Światła. Odpowiedzi, które nadeszły później nie pochodziły od Helen, ale były wynikiem jej duchowego połączenia się z mym umysłem. Byłam w stanie osiągnąć jej jasności, po to by umocnić swoją. Bowiern jak uczy Kurs, wszystkie umysły są połączone.

### **Nie widzieć Światła**

*Michael Gann, lat 45, jest doktorantem psychologii na Uniwersytecie Southern California. Swój list poprzedził cytatem z „Hitchhiker’s Guide to the Galaxy” (Autostopem przez galaktykę) Douglasa Adamsa: „Na początku został stworzony świat. To bardzo rozzłościło wielu ludzi i było powszechnie uważane za zły ruch”.*

W 1987 roku pracowałem na amerykańskiej giełdzie papierów wartościowych jako submakler. W czasie krachu straciłem mnóstwo klientów i prawie połowę dochodów. Przez wiele tygodni przeżywałem depresję z powodu moich strat i małżeństwa, które się właściwie zakończyło. Pewnego dnia zdałem sobie sprawę, że mimo iż poniosłem poważne straty, cały czas zarabiam znacznie więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek śniłem. Najbardziej uderzyło mnie to, jakim głupcem byłem dając z siebie tyle, po to, żeby zarabiać pieniądze. Doszedłem do wniosku, że życie polega na czymś więcej i że moje poczucie pustki nie było spowodowane tylko pieniędzmi.



Za czasów młodości, bawiłem się trochę w teozofię i astrologię, potem brałem udział w tygodniowych sesjach channelingu, ale zdawało mi się to trochę oszukańcze. Chociaż niektóre przesłania przekazane drogą channelingu przemawiały trochę do mej intuicji, wiedziałem, że to nie dla mnie. Przeczytałem dużo różnych książek, zanim trafiłem na Kurs Cudów. Już w czasie pierwszych zajęć, w których wziąłem udział, poczułem, że Kurs przemawia do mnie, mimo że w zajęciach tych było mi czegoś brak. Któregoś wieczoru znajomy student opowiedział, że brał udział w seminarium prowadzonym przez Kena Wapnicka i spodobało mi się to, co mówił o podejściu Kena. Zaplanowałem, że w następny weekend wezmę udział w seminarium w Fundacji Kursu Cudów i ten pierwszy weekend w Fundacji wytyczył drogę moim dalszym studiom Kursu. Objasnienia Kursu podawane przez Kena były jak uderzenie obuchem w głowę.

Dla mnie najcenniejszą ideą w Kursie Cudów jest ta, że chociaż możemy zbaczać z naszej głównej drogi, w końcu wszyscy razem zmierzamy do domu. Metafora snu, w której Syn śpi i śni mu się wygnanie, jest chyba najbardziej kojącą i dodającą otuchy ideą, z którą się kiedykolwiek zetknąłem.

Czasami, a może nawet większość czasu, myślę, że życie zgodne z Kursem jest niewiarygodnie trudne. Chociaż wymagania są pozornie tak niewielkie, nawet one mogą się wydawać olbrzymim poświęceniem. Po przeprowadzce do Los Angeles zacząłem brać udział w spotkaniach grupy, która zbierała się od wielu lat. Gdy zacząłem z nimi rozmawiać o tym, co według mnie chce powiedzieć Kurs, bardzo szybko połowa z nich się wykruszyła. Minęły dwa lata, ja cały czas biorę udział w tych spotkaniach, ale teraz przygotowuję dyskusje i w większym stopniu wprowadzam idee Kena i Glorii Wapnicków. Teraz moja grupa nie przesyła już białego światła ludziom, chociaż cały czas modli się za chorych członków. Kiedyś w Santa Monica wyszedłem ze spotkania, na którym cały wieczór modlono się za czyjś zdechłego niedawna psa. Jest jeszcze sporo innych historii o grupach mających swoje rytuały i przesyłających białe światło, ale wszystkie one popełniają ten sam błąd. Nasz strach jest tak wielki, że musimy upiększać i Kurs i świat oraz negować nasze projekcje.

### **Poza magią**

*Michael Brewer, lat 37, jest Amerykaninem mieszkającym w Szwajcarii z żoną Szwajcarką i córką. Mówi, że jego duchowe życie zaczęło się koło dwudziestki od praktykowania afirmacji, które poprawiły jego materialne warunki, ale cały czas go nie satysfakcjonowały, ponieważ jego „pragnienia były studnią bez dna”. W 1983 roku zaczął afirmacje zgodne z filozofią Kursu, ale stwierdzał, że nadal zmaga się z problemem kontrolowania, „robienia niektórych rzeczy po Bożemu, a innych po swojemu”. Po raz trzeci sięgnął po Ćwiczenia, kiedy poczuł, że jest w końcu gotów kompletnie zrezygnować z kontroli.*

Jak tylko się na to zdecydowałem mój domek z kart runął. Moje związki z innymi ludźmi się rozsypały, praca rozpadła, pieniądze przestały napływać, samochody się psuły, za wszystko zbierałem mandaty. Gorączkowo machałem swoją magiczną różdżką afirmacji, ale przestała działać. Kurs mówi, że za wizję jednego świata płaci się wizją drugiego. Teraz stanąłem w obliczu ziejącej pustki, którą przez te wszystkie lata zapełniałem. Zrozumiałem, że afirmowałem i manifestowałem tak szybko, jak tylko mogłem, żeby nie dać się przyłapać na wstydlivej tajemnicy, do której nikomu, nawet sobie, się nie przyznawałem. Otóż pewne wydarzenia i sytuacje z mojego dzieciństwa postrzegałem jako krzywdzące. Wytlumaczyłem je sobie tak, że Bóg mnie karze i że nigdy nie będę w stanie zaufać Bogu, że da mi to, czego potrzebuję.

Moje ego zajęło się więc łapczywym gromadzeniem tych rzeczy dla mnie i jak uparte dziecko rzucałem się na uwagę innych, pieniądze i miłość. Na tej decyzji, by uzurpować sobie rolę Boga, polegał mój osobisty upadek ze stanu łaski. Byłem jak anioł, który z

krzykiem wypadł z nieba; gdy uświadomiłem sobie, że to ja zgotowałem sobie taki los, przepłakałem w rozpaczynie wiele dni.

I wtedy rozległ się dźwięk trąbek anielskich. Moje ego, jak dziecko kwilące w mokrych pieluchach, zostało wyjęte z kołyski, podniesione i spojrzęło w mądrą współczującą twarz, której oczy patrzyły z bezwarunkową miłością. Przypomniałem sobie, że jestem ukochanym Synem Bożym i tego dnia płakałem już z radości. Kiedy zrezygnowałem z list afirmacji, moje życie przybrało obrót, jakiego się nigdy nie spodziewałem. Dzięki Kursowi nauczyłem się przesiadać na siedzenie pasażera i oddawać kierownicę Bogu. Mówiąc uczciwie, cały czas nie mogę się powstrzymać, żeby nie dawać Mu rad, jak ma jechać, gdzie i nawet od czasu do czasu łapię za kierownicę. Myślę, że jestem najszczęśliwszy właśnie wtedy, gdy łapię się na tym, że chcę już wyrwać kierownicę, ale tego nie robię. Większość czasu czuję się szczęśliwy, chociaż nie jest to hałaśliwe, dudniące w uszach szczęście, którego szukałem. Słyszę raczej słodki głos dochodzący do mnie z pachnącą bryzą, mówiący mi, że niczego we mnie nie brak i przypominający mi, że życie jest znacznie łatwiejsze, gdy się jest pasażerem. Ta zmiana percepcji jest tym, co Kurs nazywa cudem, a cuda są tym, co czeka nas gdy wykroczymy poza magię.

### **Psychologia Kursu - tak, metafizyka Kursu - nie**

*Ted Grabowski jest czterdziestoletnim prawnikiem w północnej Kalifornii, ma córkę studentkę. Grabowski mimo pozytywnych doświadczeń katolickiego wychowania, wchodząc w dorosłość, znalazł się jednak pod urokiem „ naukowego i filozoficznego materializmu” dochodząc do przekonania, że „fizyka i nauka o mózgu mogą wszystko wyjaśnić”. Zanim zaczął praktykę prawniczą, uzyskał stopień z psychologii i filozofii.* Karl Jung powiedział kiedyś, że przez pierwszych trzydzieści pięć lat życia rozwijamy swoje ego, a przez resztę usiłujemy się go pozbyć. Tak samo było ze mną. Dopiero kiedy osiągnąłem ten magiczny wiek, w moje życie wkroczył Kurs i wywarł na mnie wspaniały transformacyjny skutek. Ze wszystkich książek, które czytałem, gdy studiowałem psychologię, tylko jedna książka psychologiczna wywarła na mnie nieprzemijające wrażenie: Geralda Jampolsky'ego: *Miłość to wolność od lęku*. Stosując się do jej nauk, odnajdywałem zawsze spokój. W tym okresie nie słyszałem jeszcze nic o Kursie ani nie wiedziałem, że Jampolsky go studiuje. Niedługo potem wpadła mi w ręce *A Return to Love* Marianne Williamson i byłem pod wrażeniem miłości i spokoju, jakie w niej znalazłem. Wróciłem do księgarni, żeby kupić egzemplarz Kursu, ale akurat był wyczerpany. Kupiłem więc zamiast tego *Forgiveness and Jesus* (Przebaczenie i Jezus) Kena Wapnicka; rozplakałem się, gdy zobaczyłem delikatny rysunek Jezusa na okładce. Tak długo byłem z dala od Jezusa i Boga, że obezwładniła mnie radość tego powrotu. Zacząłem zatem na poważnie studiować Kurs, czytać tekst, przerabiać ćwiczenia, czytać komentarze i słuchać taśm. Odmieniły mnie psychoduchowe zasady Kursu, zwłaszcza nauka, że są tylko dwa uczucia, miłość i strach. Stałem się miększy, częściej doświadczałem spokoju, zaczynałem naprawdę rozumieć, że gniew nie jest nigdy usprawiedliwiony. Nauczyłem się słuchać cichego głosu we mnie, głosu Boga. Odkrycie Kursu rozbudziło moje zainteresowanie duchowością, w ogóle. Uczęszczałem na wykłady uczonych badających Nowy Testament, zaczytywałem się w dziełach na temat psychologii transpersonalnej i religii porównawczej. Podczas studiowania Kursu, stwierdziłem, że jedna z jego nauk wyjątkowo nie zgadza się z tym, czego nauczał historyczny Jezus. Dlaczego Kurs mówi, że świat został stworzony jako atak na Boga? Chociaż wiele osób wierzy, że Jezus jest autorem Kursu, ta teza nie brzmiała mi jak coś, co Jezus mógłby powiedzieć. Próbowałem pogodzić to stwierdzenie z chrześcijaństwem i naukami mistyków innych duchowych tradycji, ale na próżno. Zabrałem się za studiowanie historii gnostycyzmu i dowiedziałem się o hinduskich naukach znanych jako Advaita Vedanta. Później dowiedziałem się, że matka Helen

Schucman była scjentystką i że Bill Thetford też wychowywał się w środowisku wyznawców tego kościoła. Wierzę, że są przekonujące dowody na to, że Helen musiała zapoznać się z głównymi zasadami kościoła chrześcijańskiej nauki (1) - religii, która zawiera główne idee hinduizmu. Uważam, że Kurs jest kombinacją psychologii spójnej z naukami historycznego Jezusa oraz jakąś formą metafizyki hinduskiej i platońskiej, która nie jest zgodna z tymi naukami.

W tej układance cały czas mi brakowało kawałka, dopóki nie przeczytałem *Sex, Ecology and Spirituality* (Płeć, ekologia i duchowość) (Shambhala) Kena Wilbera, w której opisuje on trzystopniowy proces wiodący do oświecenia. Pierwszym krokiem jest oderwanie się od wiary w ograniczone fałszywe „ja” ego. Drugim - ponowna identyfikacja mistyka z Bogiem - Jedynym, którym jest miłość. Wreszcie powrót do wielości, co oznacza widzenie miłości Bożej w stworzeniu i wielu Boskich istotach. Istoty Boskie nie należy rozumieć jako iluzorycznej napaści na Boga, ale jako manifestacje Jego miłości.

Fundamentalistyczne spojrzenie na Kurs jako na naukę bezbłędną i wystarczającą uniemożliwia wielu studentom uświadomienie sobie, że Kurs zupełnie zawodzi, jeśli chodzi o ten trzeci krok niedualistycznego oświecenia, tak pięknie i spójnie opisany przez wielkich mistyków. Doświadczenia z historii myśli duchowej wskazują, że często u kogoś, kto zatrzymuje się na dwóch pierwszych krokach, dochodzi do „zamrożenia funkcjonowania”. Wielu studentów Kursu, nie postawiwszy tego trzeciego kroku, nie potrafi, bez uprzedniej konsultacji z Duchem Świętym, odpowiedzieć sobie na proste pytania jak: *Czy mam posadzić drzewo? Czy powinniśmy szukać lekarstwa na raka i AIDS? Czy powinienem nakarmić głodnego i ubrać bezdomnego?*

Dla kogoś, kto studiował życie i nauki Jezusa, w metafizyce Jezusa z Kursu zbyt wiele rzeczy brzmi fałszywie. Jezus, który był Żydem, nauczał miłości dla życia i stworzenia. Wielu studentów Kursu wierzy, że Jezus z Kursu naucza, że każda forma we wszechświecie, łącznie z ogromnymi sekwojami, kwiatami i domowymi zwierzętami, została stworzona przez odseparowanego Syna po to, żeby zaatakować Boga. Jezus posługiwał się przypowieściami, tak żeby nawet dzieci mogły Go zrozumieć. Jezus również służył i uzdrawiał, i nas również wzywa do służenia i uzdrawiania. Jezus z Kursu nie prosi nas, byśmy służyli ani uzdrawiali, tylko byśmy uzdrowili swoje umysły. O ile najlepszymi darami są te dawane z bezinteresownych pobudek, kanapka dana komuś bezdomnemu przez egotystycznego i nieuzdrowionego dawcę, którym nie kieruje Duch Święty, pozostaje jednak pięknym pełnym miłości darem - *mitzwą*.

Podczas gdy cały czas czerpię inspirację z wielu psychologicznych koncepcji zawartych w Kursie, jestem obecnie przekonany, że jego metafizyka wynika z osądu, że cały fenomenalny świat jest niewart Boga - [jest wynikiem] niepowodzenia bezwarunkowej miłości dla Boga. Dlatego teraz nadal czytam Kurs, bo podoba mi się jego wgląd w miłość, przebaczenie, projekcję i winę. Ale swoją metafizyczną prawdę odnajduję w życiu i naukach wielkich mistyków, którzy nie zapadli się w siebie i tam już zostali ani nie spychają wielu stworzeń Boskich w zapomnienie nierzeczywistości.

### **Fundamentalna zmiana**

*Allen Watson jest partnerem Roberta Perry'ego w ośrodku nauczania Circle of Atonement (Krag Zadośćuczynienia) w Sedonie, w stanie Arizona (zobacz Rozdział 3). Pracował jako menadżer systemów komputerowych i miał stałą rubrykę w magazynie informatycznym.*

*Watson mówi o sobie jako byłym „powtórnie narodzonym chrześcijaninie”, który wypróbował różnorodnych nauczycieli i praktyki ezoteryczne, w tym est (Erhard Seminar Training), różne nauki przekazywane drogą channelingu, religie Wschodu i amerykańskiego guru Da Free Johna.*

Przeczytałem tekst Kursu mniej więcej w miesiąc. Nie mogłem się od niego oderwać. Już w chwili gdy zacząłem lekturę, byłem pewien, że znalazłem coś jakby stworzone właśnie

dla mnie. Była tam cała duchowa mądrość, którą tak cenilem w chrześcijaństwie, a której nie dostrzegała większość chrześcijan. Wszystkie znajome symbole, ale pięknie zinterpretowane na nowo. Cały zakres i rozległość religii Wschodu, szereg spostrzeżeń z zakresu psychologii - wszystko tam jest. Czytałem dzień i noc. Zaśmiewałem się na głos, gdy czytałem, czasami przepelniony olbrzymią radością i uniesiony przekonaniem, że nie ma i nigdy nie było żadnej Woli poza Boską Wolą. Miałem przynajmniej jedno pełne mistyczne przeżycie, jakbym doświadczył „kosmicznej świadomości”.

Jednak głęboko niepokoił mnie sposób, w jaki Kurs pod wieloma względami nie zgadza się z Biblią, w sprawach takich jak śmierć Jezusa Chrystusa będąca ofiarą i odkupieniem, rzeczywistość grzechu, nie mówiąc już o tak ważnej rzeczy dla mnie jak nieomyślność Biblii. Przy tym cała reszta Kursu przemawiała do mnie bardzo silnie, jakby chcąc mi uświadomić to, o czego zrozumienie walczyłem przez całe życie, wobec czego postanowiłem nie zwracać uwagi na partie, które mi się nie podobają i brać tylko to, co mi się odpowiada. Jednak mój entuzjazm trochę przygasł.

Odłożyłem Tekst na jakiś rok czy dwa i zacząłem przerabiać Ćwiczenia. Zajęło mi to około dwa i pół roku. Mój brak dyscypliny był rażący, cały ten czas eksperymentowałem z innymi rzeczami. W końcu stanąłem w obliczu decyzji, czy zostać czy nie formalnym „przyjacielem” mistrza Da Free Johna (był to pierwszy krok do zostania wiernym tego guru). W tym trudnym okresie bardzo jasno dotarło do mnie, że ja już mam guru: Jezusa. A ścieżką wybrana przez niego dla mnie był Kurs.

Zacząłem od nowa czytać Tekst i odkryłem, ku swemu niemałemu zdumieniu, że ktoś majstrował przy moim systemie przekonań. Nie byłem już tak przywiązany do doktryn fundamentalistycznych. Byłem gotów rozważyć możliwość, że mogą być błędne i im więcej czytałem, tym bardziej się orientowałem, że te partie Kursu, które mi odpowiadają, nie mogą być prawdziwe, o ile te które wywołują mój niepokój, też nie są prawdziwe. „Kursowi trzeba uwierzyć całkowicie albo wcale” (2) Moja fundamentalistyczna opoka, która jak sądziłem, nigdy mnie nie opuści, po prostu się rozpadła.

### **Konsultacje z niezwykleymi towarzyszami**

*Mike Gole jest wyświęconym kapłanem od ponad trzydziestu lat. Obecnie jest pastorem kościoła Assembly of God (Zgromadzenia Bożego) w południowej Kalifornii.*

*A Return to Love* Marianne Williamson pojawiło się w moim życiu w sposób niechciany. Jakiś klub książki, do którego należę, przysłał mi je przez pomyłkę. Była to jedna z tych boskich pomyłek, które tak subtelnie skierowują czyjeś życie na nowe tory. Chociaż przez rok książka stała na półce nietknięta, nastąpił taki okres w moim życiu, kiedy miłość zdawała się bardzo daleka i moją uwagę zwróciły słowa *A Return to Love* (powrót do miłości). Przeczytałem tę książkę od deski do deski w jeden dzień i zapragnąłem czegoś więcej. To coś więcej, czego szukałem, znalazłem w Kurs Cudów.

Jako student i nauczyciel Biblii w fundamentalistycznym kościele ewangelickim, odkryłem, że czytając Kurs, mam uczucie, jakbym czytał list od starego przyjaciela. Przeżywałem taką samą radość i poruszenie, jak za pierwszym razem, kiedy czytałem Biblię i szukałem ukrytych w niej prawd. Wiele pytań, na które przez lata nie znajdowałem odpowiedzi, zaczęło znikać w miarę, jak poznawałem Kurs, chociaż szybko zastępowały je liczne nowe pytania. Kurs uczy radzenia sobie z pytaniami bez odpowiedzi w zupełnie inny sposób: trzeba spokojnie, nienerwowo pozwolić, żeby Bóg był nauczycielem.

Kurs prosi nas również, żebyśmy na chwilę odsunęli na bok wszystkie nasze przekonania i pozwolili Bogu, żeby nas czegoś nauczył tego dnia. Taka prosta zmiana w moim własnym sposobie myślenia pozwoliła mi na wejście w zupełnie nowe obszary nauki. Przecież, jeśli nie będzie mi się podobało to, co czytam, czy ćwiczę te parę chwil, zawsze mogę powrócić dokładnie do tego w co wierzyłem przedtem. Nie było obaw, że jeżeli przeczytam coś



nieprzyjemnego, będę już na zawsze odcięty od Boga. Kurs dał mi swobodę odłożenia na później jego nauk, jest to wspaniała swoboda, jakiej nie oferuje żadna inna nauka. Teraz, kiedy byłem wolny od swojej przeszłości i wpływu mojego ego, lekcje z Ćwiczeniami zaczęły żyć własnym życiem. Spędzałem codziennie po dwie, trzy godziny wcielając te nauki w swoje życie i zaszły w nim zdumiewające przemiany. Nie tylko nie frustrowało mnie to, że poświęcam tyle czasu na ćwiczenia i czytanie Tekstu, odkryłem, że potrzebuję znacznie mniej czasu na wszystkie codzienne zajęcia. Czynności, które zajmowały mi przedtem wiele godzin, teraz kończyłem w parę minut. Zakupy i sprzątanie szły mi bez najmniejszego wysiłku w rekordowym tempie. A służbę kapłańską widziałem z taką jasnością, że z radością patrzyłem, jak Bóg czuwa nad nimi z łaską i pokojem. Najbardziej uderzającym przykładem tych przemian są moje doświadczenia z naukami Kursu dotyczącymi przebaczenia. Podczas służby kościołowi miałem do czynienia z brzydkim postępowaniem członków mej kongregacji, powszechne były wzajemne ataki, nie mówiąc już o rozłamach i kłótniach, które mają miejsce w każdej parafii. Nawet znając najważniejsze przesłanie miłości z Pisma Świętego, moi parafianie cierpieli i ranili się z powodu braku umiejętności wybaczenia. Ja również przez całe życie cierpiałem z powodu nieprzebaczenia i goryczy jaką czułem wobec tych, którzy występowali przeciw mnie i mojej pracy lub obmawiali mnie za plecami. Kiedy przeczytałem Tekst i przerobiłem pierwszych pięćdziesiąt lekcji z Ćwiczeń, nabrałem przeświadczenia, że przebaczenie jest jedyną drogą ucieczki od szaleństwa. Zacząłem więc eksperymentować przebaczenie na osobie, która wprowadziła podział w mojej parafii. Kurs naucza, że kiedy przebaczymy naszym braciom, przebaczymy również sobie. Jeśli widzę, że mój brat jest bez grzechu, tak samo patrzę też na siebie. To była dla mnie subtelna zmiana w myśleniu, ale właśnie tego rodzaju zmiany Kurs nazywa „cudami”. I jakież cud mnie czekał. Parę miesięcy po odejściu z kościoła mężczyzny, któremu już wewnątrz przebaczyłem, pojawił się on nagle po jednym z nabożeństw na parkingu przed kościołem. Od czasu jego odejścia nie kontaktowaliśmy się w żaden sposób. Szedłem ku niemu przepelniony radością i miłością dla niego, wszystkie uczucia agresji i nienawiści odpłynęły, zobaczyłem go w całej jego niewinności. Bez słowa zbliżyłem się i objąłem go. Po prostu staliśmy tak objęci; to było wspaniałe uzdrowienie. Jedyną trudnością, jaką sprawiał mi Kurs, była próba pogodzenia go z Biblią, jako że Kurs używa wielu biblijnych terminów w zupełnie innym znaczeniu niż chrześcijańska ortodoksja. Łatwiej mi było patrzeć na te dwie nauki jak na towarzyszy, z których każdy ma swoje zasługi. Wierzę, że i Kurs i Biblia zostały nam dane od Boga i oba dają nam Jego światło. Lekcja 50 z Ćwiczeń najlepiej podsumowuje to, czego nauczyłem się z Kursu „Podtrzymuje mnie Miłość Boga”.

### **Medytacja koło dwudziestki**

*Jennifer Wallenfels, dwudziestosiemioletnia mieszkanka Seattle, jest młodsza od większości studentów Kursu. Absolwentka wydziału sztuki i muzyki Evergreen State College, Jennifer pracowała jako sekretarka, kiedy napisała następujące oświadczenie. Uważając, że nie mogłaby zostać studentką Kursu, gdyby nie A Return to Love Marianne Williamson, Wallenfels jest obecnie zdania, że książka Williamson odnosi się do „początkujących”, a ona przeszła już na bardziej zaawansowany poziom Kena Wapnicka. Kurs Cudów naucza, że moim jedynym celem jest osiągnięcie wewnętrznego spokoju. Co za ulga! Tyle czasu w życiu poświęciłam na zmagania, żeby stać się czymś. Teraz wiem, że nie muszę bić się o to, żeby wykreować z siebie jakąś wspaniałą postać - wystarczy tylko, że ją odkryję. To jest niewiarygodnie trudne, ale i tak wydaje się lepsze niż walka ze światem. Nawet wtedy, kiedy nie zwracam uwagi na to, co Kurs Cudów mówi i próbuję wszystkich starych sztuczek ego, gdzieś z tyłu głowy mam świadomość, że można inaczej*



patrzeć na świat. Dobrze jest wiedzieć, że prawda będzie zawsze czekała, aż będę gotowa, żeby do niej dotrzeć. Przed odkryciem Kursu, nie miałam poczucia, że mam do czego wracać. W tym sensie jest to dla mnie jakaś kotwica.

Ostatnim razem, porzuciłam studia Kursu, bo się naprawdę rozłościłam! Nie wiem, ile razy przerabiałam z ćwiczeń tę lekcję: „Moje myśli nic nie znaczą”. (3) W którymś momencie wróciłam do niej i nagle pomyślałam, *O co tu chodzi, moje myśli nic nie znaczą?! Do diaska, znaczą i to dużo!* Oznaczają moje stałe uwięzienie, wiem. Nie mam pojęcia, dlaczego do tej chwili nie przyszło mi to do głowy.

Stale zdumiewa mnie to, jak mogę czytać, uświadamiać sobie i rozumieć te koncepcje a jednocześnie tak łatwo już po minucie, a nawet sekundzie popadać w stare tory myślenia. Muszę wciąż czytać i przypominać sobie stale o tych rzeczach, mimo że wiem, jak są bezwzględnie prawdziwe.

Problemem, z którym borykam się teraz jest uświadomienie sobie, że wolę raczej czytać o Kursie niż sam Kurs. Tak samo chętniej czytam o Kursie niż medytuję. Przyczyna jest oczywista: boję się tego, co znajdę, gdy zajrzę w siebie.

Zawsze stawiałam opór wszelkiej dyscyplinie, a potem miałam poczucie winy. Ale jeśli nie zdyscyplinuję się do medytacji, nigdy nie zacznę. Jedna część mówi we mnie:

*Marnujesz czas, opóźniasz osiągnięcie spokoju.* A drugi głos mówi: *Pogódź się z tym, gdzie jesteś, nie rób niczego na siłę i nie miej poczucia winy.* Oba pewnie mają rację.

Można by powiedzieć, że momenty największego spokoju zawsze przychodziły do mnie niespodziewanie. Przypuszczam, że dzieje się to wtedy, kiedy moje ego nie broni się, ale kiedy tylko zasiadam do medytacji, natychmiast się nastrasza. Więc czasami zastanawiam się, czy to w ogóle ma znaczenie. W każdym razie, usiłuję uczyć się akceptować to, gdzie się znajduję w danej chwili, bez względu na to czy to jest „duchowe”.

### **Przebaczyć Hitlerowi**

*Michael Berkes, Ph.D. mówi ponad dziesięcioma językami i był konsultantem licznych tłumaczeń Kursu. Pracuje również nad węgierskim przekładem. Berkes, bankowiec wykształcony w Londynie, w ostatnich latach pracował jako konsultant międzynarodowych instytucji finansowych. Obecnie mieszka w północnej Kalifornii.*

Urodziłem się w Brytyjskim Protektoracie w Palestynie pod koniec lat dwudziestych, jako dziecko dwojga pionierów, którzy się tam poznali i pobrali. Moi rodzice byli spłukani i rozczarowani, kiedy przeprowadziliśmy się w 1936 roku do ich rodzinnej Transylwanii. Moim pierwszym wspomnieniem stamtąd jest plądrowanie synagogi, widok świętych zwojów wyciąganych na dwór i deptanych przez faszystowskich bandziorów, którzy później podpalili je, razem z paroma żydowskimi sklepikami.

Jako przybysz z kibucu, nie mogłem pojąć, dlaczego moi szkolni koledzy nie stawiają oporu, kiedy bito nas w drodze do i ze szkoły. Zakrywają tylko rękami głowy, i to też głównie po to, żeby uniemożliwić zrzucenie czapek (co jest grzechem dla ortodoksyjnego żyda), a nie po to, żeby obronić się przed ciosami. Nienawidziłem wszystkiego w moim nowym domu, i byłem zwłaszcza wściekły na ojca za to, że wyjechaliśmy z ojczyzny do tego zimnego i wrogiego piekła.

Kiedy zaczęły się nazistowskie prześladowania, moi rodzice znaleźli dobrego księży, który chciał nam dać papiery poświadczające, że jesteśmy „katolikami od urodzenia” pod warunkiem, że przejdziemy odpowiednie nauki i poprosimy o nawrócenie. To zwiększyło jeszcze moje poczucie winy i wywołało jeszcze większy zamęt w mej wzburzonej duszy; jednocześnie pracowałem niewolniczo i żyłem pod bombardowaniem aliantów. Po wojnie dowiedziałem się, co się stało z niemal całą naszą rozgałęzioną rodziną, poza mną i moimi rodzicami: wszyscy zostali zamordowani w obozach śmierci. Moja ukochana babcia, która była Niemką z pochodzenia, została zastrzelona przez oficera SS, ponieważ nie dość szybko szła do bydłowego wagonu zmierzającego do obozu.

Po wyzwoleniu, kiedy dowiedziałem się o tym wszystkim, stwierdziłem, że nie jestem w stanie poradzić sobie z bólem, nie jestem w stanie oplakiwać zmarłych i nie chcę wrócić do Izraela. Jedyne co mogłem zrobić, to poprzysiąc, że nie przekażę swym dzieciom przekleństwa bycia żydem. Przez następnych trzydzieści lat żyłem kłamiąc, że jestem gojem. Próbowałem spłacić dług dobremu księdzu i zmniejszyć swoje poczucie winy, stając się praktykującym katolikiem, ale to tylko pogłębiło moje wewnętrzne zamieszanie i poczucie winy.

Kiedy zetknąłem się z Kursem i dowiedziałem się, że „przebaczenie jest kluczem do szczęścia” wzdrygnąłem się, kłóciłem i opierałem przez dłuższy czas. Jak mógłbym przebaczyć to, że moja babcia i inni krewni zostali zamordowani przez odrażające kanalie? A w sprawach mi bliższych, jak mógłbym przebaczyć ojcu za to, że wydarł mnie ze swobodnego i szczęśliwego środowiska kibucu i naraził na okropieństwa rasizmu? I w końcu, jak mógłbym przebaczyć sam sobie to, że się odwróciłem od ojczyzny i religii moich przodków, udając przez trzydzieści lat, że jestem kimś, kim naprawdę nie jestem? Nie wiem, ile godzin zajęła mi praca z Kursem, zanim mogłem przyznać, że mam małą szansę na przebaczenie sobie. Musiałem powtórzyć te zmagania, żeby przebaczyć ojcu. Dziwne, że po tym jak przebaczyłem sobie, rodzinie i przyjaciółom, łatwiej mi było zastanowić się nad przebaczeniem sprawcom Holocaustu. Zacząłem od przebaczenia „małym nazistom”, potem coraz większym, aż doszedłem przez wszystkich do samego Hitlera. Przypomniałem sobie propagandowy film o Hitlerze, który w Orlim Gnieździe w Bawarii bawi się z dwoma owczarkami niemieckimi, które wyraźnie bardzo lubił. Pomyślałem, że jako dziecko musiał być straszliwie skrzywdzony, jeśli wyrósł na kogoś, kto jako dorosły mógł tylko psom zawierzyć swą miłość. Potem pomyślałem o Kursie, który prosi żeby każdemu, komu muszę przebaczyć, nadać twarz Chrystusa, by przezwyciężyć swoje urazy. Zrobiłem to i poskutkowało.

Nie mogę powiedzieć, że proces przebaczenia jest już dla mnie zamknięty i zakończony. Muszę wracać do początku za każdym razem, kiedy stwierdzam, że obwiniam jakichś złych „ich” za problemy świata. Ale uświadomienie sobie, że znowu „nie przebaczam”, sprawia, że praca związana z „przebaczeniem na nowo” staje się łatwiejsza i szybsza.

W Kursie jest modlitwa, o której często myślę:

*Daję cię Duchowi Świętemu jako część siebie.*

*Wiem, że będziesz wyzwolony, o ile nie zechcę cię wykorzystać do tego, żebyś uwięził mnie.*

*W imię mojej wolności wybieram twoje wyzwolenie, bo rozumiem, że będziemy wyzwoleni razem. (4)*

Powtarzam sobie, że tylko razem możemy zostać wyzwoleni. Kiedy nie mogę przestać myśleć o czymś, co ktoś mi zrobił, odmawiam tę modlitwę i widzę wtedy, jak ta osoba jest wyzwalana razem ze mną. To czyni dla mnie cuda.

### **Krańcowe doświadczenia**

*Stephen Horrillo, 34 lata, z Fort Lauderdale na Florydzie, w wieku szesnastu lat brał udział w poważnym wypadku motocyklowym. Podczas reanimacji, trzy razy był w stanie śmierci klinicznej, z której trzy razy go odratowywano. Od tej pory stał się uzależniony od środków przeciwbólowych; pięć lat miał nogę w gipsie. Horrillo wylatując po dwóch latach ze szkoły medycznej, co było częściowo skutkiem jego nalogu, zaczął pracować jako sprzedawca grzejników słonecznych i dostawał od szefa prowizję w kokainie. Kiedy miał 29 lat, jego dziadek strzelił do jego ojca i go zabił. Śmierć ojca, uwięzienie dziadka i rozpacz matki doprowadziły do tego, że tak „głęboko wdepnąłem w narkotyki, że chociaż miałem dwóch lekarzy, musiałem jeszcze fałszować recepty, żeby podtrzymać swój nałóg. Za fałszowanie recept Horrillo był dwukrotnie aresztowany; kurator poradził mu, żeby zaczął program Dwunastu Kroków. Kiedy zaczął pragnąć „czegoś więcej niż tylko AA”, za*

*pośrednictwem Kościoła Jedności, znalazł Kurs. Horrillo, gdy to pisał, był od trzech lat studentem Kursu.*

Kiedy wyciągałem się z nałogu, uprzedzano mnie, że powinienem unikać ludzi, miejsc i sytuacji, które zagrażają mojej trzeźwości. Szybko zatem pozbyłem się swoich przyjaciół narkomanów, przestałem chodzić do barów i ze wszystkich sił, starałem się nie być głodny, zły, zmęczony ani samotny.

Po paru latach trzeźwości poczułem, że chodzenie do klubów lub towarzystwo pijących osób nie stanowi już takiego zagrożenia, ale moją trucizną stali się negatywni ludzie, a zwłaszcza kobiety „ofiary”. Czuję do nich niekontrolowany pociąg, a na spotkaniach Dwunastu Kroków, było ich zatręśnienie. Stałem się więc „ratownikiem” i cały czas mam sporą sumę na koncie z tego okresu. Przez jakiś czas, musiałem się ćwiczyć w unikaniu ich, tak samo jak przedtem unikałem barów i pijących.

Głównie Kursowi zawdzięczam to, że nie potrafiące funkcjonować kobiety nie stanowią już dla mnie ani zagrożenia, ani atrakcji. Przez Kurs byłem w stanie spojrzeć daleko poza wszystkie dramaty w moim życiu i zacząć widzieć świat jako miejsce neutralne.

Nauczyłem się żyć swoimi wewnętrznymi, a nie zewnętrznymi warstwami osobowości i wydaje się, że teraz przyciągam do siebie osoby również żyjące „ze środka”. Taki jest sens słów: „Chrystus we mnie widzi Chrystusa w tobie”. Jeśli zbliża się do mnie piękna, wrażliwa kobieta ze łzami w oczach prosząc mnie o pomoc, potrafię zapytać Ducha Świętego jak jej pomóc, a nie łąpię się za nią.

Ale od czasu do czasu jestem wystawiany na próby, więc wiem, że nie jestem jeszcze w pełni uzdrowiony. Cały czas jestem w punkcie, w którym muszę identyfikować niektórych ludzi jako niezdrowych, ale wiem, że nawet ta potrzeba osądzania w końcu zaniknie.

Zaczynam akceptować powoli to, że koszmar senny już się skończył; przez ostatnie dwa lata naprawdę cieszyłem się życiem. Mogę teraz nawet spojrzeć wstecz i zobaczyć inaczej przeszłość. I dochodzę do momentu, w którym czuję, że stać mnie na oddanie tego, co zostało dane mnie, więc teraz rozglądam się, co mógłbym zrobić, żeby stać się użyteczny.

### **Uratowana przez sukinsynów**

*Carol Howe jest pełnoetatową instruktorką Kursu na Florydzie. Jej doświadczenia z nauką własną i nauczaniem zaczęły się w 1977 roku. Przypomina sobie, że Judy Skutch powiedziała jej, że „trzeba zorganizować życie towarzyskie” Billowi Thetfordowi i ją obarczyła tym zadaniem. Rzeczywiście, kiedy Carol mieszkała w Denver, Thetford przychodził do niej z wizytą, pomagał w rozwoju dzieci do szkół i innych codziennych zajęciach życia rodzinnego, którego sam nie miał. A przy tym mówi Carol, Thetford siadywał na prowadzonych przez nią seminariach Kursu całkiem anonimowo, woląc nie zdradzać obcym swej historii i tożsamości. Howe uczyła również z Jerry’em Jampolsky’em i planowała jego wykłady do czasu, kiedy nie zaczął współpracować z Diane Cirincione. Na pytanie „Jak działa Kurs” Howe odpowiada następującym oświadczeniem:*

Myślę, że Kurs działa dokładnie tak, jak mówi że działa, to znaczy uświadamia nam to, że wszystkimi nami kieruje jakieś szaleństwo. Wydobywa na powierzchnię strach i grozę, po to byśmy mogli być świadomi wyborów, jakich dokonaliśmy do tej pory i nauczyli się dokonywać innych. Moje bezpośrednie doświadczenie jest takie, że Kurs wydobywa rzeczy, które są nie tyle nieuświadamiane, ile niewidoczne, ponieważ nie zwraca się na nie uwagi; są to strach, poczucie winy i złe siły, które mają tendencję do kierowania naszym życiem.

To, co Kurs mówi na temat nierealności świata jest trudne do pojęcia, ale do tej idei się dochodzi, ona nie jest punktem wyjścia. Zaczynasz z ludźmi cierpiącymi, pełnymi poczucia własnego braku wartości. Kurs prowadzi cię za rękę przez tego rodzaju samopoznanie, a dokonuje się to głównie poprzez związki z innymi ludźmi.

Idea jest taka, że te wszystkie sukinsyny uratują cię, ponieważ w ich obecności uczysz się dostrzegania tego, co ci się zdarza. Zamiast uciekać, zdajesz sobie sprawę, że trudni ludzie *wyzwalają* a nie są *powodem* twojego poczucia winy, strachu i nieprzebaczenia. Wtedy masz szansę, żeby w odpowiedzialny sposób uporać się z sytuacją.

Kurs otacza cię pocieszająco ramieniem i mówi: Teraz przyjrzymy się, jak żyłeś i co cenileś, żeby pokazać, że to naprawdę ci nie służy”. Jest to zarówno łagodne i intensywne i prawdą jest, że najpierw wszystko może się raczej pogorszyć niż poprawić. Jeśli mówisz „Chcę być wolny” i naprawdę chcesz tego, wtedy wszystkie negatywne idee i uczucia, do których jesteś przywiązany stają ci przed oczami, ale po to żeby cię uwolnić, a nie ukarać. Kurs Cudów jest niezwykle potężnym narzędziem i widziałam, jak przynosi to, co mówi, że przyniesie, kiedy robisz to, co każe ci robić.

## Rozdział 10

### Obecność Kursu

W *The Gnostic Gospels* (Ewangelie Gnostyczne) Elaine Pagels, teolog z Uniwersytetu Princeton wymienia niektóre ogólnie akceptowane, a przecież po przyjrzeniu się niezwykle „zdumiewające” wierzenia chrześcijaństwa:

„Kredo wymaga na przykład, żeby chrześcijanie wyznawali, że Bóg jest nieskończenie dobry, a przecież stworzył świat, w którym jest i ból, i niesprawiedliwość, i śmierć; że Jezus z Nazaretu urodził się z matki dziewicy; i że po egzekucji wykonanej na rozkaz rzymskiego prokuratora Poncjusza Piłata, zmartwychwstał z grobu „trzeciego dnia”. (1)

Wierzenia wczesnych gnostyków, chociaż są bardziej po linii z centralnymi elementami „wieczystej filozofii”, prawdopodobnie nie były brane za lepszą monetę niż te, które zaliczamy obecnie do ortodoksji chrześcijańskiej. Centralne założenie książki Pagels brzmi, że to, co zaczęło przez większość zachodniego świata być akceptowane jako religijna prawda, ma mniej wspólnego z wrodzoną prawdziwością niż z polityką i walką o władzę. Jak konkluduje: „Historię piszą zawsze zwycięzcy - po swojemu”. (2)

Nie zajmujemy się na razie historycznymi kontrowersjami, postawmy natomiast pytanie, dlaczego ludzie w ogóle przyjmują takie zdumiewające wierzenia, obecne w każdej religii - od zachodniej idei, że ofiarna śmierć boskiej postaci w jakiś sposób płaci za wszystkie złe postęпки ludzkości, po idee wschodnie, że świat, który widzimy, słyszymy, dotykamy, smakujemy i czujemy jest zasadniczo iluzją. Dlaczego w świecie, który większość postępu w dziedzinie materialnej i medycznej zawdzięcza nauce a nie religii, tak wiele ludzi zwraca się do systemów wiary, które są po prostu *irracjonalne*, w tym sensie, że wykraczają poza granice tego, co można logicznie wydedukować lub naukowo udowodnić? Jednym słowem, dlaczego ludzie decydują się na wiarę w którąkolwiek z tych zwariowanych mistycznych idei?

Jedną odpowiedzią jest niewątpliwie to, że ludzie wychowani w silnych religijnych tradycjach po prostu nie uczą się kwestionować kredo, które kształtuje ich całą wizję rzeczywistości. Ale inną odpowiedzią, która lepiej tłumaczy niedawny renesans duchowy w naszej kulturze, z którym na pewno wiąże się rosnąca popularność Kursu Cudów, jest nieadekwatność racjonalnego materializmu jako sposobu objaśniania naszej egzystencji i oferowania osobistego przewodnictwa.

Bez względu bowiem dlaczego na to jak uparcie nauka obiecuje, że ostatecznie rozwieje ostatecznie mgłę tajemnicy naszej natury i naszego życia na tej ziemi, pozostaje faktem, że nasze życie w każdym momencie jest pełne tajemnic. Nie wiemy dokładnie, czym lub kim jesteśmy, dlaczego czujemy to, co czujemy, ani dlaczego zachowujemy się tak a nie inaczej. (Nawet jeżeli dowiadujemy się, że konkretny gen „determinuje” naszą skłonność do jakiejś choroby czy cechę charakteru, pozostają pytania: *Jak?* i *Dlaczego?*) W pewnym



sensie każdy, kto dostrzega tajemnicę, jest mistykiem, a podejrzewam, że gdy w grę wchodzi „wielkie pytania” życia, większość ludzi widzi w nich wielką tajemnicę. Duchowe *przebudzenie* można pojmować jako uznanie i zaakceptowanie tajemnicy, w której żyjemy. W najlepszym razie, duchowe *wierzenia* są jak mapa dróg wiodących przez tajemnicę życia. Autentyczna duchowa *dyscyplina* jest środkiem, poprzez który człowiek uczy się aktywizować potencjał ukryty w tajemnicy ludzkiej świadomości. Nie ma statystycznie znaczących miar, którymi można by zmierzyć potencjał umysłu, serca i ducha ani laboratoryjnie atestowanych reżimów bezpieczeństwa, zgodnie z którymi można by je wykorzystywać. Każdy kto ma zamiar wejść na ścieżkę duchową, robi to na własne ryzyko. I chociaż istnieją uniwersalne elementy wszystkich duchowych podróży, ścieżka każdego człowieka jest unikalna i osobista.

W tym rozdziale przedstawione są końcowe komentarze do mego reportażu o Kursie Cudów oraz ogólne rozważania na temat duchowych eksploracjach. Aby dokładniej zdefiniować mój punkt widzenia i orientację, opowiem krótko o swojej drodze przez duchową ścieżkę, która najbardziej przypomina ledwie widoczny szlak między Scyllą a Charybdą.

### **Zmiana Kursu**

Moja rodzina nigdy nie należała do specjalnie religijnych i przestaliśmy chodzić do kościoła, kiedy miałem mniej więcej dwanaście lat. Byłem z tego zadowolony, ponieważ niedzielna szkółka mnie wcale a wcale nie pociągała. Od kiedy nauczyłem się na pamięć Jan 3:16 po to, by zasłużyć na plakietkę z tym werselem wypisanym złoconymi literami, miałem uczucie, że coś jest nie w porządku z religią kościelną. Najpierw myślałem, że szkółka niedzielna jest miejscem, gdzie zadaje się ważne pytania na temat egzystencji, którego nie poruszano w normalnej szkole. Ale szybko przekonałem się, że pytania takie jak „*Gdzie zaczyna się wszechświat?*” i „*Jeżeli Bóg nas kocha i rządzi wszystkim, dlaczego pozwala na choroby i śmierć?*” spotykały się albo z niejasnymi odpowiedziami, albo ze stanowczym upomnieniem, żeby częściej czytać Biblię, aż w końcu minęła mi ochota do ich stawiania. Jako nastolatek byłem agnostykiem, co było głównie reakcją na fundamentalistyczną i skomercjalizowaną odmianę chrześcijaństwa - łącznie z kościołem „Praise the Lord” (Chwalmy Pana) Jima i Tammy Bakkerów - który dominował w moim rodzinnym mieście, to jest Charlotte w Północnej Karolinie.

Kiedy po dwudziestce przeniosłem się do Kalifornii, postanowiłem, że zajmę się dziennikarstwem dochodzeniowym, przy czym szczególnym tematem moich zainteresowań była polityka w zakresie środowiska. Ale nie utrzymałem się długo w tej dziedzinie, gdyż coraz bardziej doskwierało mi moje profesjonalne widzenie rzeczywistości. Redaktorzy i mentorzy namawiali, bym szukał najniższych motywów ludzkich zachowań, dokopywanie się do głębszych motywacji wcale ich nie interesowało. Wystarczało im dowiedzenie i udokumentowanie zachłanności nieuczciwego polityka, ja zaś chciałem się dowiedzieć, co sprawiło, że stał się zachłanny.

Po paru latach pracy w dziennikarstwie dochodzeniowym zorientowałem się również, że można poświęcić całą karierę na próbę odsunięcia od władzy kilku skorumpowanych polityków, co wydawało mi się bez sensu. Chciałem wyrzucić zdecydowanie pozytywny wpływ na świat, a nie tylko wyeliminować parę niedoskonałości. Wytraciwszy tempo przez te zawodowe wątpliwości i targany osobistymi kłopotami, wycofałem się z dziennikarstwa i przez następne dziesięć lat próbowałem zarabiać na życie pracując jako samodzielny typograf, cały czas chcąc wykorzystać wolny czas na kontynuację kariery pisarskiej. Jako biznesmen nie poniosłem w najlepszym razie żadnych zysków ani strat i po trzydziestce cały czas nie wiedziałem, o czym chcę pisać. Zacząłem się martwić, że nigdy nie uda mi się wieść owocnego życia, kiedy poważnie zachorowałem na tajemniczą



osłabiającą chorobę, której kilka lat temu, medycyna jeszcze nie określiła jako „zespołu chronicznego zmęczenia”.

To właśnie w tym okresie moje racjonalne postrzeganie rzeczywistości zaczęło cierpieć z powodu przedłużających się „odmiennych stanów świadomości”, które nawiedzały mnie siedem lat, licząc od nagłego wybuchu choroby do momentu, w którym uznałem, że jestem kompletnie wyleczony. Moje duchowe nawrócenie dokonało się kosztem wielkich cierpień i oporu stawianego na każdym kroku tej drogi. Ale patrząc wstecz, widzę to nawrócenie raczej jako *odkrycie* duchowości, która zawsze była we mnie, a nie przyjęcie w całości perspektywy, która byłaby mi uprzednio całkiem obca.

Chociaż mój kryzys zdrowotny nie wiązał się z nadużywaniem żadnego rodzaju używek ani leków, patrzę na swoje doświadczenie z zespołem chronicznego zmęczenia jak na wyleczenie się z psychologicznego uzależnienia od winy, cynizmu, bojaźliwości i podejrzliwości - które uważałem za najbardziej realistyczne praktyczne metody radzenia sobie z tym okrutnym światem. Idea, że można patrzeć na świat inaczej lub w jakiś inny sposób panować nad swoją świadomością, była mi zupełnie obca, dopóki nie natknąłem się na Kurs Cudów. Tak jak wielu studentów Kursu i ja mam swoją historię, jak dziwnym zrzędzeniem losu doszło do tego spotkania.

W ciągu pierwszych paru miesięcy choroby byłem zły, że moje ciało nie funkcjonuje tak, jakbym sobie tego życzył i na symptomy przyprawiające mnie dosłownie o zawrót głowy takie, jak częste migreny, wędrujące bóle mięśni, poważne, nieustanne zaburzenia żołądkowo-jelitowe, zamęt w głowie i przytłaczające zmęczenie, stosowałem czysto medyczne środki. Ale w miarę jak podczas długich okresów snu pojawiały się coraz żywsze, wyraźniejsze i trudne do zapomnienia marzenia senne, powoli zacząłem brać pod uwagę ewentualność, że moja choroba może mieć podłoże psychologiczne (lub nawet głębsze) i zabrałem się za czytanie książek na temat psychologii i świadomości. Pierwszy i ostatni raz w życiu poddałem się psychoterapii, która polegała głównie na tym, że zwierzyłem się z długo skrywanych emocji bardzo troskliwemu i uważnemu psychoterapeucie.

Niedługo potem trafiłem na wzmiankę o Kursie Cudów w książce Willisa Harmana *Higher Creativity* (Wyższa twórczość) (J.P.Tarcher), w której była mowa o uzdrawiającej mocy afirmacji. Coraz bardziej zdecydowany na spróbowanie czegokolwiek, co mogłoby mi przywrócić zdrowie, usiłowałem medytować z paroma afirmacjami, ale zawsze kończyło się to tak, że czułem się jak idiota, próbując zmienić sposób myślenia czy odczuwania, a także swój stan fizyczny, przez proste powtarzanie pozytywnych myśli.

Jednakże przemówiło nagle do mnie coś, na co zwrócił uwagę Harman, że nawykowy, niezdrowy stan umysłu może się utrzymywać przez na pół świadome powtarzanie negatywnych myśli. Kiedy dokładnie zanalizowałem swój najczęstszy stan umysłu parę lat poprzedzających zapadnięcie na zespół chronicznego zmęczenia, (zajrzałem w tym celu do swojego dziennika), nie mogłem zaprzeczyć, że dominowało negatywne pranie mózgu. To odkrycie głęboko mną wstrząsnęło. Zaintrygowało mnie, że Harman przedstawił Kurs jako wszechstronny „trening umysłu” uczący myślenia w przeciwnym kierunku.

Odniosłem się do Kursu podejrzliwie, ponieważ trzy tomy w sztywnej oprawie kosztowały czterdzieści dolarów. Nie mając pojęcia o jego długości ani objętości, uważałem, że jest to zdzierstwo. Podczas następnej podróży do lekarza, zdecydowałem, że zatrzymam się przy księgarni metafizycznej po drugiej stronie ulicy i przewertuję Kurs, żeby wyrobić sobie o nim jakąś opinię. (W owym okresie, formułowanie szybkich i zdecydowanych opinii na temat wszystkiego należało cały czas do moich głównych strategii radzenia sobie z rzeczywistością.)

Kiedy wszedłem do księgarni, pierwszą rzeczą, która mi się rzuciła w oczy, było jednotomowe wydanie Kursu Cudów w miękkiej oprawie za jedyne dwadzieścia pięć dolarów. Zaskoczony, zapytałem właściciela, od kiedy ma te książki. „Przed chwila

wstawiłem je na półki” odpowiedział. „Wydanie broszurowe ukazało się całkiem niedawno i dostałem je dziś rano”. Po raz pierwszy, a muszę powiedzieć, że zdarzało mi się to potem jako studentowi Kursu niezliczoną ilość razy, w głowie zabrzmiało mi ciche *klik* i tak kupiłem swój pierwszy egzemplarz w miękkiej oprawie.

Jeśli wezmę pod uwagę moją natychmiastową, organiczną niechęć do chrześcijańskiego języka Kursu, jestem zdumiony, jak szybko i intensywnie zacząłem codziennie przerabiać lekcje z Ćwiczeń i czytać sam Tekst. W tym okresie czytałem równolegle kilka innych książek i przez krótki czas zdawało mi się, że w porównaniu z nimi Kurs, poza dziwną składnią, niczym szczególnym się nie wyróżnia.

Ale po paru tygodniach zacząłem regularnie śnić o niebieskiej księdze i codzienne przerabianie ćwiczeń z dziwnego zajęcia zamieniły się nagle w pilną konieczność. W jakiś sposób poczucie przytłoczenia chorobą i zmarnowanego życia zaczęły ustępować, przynajmniej wewnątrz. Coś nowego zachodziło w mojej świadomości i nie wiedziałem, co to jest. Momentami ta niepewność wywoływała naprawdę spory niepokój.

Po jednym z takich napadów niepokoju, postanowiłem opowiedzieć mojemu doradcy psychologowi o moich nowych poczynaniach. Do tej pory utrzymywałem Kurs w tajemnicy przed znajomymi i lekarzami. Zaczynałem też rozważać, w jakim kierunku zmierza moja terapia, jako że w ciągu paru miesięcy dałem upust swoim najbardziej intymnym problemom i teraz zdawało mi się, że mój terapeuta nie oferuje mi nic więcej poza cierpliwym wysłuchiowaniem i okazjonalnymi ciepłymi słowami odwagi i zachęty. Kiedy wyraziłem swoje obawy co do pasywności terapii i przyznałem się do ezoterycznej przygody - zastanawiając się przy tym, czy mój terapeuta nie zainterweniuje albo przynajmniej nie ostrzeże mnie przed angażowaniem się w dziwne religie - spotkały mnie dwie niespodzianki.

Pierwsza była taka, że terapeuta podzielił się ze mną obserwacją, że moja choroba wyraźnie zmusiła mnie do znacznie poważniejszej konfrontacji z samym sobą, niż ta, do której była zdolna większość jego klientów często przychodzących do niego dłużej ode mnie na wizyty. „Większość czasu poświęcam na usiłowanie doprowadzenia ludzi do dostrzeżenia tego rodzaju problemów, z którymi pan do mnie przyszedł i mi opowiedział” oświadczył. I dodał „Zresztą jeśli potrafi poradzić sobie pan z Kursem, to pewnie już nie jestem panu potrzebny”. *Klik* w głowie. I rzeczywiście, niebawem zakończyłem terapię z jego błogosławieństwem.

O ile nie polecałbym Kursu Cudów jako lekarstwa na żadną konkretną chorobę, muszę przyznać, że moje studia były najważniejszym czynnikiem w całkowitym wyleczeniu się z zespołu chronicznego zmęczenia. Stosowałem bardzo różne leczenie medyczne i psychologiczne i wszystkie one odegrały rolę w zlikwidowaniu tego diabelnie kreatywnego zaburzenia, które w najcięższej fazie można by opisać jako stan, w którym wszystko na raz wysiada. Ale dzięki Kursowi zrozumiałem na czym polega proces uzdrawiania, ale jest to problem zbyt złożony, żeby go tu opisywać. Kurs umocnił także we mnie intuicyjne wyczucie, którą metodę leczenia wybrać w różnych okresach.

Przez chorobę straciłem środki utrzymania, pieniądze, związki z najbliższymi i to, co poprzednio uważałem za „szacunek dla samego siebie”. Ale w długim i trudnym procesie powrotu do zdrowia, na który irracjonalny wpływ wywierały na pewno wskazówki z Kursu, zyskałem zawód pisarza, dobre, pełne miłości małżeństwo i lepsze zdrowie fizyczne, niż przed zapadnięciem na chroniczne zmęczenie, i wreszcie silne poczucie wewnętrznej konieczności zmiany starych planów osobistego sukcesu.

Patrząc wstecz, nie chciałbym, by mój rozwój duchowy dokonał się na jakiegokolwiek innej drodze. Ale niezliczone ilości razy zdawało mi się, że zabrnąłem w ślepy zaułek lub nie jestem w stanie pokonać następnego niebezpiecznego zakrętu o 180 stopni. Mówiąc uczciwie, nie wiem, jak przebrnąłem przez to wszystko, poza tym że pomogło mi w tym

rosnące poczucie siły pochodzące z tajemniczego źródła, które było zarówno we mnie jak i poza mną - źródło siły, którą mogę jedynie nazwać siłą duchową.

„Być zmęczonym to nie mieć natchnienia, ale mieć natchnienie, to mieć ducha. Być egocentrykiem to nie mieć natchnienia, ale być skoncentrowanym na Sobie we właściwym znaczeniu, to mieć natchnienie. Naprawdę natchnieni są oświeceni i nie mogą przebywać w ciemnościach” mówi Kurs. (3)

### **O kultach i wariatach**

W pierwszym podejściu ukończyłem Tekst i Ćwiczenia stosunkowo szybko, bo już w ciągu półtora roku. Poza sześciotygodniową grupą dyskusyjną, w której brałem udział na początku, z Kursem pracowałem całkiem sam. Byłem więc później trochę zdziwiony, kiedy się dowiedziałem, jak szerokie kręgi zatacza to zjawisko społeczne. Cały czas jestem zdania, że Kurs jest przede wszystkim programem studiów samodzielnych i zgadzam się z Richardem Smolley'em, że wszelkie wewnętrzne słabości Kursu mogą niechcący ulec wyolbrzymieniu w grupach.

Trzeba przy tym powiedzieć, że problemy, które pojawiają się w grupach studiujących Kurs nie różnią się zasadniczo od tych, które wyłaniają się w innych religijnych lub ściśle powiązanych społecznych organizacjach. Ograniczone lub ckliwe, bzdurne poglądy, wspólnie umacniane samooszukiwanie się, przekonanie o własnej wyższości i kultowe posłuszeństwo wobec podejrzanych liderów, nie są na pewno charakterystyczne jedynie dla grup Kursu. Wszystkie te elementy występują w partiach politycznych, wojsku, biurokracjach rządowych i odnoszących sukcesy korporacjach.

Społeczności Kursowej udało się na ogół uniknąć sekciarstwa, w oczach wielu weteranów wyjątkiem od tej reguły jest Endeavor Academy w Wisconsin. A przecież nawet wśród byłych rezydentów Akademii, którzy publicznie wyrażali swoje poważne zastrzeżenia pod jej adresem, widoczny jest prawdziwy szacunek dla zaangażowania tej jedynej w swoim rodzaju społeczności i jej kontrowersyjnego przywódcy, Mistrza.

Z moich własnych prowadzonych latami studiów nad grupami alternatywnych religii wynika, że Amerykanie, ogólnie, a główny nurt prasy w szczególności - nie rozumieją siły i przyciągania dewocji religijnej, zwłaszcza gdy skupia się ona na alternatywnych ścieżkach czy nauczycielach. Mamy tendencję, by patrzeć na przywiązanie do religii spoza głównego nurtu jak na dziwaczne, nieodmiennie destrukcyjne odchylenie w kulturze, która ma przede wszystkim cenić wolność osobistą. Ale w społeczeństwie, gdzie wiele jednostek bez nakazów moralnych gubi się w swej nieszczęsnej wolności, jest wielce prawdopodobne, że będziemy świadkami dalszego rozprzestrzeniania się tak zwanych kultów, które oferują swoim członkom tak poszukiwane poczucie tożsamości społecznej, wiarygodne normy postępowania oraz ujście duchowej pasji.

Lepszemu włączeniu takich ognisk religijnej pobożności do społeczeństwa może pomóc trochę mniej bojaźliwe spojrzenie na nie niż to, które nas cechowało do tej pory. Prasa ma skłonności do pisania o kultach tak, jakby zawsze były rakiem toczącym organizm społeczny. Moim zdaniem lepiej patrzeć na nie jak na ciężką gripę, to znaczy coś, czego wolelibyśmy uniknąć, ponieważ potencjalnie może nas osłabić lub nawet zabić, ale co może także w pewnym okresie okazać się nie do uniknięcia. W przypadku takiej grypy można zastosować z powodzeniem dwiema metody leczenia holistycznego: jeśli przyjrzymy się jej głębiej ukrytym przyczynom i nie przesadzimy z lekarstwami, likwidując objawy, przebieg będzie szybszy, a po wyleczeniu zyskamy większą społeczną odporność.

Oczywiście bardzo wiele zależy od definicji kultów, czasami etykietkę kultu przykleja się każdemu nowemu lub ezoterycznemu zjawisku. Podczas gdy studiowałem Kurs, naprawdę wiele razy stykałem się z ludźmi, którzy mówili:” Oh, Kurs Cudów - to nie ten kult?” Bez wątplenia takie częste opinie są z jednej strony spowodowane błędnym przedstawianiem Kursu Cudów w mediach. Z drugiej, jest też prawdopodobne, że zła reputacja Kursu może

być wynikiem zetknięcia się z nadmiernie entuzjastycznymi adeptami Kursu, którzy mówią jego slangiem lub z niedojrzałym nauczycielem, który bez zająknięcia reklamuje Kurs Cudów jako najnowszą cudowną maść duchową. Jednak z moich dziesięcioletnich obserwacji wynika, że generalnie społeczność Kursu, studenci i nauczyciele nie są bardziej zwariowani niż reszta ludzkości, a znacznej części wyznawców Kursu udało się poważnie zreformować swoje życie i charakter.

### **Oświecenie kontra złudzenie**

W jaki dokładnie sposób Kurs Cudów wywołuje ten efekt transformacyjny wykracza poza dociekania w tej książce, a w rzeczywistości, wydaje się, że nikt nie może podać zadowolającego wyjaśnienia. Nawet ci adepci, którzy studiują go najdłużej, potrafią tylko powiedzieć: „W moim przypadku po prostu działa”. Sam nie potrafię nic do tego dodać. Wiem, że doświadczyłem Kursu jaką niezwykłą naukę stawiania czoła moim najgorszym wewnętrznym wrogom, których Kurs we wstępie nazywa „blokadami świadomości obecności miłości” (4) oraz zastępowania ich inną mniej osądającym, bardziej troskliwym i naprawdę bardziej obiektywnym stosunkiem do świata. Kurs jest trudny tylko w takim stopniu, w jakim trudno jest stanąć twarzą w twarz z sobą samym. Opór wobec tego rodzaju konfrontacji, jaki odczuwa wielu studentów, potwierdza tylko konsekwencję Kursu w ułatwianiu samopoznania i poddania się.

W kategoriach wzrostu duchowego, najistotniejsze jest to, czemu się człowiek poddaje. Każdy kto przeżył załamanie swej zwykłej osobowości i stracił podstawowe ramy odniesienia, jest podatny na „nawrócenie” na nowe duchowe lub psychologiczne nurty, które mogą okazać się o wiele zdrowsze, lub o wiele tragiczniej destruktywne, niż stary egocentryzm. W najwcześniejszych stadiach, procesy oświecenia i ulegania ułudzie mogą być prawie nierozróżnialne. W każdym przypadku człowiek najpierw staje się „jak dziecko”, a jego umysł i serce otwierają się na zasadniczo inne uczucia, percepcje, koncepcje i definicje świata.

Po tym wstępnym otwarciu, jednak ci którzy naprawdę dojrzewają duchowo, staną się bardziej wrażliwi, być może mniej sztywni, ich horyzonty poszerzają się. Są mniejsze szanse, że ich percepcja będzie zniekształcona przez nierozwiązane problemy emocjonalne, będą też mogli więcej czerpać z bogatych zasobów intuicji. I odwrotnie, pewnym znakiem postępującego ulegania ułudzie jest postępujący brak logiki i niekonkretność - a szczególnie tendencja do usprawiedliwiania niekonsekwencji w wierze i zachowaniu poprzez powoływanie się na swój jakoby wyższy poziom świadomości. Generalnie postawa tych osób jest następująca: „Gdybyś był tak oświecony jak ja, we wszystkim, co robię, zobaczyłbyś jakiś sens”.

Całe mnóstwo fałszywych oświeceń jest tak podawanych albo przez rzekomych duchowych mistrzów, albo ich wyznawców za autentyczną mądrość. (Na przykład, gdybyśmy wszyscy byli tak oświeceni jak nie żyjący już Bhagwan Rajneesh, czy nie byłoby dla nas absolutnie jasne, dlaczego potrzebuje dziewięćdziesiąt jeden rolls-royce'ów?) Taka ekstrawagancja byłaby prawie niemożliwe przy wysokich wymaganiach, jakie stawia Kurs swoim adeptom, lub „nauczycielom Boga”. W Podręczniku dla Nauczycieli Kurs Cudów wymienia ich identyfikacyjne cechy takie jak: zaufanie, uczciwość, tolerancja, łagodność, radość, bezbronność, szlachetność, cierpliwość, wierność i szerokie horyzonty. Trzeba powiedzieć, że nie zostawiają one wiele miejsca na chciwość, pychę czy zaciemnianie. Zaawansowany poszukiwacz duchowy będzie umiał opowiedzieć o sobie w prostych, bezpośrednich słowach, przyznać się do wszelkich nierozwiązanych sprzeczności w swoich wierzeniach i zachowaniach, będzie ucieleśniał szczerą pokorę, a nie zakładał, że jest lepszy od innych. Gandhi zauważył kiedyś, że walcząc o zmiany stanął twarzą w twarz z trzema największymi wrogami. Pierwszym był rząd brytyjski, na który, jak uważał, może wyrzucić niemalą wpływ; drugim - Hindusi, których uznawał za znacznie bardziej



nieustępliwych; i wreszcie trzecim największym przeciwnikiem, tym, co do którego nie miał już nadziei, że uda mu się go kiedykolwiek zmienić na lepsze - był on sam. Od dawna zaobserwowano również, że wielcy nauczyciele duchowi mogą czerpać radość jak i naukę z obcowania z „najprostszymi” lub najmniej wykształconymi ludźmi, których spotykają. Nie muszą nikogo traktować z góry ani utwierdzać się w swojej wyższości duchowej. W buddyzmie Zen ostatecznym celem medytacji jest osiągnięcie nieskrępowanej, nieosądzającej prostoty „umysłu osoby początkującej”. Podobnie Kurs Cudów uważa, że „Złożoność pochodzi z ego i nie jest niczym więcej jak dążeniem ego do zaciemnienia tego, co jest oczywiste”. (5)

### **Cztery sugestie dla osób poszukujących ścieżki duchowej**

Osoby wchodzące na drogę poszukiwań duchowych, których jest obecnie bardzo wiele na Zachodzie, muszą sobie zadać pewne niezwykle istotne pytanie: jakie zabezpieczenia można zastosować, żeby nie zbaczać na ścieżki ułudy lub przynajmniej nie pozostawać na nich dłużej, niż jest to potrzebne do wyciągnięcia jakiejś ograniczonej nauki (na pewno doświadczenie straty złudzeń bywa czasami bardzo cenne). Opierając się na swoich doświadczeniach badacza wielu alternatywnych duchowych punktów widzenia, chciałbym podać tu cztery generalne wskazówki. Każdą z nich objaśnię przykładem z Kursu.

1. *Pozwól, by twoja ścieżka, „sama przyszła do ciebie”*. Jacob Needleman, filozof, zasugerował niegdyś, że „autentyczna ścieżka duchowa daje się poznać, ale nie próbuje przekonywać do siebie”.(6) Olbrzymią zaletą współczesnego supermarketu duchowego jest to, że większość ludzi ma obecnie w najbliższej księgarni albo, za pośrednictwem światowych sieci elektronicznych, we własnym domowym komputerze dostęp do różnorodnych ścieżek duchowych z całego świata. Nikt, zwłaszcza na Zachodzie, nie musi już przyjmować wiary przodków rodziny ani rodzimej kultury jako jedynej właściwej ścieżki duchowej. Wydaje się więc, że kiedy usiłuje się znaleźć tę odpowiednią dyscyplinę do przemiany duchowej, warto przyjrzeć się możliwie wielu ścieżkom. Po pewnym czasie i dogłębnych przemyśleniach, intuicyjnie będziemy wiedzieć, że dana dyscyplina jest jak dla nas.

Kurs Cudów jest legendarny wśród swoich studentów i słynie z tego, że „znajduje” ich w nieoczekiwany sposób i ma dla nich silny, intuicyjny powab, nawet wtedy, gdy wydaje się dziwaczny czy przerażający. Z drugiej strony, niezliczone rzesze ludzi nie znajdują w nim niczego pociągającego, a sam Kurs nie utrzymuje, że jest najlepszą czy jedynie prawdziwą drogą rozwoju duchowego. Chociaż niektórzy pojedynczy nauczyciele mogą mieć skłonności do prozelityzmu, ani oryginalny wydawca, ani główne akademie nauczające Kurs nie są ewangeliczne.

2. *Sprawdź, czy twoja wybrana ścieżka stawia przed tobą wyzwania i czy cię nie więzi.*

Wadą nowoczesnego supermarketu duchowego jest to, że daje ludziom możliwość zostania duchowymi dyletantami, którzy identyfikują się z jedną lub kilkoma dyscyplinami transformacyjnymi, ale żadnej z nich nie wprowadzają naprawdę do swojego życia. Jeśli ktoś się zdecyduje na jogę, Zen, Kurs czy chrześcijaństwo, jest ważne, by naprawdę przestrzegał dyscypliny, jaką dana ścieżka proponuje i znosił dyskomfort (oraz realizował wyzwania), które pociąga za sobą prawdziwa dyscyplina duchowa.

Jednak ważną oznaką autentyczności danej ścieżki jest to, że „pozwala” ci w każdej chwili i bez żadnych warunków odejść, jeśli przestaje się wydawać odpowiednia czy produktywna. Kurs jest niezwykle pod względem swej zdolności do przekonywania poważnych studentów do przestrzegania dyscypliny, nawet wtedy, kiedy okazuje się ona całkiem trudna, oraz do przyciągania z powrotem nawet tych, którym wydawało się, że kontynuacja jest dla nich za ciężka. A to że nie ucieka się przy tym do żadnego autorytetu z zewnątrz czy wzmocnienia społecznego świadczy o sile mistycznej jego dyscypliny.



Jeśli jednak ktoś w dowolnym momencie zdecyduje, że rezygnuje ze studiów, Kurs nie egzekwuje żadnych kar ani nie domaga się ekskomunikacji; w końcu to tylko książka. (Z tych samych powodów, studenci Kursu, którzy czują, że grupa studyjna lub nauczyciel używa tej nauki do wywołania poczucia wspólnoty czy usidlenia, powinni od razu zakwestionować słuszność takiej sytuacji.)

### 3. *Od wybranej ścieżki oczekuj rezultatów a nie romantyzmu*

Oznaką duchowego dyletantyzmu jest to, że jego wynikiem jest jedynie powierzchowna zmiana stylu w zachowaniach i charakterach. Jest to często spotykana przypadłość różnych mód Nowej Ery, gdy ludzie uważają, że łatwiej im, i znacznie bardziej romantycznie, zostać channel'em mądrości dalekich Plejadan niż samemu stać się mądrzejszym.

Chociaż przy nowej dyscyplinie duchowej powinno się przyznać sobie „okres łaski”, kiedy to osobiste problemy mogą ulec raczej pogorszeniu niż poprawie, jednak po pięciu latach zaangażowania w jakąś ścieżkę duchową, powinno się dostrzec definitywne, zauważalne zmiany na lepsze w charakterze i świadomości. Nie należy ich mylić z korzyściami materialnymi czy sytuacyjnymi, których też nie można ani wykluczyć, ani się ich spodziewać.

Pytania, które można sobie zadać dla sprawdzenia, czy dana ścieżka duchowa naprawdę „się opłaca”, są następujące:

Czy od czasu zaangażowania się w tę dyscyplinę stałem się bardziej pogodzony ze sobą i z innymi ludźmi?

Czy mniej się obwiniam i z większym współczuciem traktuję problemy swoje i innych?

Czy częściej przeżywam radość, empatię i objawiający wgląd?

Czy jestem bardziej i lepiej świadom spraw społecznych i politycznych, bez względu na to jak mogły się zmienić moje formy aktywności?

I w końcu: Czy czasami udaje mi się osiągnąć transcendentne stany świadomości poprzez naturalne sposoby mojej własnej wytrenowanej i skoncentrowanej świadomości?

Jak widać z tej książki, wielu studentów Kursu poświadczy skuteczność wybranej przez nich dyscypliny w umożliwieniu im udzielenia twierdzących odpowiedzi na powyższe pytania.

4. *Możesz oczekiwać, że wraz z doświadczeniem, twoja praktyka duchowa stanie się dla ciebie czymś „zwykłym”*. Dalaj Lama buddyzmu tybetańskiego, jeden z najbardziej szanowanych duchowych i politycznych przywódców świata, często mówi o sobie jak o „zwykłym mnichu”. Nie powinno się tego traktować jako oznaki fałszywej skromności, ale zaawansowanego postępu duchowego. Oznacza to, że poszukujący taki nauczył się zwalczania pokusy tego, co tybetański nauczyciel Chogyam Trungpa określił mianem „duchowego materializmu”.

Nie można zaprzeczyć, że Kurs Cudów może początkującym studentom wydawać się egzotyczny i że przez pierwszy rok czy dwa studiów można mieć wrażenie, że się przeżywa przedłużone „odmienne stany świadomości”, które wydają się oddalać studenta od innych ludzi i codziennej rzeczywistości. Jednak jeśli studiuje się dłużej, Kurs przez swój brak przymusu rytuałów i religii nakierowuje studentów ku zwyczajności duchowego mistrzostwa, - rzadka orientacja wśród największych religii świata - i podkreślając w zamian duchową równość każdego człowieka, w tym także Chrystusa, w ramach „Synostwa” Bożego.

Nie chcę przez to powiedzieć, że starzy studenci Kursu nigdy nie mają wyolbrzymionych wyobrażeń na temat swój i swojej ścieżki duchowej. Ale jeśli człowiek przestrzega pilnie dyscypliny Kursu, Kurs ma sposób na regularne poddawanie hipokryzji i nadęcia świadomej krytyce. Z upływem czasu człowiek uczy się „przyłapywać” na własnej arogancji, jeszcze zanim zacznie zachowywać się jak zarozumialec. Staje się to drugą naturą, tak samo jak konstruktywne i pełne współczucia sposoby myślenia i zachowania.

Czasami jestem bardzo zaskoczony, gdy przypominam sobie swoją typową „starą” świadomość sprzed Kursu i dostrzegam kontrast między moją samoświadomością teraz i dawniej. O ile jeszcze mi daleko do tego, żeby całkowicie odrzucić gniew, cynizm i egoizm, to jednak w niemalym stopniu uwolniłem się od tych samoobronnych postaw. Wierzę, że jest to znacznie wyższy poziom rozwoju niż ten, jaki by mi się udało osiągnąć drogą zwykłego dojrzewania, bez pomocy Kursu. A przecież, moja „nowa” świadomość nie uderza mnie jak stan egzaltacji czy wielkiego osobistego osiągnięcia. Wydaje mi się to normalnym sposobem życia, dopóki nie przypomnę sobie jak moja osobowość i wierzenia sprzed Kursu wydawały mi się zwyczajne, ale także stosunkowo marne.

### Wyjątkowość Kursu

Ken Wapnick w książce *Love Does Not Condemn* (Miłość nie potępia) podsumowuje główne filozoficzne nurty obecne w tej olbrzymiej mistycznej księdze, w której ostatecznej redakcji brał udział:

„Widzimy zatem..., że Kurs jest amalgamatem różnych podejść, a zarazem je z powodzeniem łączy. Kurs jest *neoplatoński* - gdyż opisuje progresję (lub projekcję) w dół od Jedynego. Jest *gnostycki* w swym jasnym stawianiu sprawy, że świat nie pochodzi wcale od Boga, oraz w eksponowaniu kryjących się za tym sztuczek ego. Jest *chrześcijański* nie tylko w języku ale także w tym, że uznaje dobroczynną obecność Boga doświadczaną w świecie - pamięć Jego miłości (Ducha Świętego) w pękniętym umyśle, nie wspominając już o głównej roli przyznanej Jezusowi.” (7)

W mniej naukowej wenie dodałbym, że Kurs jest zdecydowanie *współczesny* w swej dokładnej analizie psychologii ego i unikalnie *amerykański* w swej populistycznej dostępności jako program rozwoju duchowego zrób-to-sam lub możesz go przyjąć albo odrzucić. O ile główne elementy Kursu można dostrzec też w innych perspektywach duchowych i w nowoczesnej psychologii, trzeba powiedzieć, że zintegrowana całościowość Kursu nie ma precedensu ani też nigdzie nie występuje. Także jego „pęd do przodu” jest czymś niespotykanym w żadnej innej znanej mi dyscyplinie czy perspektywie psychologicznej.

Chcę przez to powiedzieć, że Kurs daje poważnemu studentowi dramatyczne poczucie przyspieszonego rozwoju, który nie jest ograniczony do konkretnych wglądów i informacji samej tej nauki. Na przykład, większość badań nad innymi psychologiami i ścieżkami duchowymi, (jest to moja praca, o której mówię jako „dziennikarstwie świadomości”) przeprowadziłem już po tym, jak zacząłem studiować Kurs Cudów i mogę powiedzieć, że zawdzięczam je w pewnym sensie zainspirowanej ciekawości, jaką obudził we mnie Kurs. O ile cały czas odwołuję się do Kursu jak do pewnego rodzaju duchowego probierza, nie czuję się w żaden sposób zmuszony do ograniczania swoich badań do przedstawionych w nim koncepcji, czy punktów widzenia. I pod tym względem uważam, że Kurs propaguje demokratyczny brak uprzedzeń, co można by uznać zarówno za współczesne jak i amerykańskie.

Na koniec, tą cechą Kursu, którą uważam chyba za najbardziej godną uwagi, jest jego niesamowita zdolność wytwarzania „obecności”, którą mogę jedynie określić jako mądrą przyjaźń. Chociaż to jest tylko książka, często łapię się na tym, że patrzę na swój egzemplarz Kursu niemal jak na żywą rzecz, która może w każdej chwili przemówić do mnie - nie mam wątpliwości, że z tym samym spokojnym autorytetem, z którym Głos kiedyś spokojnie zażądał od Helen Schucman „Proszę, zacznij notować”.

Jeśli się weźmie pod uwagę, jak Kurs może być czasami denerwujący - mam teraz drugi egzemplarz, bo pierwszy zniszczyłem rzucając do mnóstwo razy o ścianę - to poczucie przyjaźni jest tym bardziej niesamowite. A jest to tylko spełnienie obietnicy, jaką Kurs Cudów wyraźnie daje na zakończenie Ćwiczeń zawierających lekcje na każdy dzień:

„Ten kurs jest początkiem, a nie końcem. Przyjaciel idzie z tobą. Nie jesteś sam. Nikt, kto Go wzywa, nie wzywa na darmo. Jakikolwiek masz kłopot, bądź pewien, że On ma odpowiedź i chętnie ci jej udzieli, jeśli po prostu zwrócisz się do Niego i Go o nią poprosisz. Nie będzie odmawiał żadnej odpowiedzi, której potrzebujesz, gdy masz z czymś kłopoty. On zna sposób, żeby rozwiązać wszystkie problemy i rozwiązać wszelkie wątpliwości. Jego pewność jest twoją pewnością. Musisz tylko poprosić Go o nią, a zostanie ci dana...

Nie idziesz sam. Anioły Boga unoszą się nad tobą. Jego miłość cię otacza i bądź pewien, że nigdy nie zostawię cię bez pocieszenia”. (8)

### **Dodatek**

Wybrane informacje

A Course in Miracles

Kompletne wydanie Kursu w sztywnej oprawie opublikowane przez wydawnictwo Viking jest na ogół dostępne w amerykańskich księgarniach w cenie \$29.95. Viking wydał również następujące dzieła towarzyszące:

*The Gifts of God* tomik poezji Helen Schucman napisane również pod wewnętrzne dyktando tak jak Kurs.

*Supplements to A Course in Miracles*, połączone wydanie oryginalnego *Psychotherapy: Purpose, Process, and Practice* oraz *The Song of Prayer: Prayer, Forgiveness, Healing* również zapisane przez Helen Schucman po dyktando oryginalnego Głosu.

*A Course in Miracles: What It Says*, taśma nagrana przez Kena Wapnicka, Ph.D.

*Readings from a Course in Miracles*, taśma nagrana przez Williama Thetforda.

*Concordance of A Course in Miracles*

Mimo że w chwili, gdy piszę tę książkę, Viking nie opublikował wydania w miękkiej oprawie, w niektórych księgarniach być może cały czas można jeszcze dostać Kurs w miękkiej oprawie opublikowany przez Fundację Wewnętrznego Spokoju. Fundacja ta zawsze udostępnia bezpłatnie egzemplarze Kursu każdemu, kto napisze do niej i powołując się na kłopoty finansowe, oświadczy, że chce mieć egzemplarz do użytku własnego. Polityka ta będzie realizowana tak długo, jak Fundacja będzie miała wolne egzemplarze.

Oryginalny wydawca Kursu

FOUNDATION FOR INNER PEACE

P.O. Box 598

Mill Valley, CA 94942-0598

Tel: (415) 388-2060 Fax: (415) 388-9010

E-mail: [info@acim.org](mailto:info@acim.org)

Strona internetowa: <http://www.acim.org>

Główne ośrodki nauczania Kurs Cudów

Profil podanej niżej ”szkoły” Foundation for Inner Peace przedstawiony jest w Rozdziale 5:

FOUNDATION FOR A COURSE IN MIRACLES i

Institute for Teaching Inner Peace Through a Course in Miracles

(Kenneth i Gloria Wapnickowie)

1275 Tennenah Lake Road

Roscoe, NY 12776-5905

Tel: (607) 498-4116 Fax: (607) 498-5325

Strona internetowa: <http://www.facim.org>

Profile poniższych organizacji przedstawione są w Rozdziale 3:  
MIRACLES DISTRIBUTION CENTER (Beverly Hutchinson McNeff)  
1141 E. Ash Avenue  
Fullerton, CA 92831  
Tel: (714) 738-8380 Fax: (714) 441-0618  
Zamówienia: (800) 359-Kurs Cudów  
E-mail: [info@miraclecenter.org](mailto:info@miraclecenter.org)  
Strona internetowa: <http://www.miraclecenter.org>

FOUNDATION FOR LIFE ACTION (Tara Singh)  
P.O. Box 481228  
Los Angeles, CA 90048  
Tel: (213) 933-5591

INTERFAITH FELLOWSHIP (Wielebny Jon Mundy i Wielebna Diane Berke)  
P.O. Box 250  
Washingtonville, NY 10992  
Tel: (914) 496-9089  
E-mail: [interfaith@interfaithfellowship.org](mailto:interfaith@interfaithfellowship.org)  
Strona internetowa: <http://www.interfaithfellowship.org>

THE CIRCLE OF ATONEMENT (Robert Perry i Allen Watson)  
P.O. Box 4238  
West Sedona, AZ 86340  
Tel: (520) 282-0790 Fax: (520) 282-0523  
E-mail: [alwatson@sedona.net](mailto:alwatson@sedona.net)  
Strona internetowa: <http://www.sedona.net/nen/circleofa>

CALIFORNIA MIRACLES CENTER (Wielebny Tony Ponticello)  
2269 Market Street  
San Francisco, CA 94114  
Tel: (415) 621-2556 Fax: (415) 255-9322  
E-mail: [miracles@earthlink.net](mailto:miracles@earthlink.net)  
Strona internetowa: <http://www.miracles-course.org>

ENDAVOR ACADEMY (Administrator Ted Poppe)  
P.O. Box 206  
Lake Delton, WI 53940  
Tel: (608) 253-6898 Fax: (608) 253-2892  
E-mail: [endacademy@baraboo.com](mailto:endacademy@baraboo.com)  
Strona internetowa: <http://www.baraboo.com/bus/endavour/academy.html>

HEARTWAYS PRESS (Paul Ferrini)  
(Wcześniejsze numery *Miracles Magazine*, książki Paula Ferriniego i seminaria)  
P.O. Box 181  
So. Deerfield, MA 01373  
Tel: (413) 665-0555 Fax: (413) 665-4565

odatkowe zasoby związane z Kursem Cudów online  
Strony internetowe

„Renaissance America” (Marianne Williamson)

<http://www.marianne.com>

„About A Course in Miracles” (Mark Lavender)

<http://www.unc.edu/lavender>

Miracle Studies - Wielka Brytania

<http://www.netlink.co.uk/users/miracles>

Miracle Studies - Australia

[http://hsfo.health.latrobe.edu.au/Kurs Cudów /Miracle.Studies](http://hsfo.health.latrobe.edu.au/Kurs_Cudów/Miracle.Studies)

„MindBodySpirit” strona Kursu Cudów - Południowa Afryka

<http://www.pix.za/mbs/spirit/acim.htm>

#### Grupy dyskusyjne

Dostępne w większości serwisów online, łącznie z America OnLine, Compuserve i Prodigy. Sprawdźcie ich katalogi lub fora New Age i Religii. W grupach internetowych szukajcie pod hasłem „talk.religion.course-miracles”. Aby zapisać się do bezpłatnej e-mailowej grupy dyskusyjnej, należy wysłać wiadomość „subscribe acim” na adres: [listserv@artsit.unimelb.edu.au](mailto:listserv@artsit.unimelb.edu.au)

Wyślij wiadomość „subscribe acimwkbk” na ten sam adres, jeśli chcesz otrzymywać bezpłatnie uwagi do lekcji w Ćwiczeniach.

Organizacje usługowe związane z Kursem

CENTER FOR ATTITUDINAL HEALING (Centrum Światowe)

33 Buchanan Drive

Sausalito, CA 94965

Tel: (415) 331-6161 Fax: (415) 331-4545

E-mail: [home123@aol.com](mailto:home123@aol.com)

JOSEPH PLAN FOUNDATION

P.O. Box 481228

Los Angeles, CA 90048

Tel: (213) 933-5591

NATIONAL EMOTIONAL LITERACY PROJECT FOR PRISONS (Robin Casarjian)

Box 194, Back Bay

Boston, MA 02117

VISIONS FOR PRISONS (Dan Millstein)

P.O. Box 1631

Costa Mesa, CA 92628

Tel: (714) 556-8000 Fax: (714) 241-1301

Organizacje chrześcijańskiej apologetyki

Następujące grupy są krytyczne wobec Kursu i innych alternatywnych lub New Age'owskich perspektyw duchowych, które odbiegają od fundamentalnego punktu widzenia chrześcijaństwa

SPIRITUAL CONUNTERFEITS PROJECT

P.O. Box 4308

Berkeley, CA 94704

Tel: (510) 540-0300

Kwartalnik SCP Journal można zaprenumerować za 25 dolarów rocznie



ATLANTA CHRISTIAN APOLOGETICS PROJECT (Donald Dicks)  
P.O. Box 450068  
Atlanta, GA 31145

CHRISTIAN RESEARCH INSTITUTE INTERNATIONAL  
P.O. Box 500  
San Juan Capistrano, CA 92693-0500

Dalsze badania

Jeśli macie uwagi lub informacje, które mogą okazać się istotne w kolejnych wydaniach tej książki, skontaktujcie się bezpośrednio z autorem:

D. Patrick Miller

1678 Shattuck Ave. # 319

Berkeley, CA 94709

E-mail: [fearlessbook@earthlink.net](mailto:fearlessbook@earthlink.net)